



SIECI

**UJAWNIAMY,
JAK TUSK KŁAMIE
W SPRAWIE
SMOLEŃSKA**

**KTÓRA
SZCZEPIONKA
JEST NAJLEPSZA**

**TRZYPOŁEŃSKA
SARA
ZOSTANIE ŚWIĘTĄ**



**PASJONUJĄCY DODATEK
POLACY POZA HORYZONTEM
AFRYKA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 16 (438) 2021
19–25 kwietnia 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

**SŁAWOMIR NOWAK
PO WYJŚCIU Z ARESZTU,
12 KWIEŃNIA 2021**

TYLKO U NAS

CO JEST NA NOWAKA

**OPOZYCJA OGŁASZA GO WIĘZNIEM POLITYCZNYM,
ALE W TEJ HISTORII POLITYCZNE SĄ TYLKO UKŁADY,
KTÓRE WYNIOSŁY GO NA SZCZYT. RESZTA TO
WULGARNĄ KORUPCJĄ. I PYTANIE,
ILE WIE TUSK?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

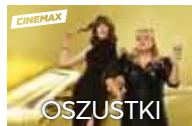


SPORTOWE EMOCJE CZY FILMOWA GORĄCZKA?

WYBIERZ OFERTĘ TV Z ULUBIONYMI
KANALAMI OD **30 ZŁ/MIES.**
I DODAWAJ PAKIETY!



TV KABLOWA IPTV | TV INTERNETOWA | TV SATELITARNA



NIEREALNE

Na start pełna oferta przez

**1 MIESIĄC
BEZ OPŁAT!**

Oferta ważna na dzień 14.04.2021 r. Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Nierealne” © Home Box Office. „Oszustki” © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander oraz cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trademarks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved. „Shrek Trzeci”™ & © 2007 Dreamworks Animation LLC.

Czekając na nowego rzecznika

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie Rzecznika Praw Obywatelskich stwarza szansę na wyjście z kryzysu ustrojowego.

Likwiduje bowiem rozbieżność prawną między konstytucją a ustawą, a zarazem daje partiom w parlamencie trzy miesiące na wypracowanie nowych rozwiązań.

Jest to także dobra okazja, by się zastanowić nad miejscem, rolą i zadaniami urzędu RPO w życiu publicznym. Upływająca kadencja była bowiem najbardziej zideologizowana i upolityczniona ze wszystkich, które nastąpiły po powstaniu tej instytucji w 1988 r.

Stało się tak dlatego, że Adam Bodnar, zamiast zachowywać bezstronność, został uczestnikiem sporów cywilizacyjnego i kulturowego, opowiadając się zdecydowanie po jednej ze stron oraz ignorując prawa i wrażliwość strony drugiej. Właściwie przy wejściu do jego biura mogłaby powiewać tęcza flaga zamiast białoczerwonej.

Wiąże się z tym szersze zagadnienie społeczne, mianowicie kreowanie wpływowych środowisk proaborcyjnych czy genderowych na ofiary, których prawa obywatelskie są zagrożone. Szczególnie wrażliwa na takie hasła jest część wielkomiejskiej młodzieży, która chętnie bierze udział w demonstracjach na rzecz aborcji czy LGBT, przedstawiając to jako wyraz odwagi, buntu, niezależności i bezkompromisowości. Maszerowanie pod tęcowymi sztandarami czy skandowanie proaborcyjnych haseł traktowane są niczym wyzwanie rzucone systemowi.

Jeśli jednak przyjrzymy się sprawie bliżej, okaże się, że owi buntownicy stoją dokładnie po tej samej stronie co najbogatsi ludzie świata i największe globalne koncerny. To fundacje Gatesów, Buffetta, Rockefellera, Sorosa czy innych multimiliarderów finansują międzynarodowe kampanie proaborcyjne i genderowe. To megakorporacje, które unikają płacenia podatków, a których budżety przekraczają budżety większości państw na świecie, angażują się w propagowanie tych samych akcji. W działaniach tych aktywnie uczestniczą też najwięksi giganci

internetu, tacy jak Amazon, Apple, Google czy Facebook, promując jedne poglądy i cenzurując drugie.

Oczywiście każdy ma prawo stać po stronie silniejszych i bogatszych, tych, którzy skupiają w swych rękach niewyobrażalną władzę i pieniądze. Stanięcie w jednym szeregu z najbogatszymi i najbardziej wpływowymi ludźmi na świecie nie jest jednak wyrazem odwagi czy bezkompromisowości.

To nie bunt przeciw systemowi, lecz przejaw konformizmu i dostosowania się. To

wpisywanie się w politykę prowadzoną przez możnych tego świata.

Właśnie po to przeznaczają oni tak wielkie pieniądze na różne fundacje i organizacje pozarządowe, akcje i kampanie społeczne, by młodzi ludzie na ulicach krzyczeli dokładnie to, co mają krzyczeć.

Dziś coraz częściej prawdziwej odwagi wymaga publiczne przyznanie się do wiary lub stanięcie po stronie najsłabszych, czyli np. dzieci chorych na zespół Downa i zagrożonych śmiercią w okresie prenatalnym. Wtedy można się spotkać z atakami, poniżaniem, obrażaniem i zastraszaniem. Wtedy można zostać ocenianym w mediach społecznościowych, stracić pracę w korporacji lub być poddanym innym szykanom. W ten sposób zagrożone stają się podstawowe prawa obywatelskie, takie jak wolność słowa, sumienia czy wyznania. Ci ludzie często nie mają do kogo się zwrócić o pomoc.

A powinni liczyć na Rzecznika Praw Obywatelskich. Ten, kto obejmie wkrótce ów urząd, powinien być szczególnie uwrażliwiony na tego typu zagrożenia. Musi mieć oczy szeroko otwarte. Nie może być ślepy na prawe oko.

Grzegorz Górny


34

**Od premiery
do boksera**
Dorota Łosiewicz



Fot. agnieszka/Shutterstock.com

44

**Miraż europejskich
wakacji**
Marek Budzisz


**55-
-62**

**Polacy poza
horyzontem**
odc. 3

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 KIEROWNIK I LOLO**
Krzysztof Feusette
- 9 ZERO W BUDKACH MIERZONE**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 TEST PATRIOTYZMU**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 PAŁACE GAFI**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA AGATY KONARSKIEJ**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 WAŻNE DLA WŁAŚCICIELI PSÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 OBYWATEL – WARTOŚĆ
PODSTAWOWA**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

- 20 CO PROKURATURA MA NA NOWAKA**
Wojciech Biedroń
- 24 LĘKI TUSKA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 28 Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawiają Michał Karnowski
i Wojciech Biedroń
- 32 POLICJA DO BICIA**
Stanisław Janecki
- 34 OD PREMIERY DO BOKSERA**
Dorota Łosiewicz
- 38 KTÓRA SZCZEPIONKA
JEST NAJLEPSZA?**
Konrad Kołodziejcki
- 41 Z KS. TOMASZEM BIAŁONIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 44 MIRAŻ EUROPEJSKICH WAKACJI**
Marek Budzisz

ŚWIAT

- 46 JAK ODZYSKAĆ SĄD NAJWYŻSZY?**
Aleksandra Rybińska

48 WIELKA HISTORIA MAŁEJ SARY

Grzegorz Górny

50 NA KRAWĘDZI WOJNY

Marcin Tulicki

52 WYBUCHOWA HIPOTEZA

Jan Rokita

SIECI KULTURY

63 PO PROSTU KATE

Jolanta Gajda-Zadworna

65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

66 DZIENNIK CZASU ZARAŻY

Robert Tekieli

67 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

68 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY

Wojciech Stanisławski

NATURA DLA LUDZI

70 ALPAKOTERAPIA

Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

72 MOJE SZLAKI: MONIKA WITKOWSKA

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 DRAMAT SMOLEŃSKI I CO Z NIEGO ZOSTAŁO

Hanna Karp

77 JAKA BĘDZIE POLSKA

Alina Czerniakowska

78 JUDO, ODSZCZEPIENCY I WAJCHA

Lech Makowiecki

78 SOFA PANI ULI

Piotr Cywiński

80 POLACY, NIC SIĘ NIE STAŁO!

Jan Pospieszalski

81 PRZYPOMNIENIA KWIETNIOWE

Leszek Długosz

82 CYWILIZACJA WYMAGA DANYCH

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



ORLEN

WRAP ZA 5 ZŁ

GDY TANKUJESZ
ZA MIN. 100 ZŁ*

* Promocja trwa 1-30 kwietnia 2021 r. i dotyczy zarejestrowanych użytkowników karty VITAY i aplikacji ORLEN VITAY oraz osób płacących ORLEN PAY, kartą flotową lub e-kartą flotową. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji, na których można zrealizować kupon promocyjny dostępne są na stacjach oraz na www.stopcafe.pl.

Sygnalista nadaaje

Podczas rozprawy przed Trybunałem Konstytucyjnym **Adam Bodnar** zwrócił się do prezes Julii Przyłębskiej per „pani sędzio...”. Prezes przywołała go do porządku: „Ja bym prosiła, żeby zwracał się pan do nas: »Wysoki Trybunał«, tak jak zwracał się pan do Trybunału Konstytucyjnego, kiedy jeszcze prezesem Trybunału był pan prezes Rzepliński”. Odchodzący Rzecznik Praw Obywatelskich usłuchał i dalej używał już sformułowania „Wysoki Trybunał...”. To była udana lekcja wychowawcza.

Poprzedniego dnia w Senacie Bodnar określił Martę Lempart jako osobę „wybitną, znaną wszystkim”. Wybitna to ona rzeczywiście jest, ale w sferze promocji wulgaryzmów, agresji i chamstwa w sferze publicznej. Na odchodnie Rzecznik Praw Obywatelskich potwierdził, że po drodze mu ze wszystkimi, którzy są przeciwko rządowi, także z polityczną chuliganerią.

Głos w sprawie werdyktu TK zabrała wiceszefowa Komisji Europejskiej Věra Jourová: „Z uwagą i z niepokojem śledzimy rozwój wydarzeń związanych z Rzecznikiem Praw Obywatelskich. Niezwykle ważne jest, aby ta instytucja, która broni praw obywateli i odgrywa ważną rolę w przestrzeganiu praworządności, pozostała niezależna”. Kogokolwiekby Sejm wybrał, itak będzie bardziej niezależny niż pani Jourová.

A **Ślawomir Nowak** opuścił areszt. Zapowiedział walkę o swoje dobre imię. „Przyjdzie czas na prawdę, na odwojowanie tego wszystkiego, pewnych rzeczy mi już nie zwrócą. Pewnych

ran i blizn już nigdy z siebie nie zdejmę, ale czas na walkę o dobre imię, o prawdę, jeszcze przede mną” – mówił reporterom. Cóż, powodzenia, ale łatwo nie będzie. Lepiej przeprosić.

Wchodząc do aresztu, Nowak mówił, że idzie do Berezki Kartuskiej. Teraz porównał siebie do ludzi sprzeciwiających się komunistom w czasach PRL. „40 lat temu z tego samego aresztu wychodził m.in. Bronisław Komorowski po internowaniu jak inni opozycjoniści. Nigdy nie sądziłem, że historia w taki sposób zatoczy koło” – oświadczył. To nie jest żadne koło. To puenta.

Tuż przed decyzją sądu głos w sprawie Nowaka zabrał **Donald Tusk**. „To, co słyhać, to słyhać przede wszystkim spekulacje i plotki, że przetrzymywany jest w areszcie po to, by złamać go i zmusić do składania jakichś politycznych zeznań. Chcę wyraźnie podkreślić, że to czyni z niego de facto więźnia politycznego” – mówił, dodając, że „leży mu to na sercu, ponieważ był moim podwładnym”. Tusk kazał, sąd wykonał? No i nazwanie Nowaka „podwładnym” to jednak manipulacja. To była znacznie bliższa relacja.

Więźniowie polityczni to dopiero wróć. Po tym, gdy w Głogowie policjantka obezwładniła, także z użyciem pałki, agresywną i wulgarną kobietę, poseł KO Michał Szczerba zapowiedział: „Ustale nazwisko tego policyjnego bandyty z Głogowa. Proszę o informacje na priv. Gwarantuję anonimowość. [...] Za dwa lata nie będzie go w tej formacji. Będzie szukał pracy w białoruskim OMON!”. O tak, pamiętamy, jak to Platforma z kwiatkami szła

*Rafał Woś,
bardzo ciekawy
publicysta, ogłosił:
„Od czerwca
nie będę już
publicystą »Tygodnika
Powszechnego«.
Decyzję uważam za
błąd pisma. Dziękuję
kolegom i koleżankom za
współpracę. Czytelników
zapraszam, byśmy zostali
razem. W przyszłość patrzę
z optymizmem. Zamierzam
nadal upominać się o godność
i równość”. W mediach
opozycyjnych nie ma litości:
kto o milimetr odstaje od linii,
musi odejść.*

do protestujących górników i kibiców. Jak wygrają, to Białoruś może być nad Wisłą.

Przemocowe instynkty są wśród opozycji szeroko rozpowszechnione. Do „Szkła kontaktowego” dodzwoniła się pani Janina z Warszawy, która ma już dość: „Jak to wszystko oglądam, to mnie szlag trafia. Gdybym mogła, tobym ich wszystkich wysadziła w powietrze” – zadeklarowała, na co jeden prowadzący zareagował chrząknięciem, a drugi nie zareagował wcale. W sumie logiczne: ta pani tylko powtórzyła to, co mówią do niej w telewizji.

Za oceanem też nieźle. Dyrektor techniczny CNN nagrany z ukrytej kamery. Charlie Chester tak mówił o działaniach swojej stacji w czasie ostatniej kampanii wyborczej: „Spójrzcie, co zrobiliśmy, my [CNN] wypchnęliśmy Trumpa [z Białego Domu]. [...] na 100 proc. wierzę, że gdyby nie CNN, nie wiem, czy Trump zostałby odsunięty od władzy. Przyszedłem do CNN, bo chciałem być tego częścią”. I puenta: „Myślę, że to jest właśnie propaganda”. Pod pewnymi względami nasze lewicowo-liberalne media są rzeczywiście arcyzachodnie.

Z nagrań możemy się również dowiedzieć, że CNN kreowało Joego Bidena na zdrowego, sprawnego mężczyznę, co nie było prawdą. Charlie Chester ocenił, że stan zdrowia Bidena nie pozwoli mu na pełnienie funkcji prezydenta przez pełną kadencję i zastąpi go Kamala Harris. Ujawnił także, że gdy opadnie zainteresowanie koronawirusem, CNN będzie straszył ludzi katastrofą klimatyczną. „Przygotujcie się, to nadchodzi”. Tu jesteśmy.

Austriacki „Der Standard” opublikował artykuł krytykujący kampanię plakatów Fundacji Nasze Dzieci, której główne hasło brzmi: „Mamo i tato, kochajcie się”. Najważniejsza teza publikacji brzmi tak: „Kampania plakatowa budzi w Polsce lęk przed planami zakazu rozwodów”. Cóż, we współczesnym świecie ludzie są masowo oszukiwani. Masowo i bezwstydnie.

Czy kłamstwo głoszące, że Polska rzekomo szykuje zakaz rozwodów, rozleje się po całym świecie tak szeroko jak kłamstwo o „strefach wolnych do LGBT”? Niewykluczone. W każdym razie Bart Staszewski – ten, który rozlepił słynne tabliczki – wciąż czuje się prześladowany. „Czujemy się w Polsce jak ludzie drugiej kategorii. Nie możemy ufać rządowi ani naszemu prezydentowi” – mówi w norweskich mediach. Może gdyby cały naród padł na kolana, w końcu poczułby się dowartościowany?



A w Sejmie błyszczy Konfederacja. Poseł tego ugrupowania Krystian Kamiński poskarżył się na ciekący dach. „Chciałbym poinformować o spisku. Czy to przypadek, że akurat nad posłami Konfederacji przecieka dach i zlatuje na nas woda?” – pytał z sejmowej mównicy i dodawał: „Ja uważam, że to spisek przeciwko naszemu kołu i chcę interwencji marszałka w tym momencie”. Chyba nie żartował.

Wcześniej inny poseł Konfederacji Krzysztof Tuduj – na kanwie dyskusji o nowych wzorach dowodów osobistych – pytał o czipowanie obywateli: „Czy nie jesteśmy krok po kroku przyzwyczajani do apokaliptycznej wizji umieszczenia czipów pod ludzką skórą? Wszak tak będzie najwygodniej, jak się najpewniej za parę lat dowiemy”. Cóż, gdyby zabrakło PiS, prawica już nigdy nie dojdzie w Polsce do władzy.

Władze Łodzi zawiesiły dyrektora liceum, w którym uczniom zakazano używania w aplikacji nauczania zdalnego symboli związanych z polityką, w tym m.in. czerwonej błyskawicy – symbolu tzw. Strajku Kobiet. Powiadomiła o tym wiceprezydent Łodzi Małgorzata Moskwa-Wodnicka z Lewicy. W komunikacie wskazano, że zawieszenie nastąpiło „w związku z uchybieniem godności zawodu nauczyciela”. Jedyny, który zachował się i godnie, i profesjonalnie, stracił pracę. Polska A.D. 2021.

Rzeczywistość w wielkomiejskich szkołach średnich jest ponura. W Warszawie nie ma np. ani jednego publicznego liceum, w którym nie dominowałyby lewica. Dzieci o poglądach konserwatywnych są dość często i jawnie prześladowane i przez nauczycieli, i przez rówieśników. Jest gorzej niż na uczelniach wyższych. Coś z tym wypadaloby zrobić, ale odpowiedzi na pytanie: „Co konkretnie?”, brak. No, ale nic nie robić też nie wypada.

W Niemczech rozpoczynają się zbiory szparagów. I w tym roku brakuje rąk do pracy. „W przeszłości pracownicy sezonowi pochodzili z Polski. Dla nich oferta w Niemczech nie jest już opłacalna” – czytamy w gazecie „Rheinische Post”. Czy w tym kontekście można się dziwić, że Unia tak ostro piętnuje „łamanie praworządności” nad Wisłą? Czy tak miało być?

Ale niektórzy widzą to inaczej. Red. **Tomasz Lis**: „Jak się zaprasza do domu złoczyńców, by sobie porządzili, to się zostaje z pustymi szufladami. Pozwoliliśmy im rządzić naszą ojczyzną, to ją spłądowali. I tyle”. Ktoś tu ma złą perspektywę. Ciekawe, czy Kazimierza Wielkiego też tak atakowano?

Kierownik i Lolo



KRZYSZTOF FEUSETTE

Głos 1: Halo?

Głos 2: Nie mogę rozmawiać...

Głos 1: A wiesz, kto mówi?

Głos 2: Nie mogę z nikim. Chyba że z koniem. Albo kimś, kto poda hasło.

Głos 1: Naphawdę nie poznajesz, Lolo?

Głos 2: O, tehaż, to znaczy teraz poznałem. Nikt już tak do mnie nie mówi: Lolo Pindolo. Może to i lepiej w kontekście ostatnich miesięcy. Kierowniku, jak dobrze was słyszeć...

Głos 1: Po pierwsze, w ogóle mnie nie słyszałeś. Powtórz.

Głos 2: Halo?

Głos 1: Mówię, że mnie nie słyszałeś. Odbiór. To znaczy powtórz!

Głos 2: No, rozumiem przecież. Chciałem tylko tak zażartować, że nie mogę powtórzyć, bo nic nie słyszę...

Głos 1: Super. Humor cię nie opuszcza, z czego wnoszę, że powiedziałeś im tylko to, co chciałeś. A to, czego nie, to nie. Dobrze myśle?

Głos 2: Żeby Kierownik wiedział, jak tam jest ciemno... A ja w ciemności słyszę głosy. Chyba ukraińskie. Taki areszt zmienia człowieka w zimowe opady. Jak zaczniesz sytać, to prześlizgane...

Głos 1: Człowieku, myśmy mieliśmy „wydobywczych” trzy razy tyle co teraz. Już nie pamiętasz, jak żeśmy kibica bez zarzutów przez trzy lata trzymali za „Tolę”, co to wiesz, kto ją miał, za przeproszeniem, mieć? Za to na pewno pamiętasz, że przyjaźń łączy ludzi na całe życie. Jakiegokolwiek by ono było. W kratkę czy za kratkami.

Głos 1: Niestety, ja już pewne rzeczy straciłem na zawsze. Tak jak mówiłem do kamer...

Głos 2: Tych w celi?

Głos 1: Nie, po wyjściu. Do tamtych tylko się uśmiechałem. Wyobrażałem, że jestem u Moniki i opowiadałem jej o wszystkim...

Głos 1: Wszystkim?

Głos 2: No, nie o wszystkim wszystkim, tylko o zesłaniu.

Głos 1: Na Ukrainę?

Głos 2: Do aresztu! To brzmi mocniej niż jakieś „osadzenie”. A, uwierz mi, w dziewięć miesięcy nawet facet może urodzić. I ciągle jedno i to samo pytanie!

Głos 1: Brałeś?

Głos 2: Ale kiedy?

Głos 1: Mówię, że pytanie pewnie brzmiało: „Brałeś?”. W sensie łapówki.

Głos 2: A po co, skoro znają odpowiedź? Niestety, chodziło im głównie o pewną znajomość...

Głos 1: Jak zażyła?

Głos 2: Bardzo.

Głos 1: Uf.

Głos 2: A skąd ta ulga?

Głos 1: No, bo... Nie, nie chcę cię urazić... Ale tak naprawdę, jakby na to popatrzeć pragmatycznie, a nie emocjonalnie, czyli podsumowując, to my się, drogi kolego, praktycznie nie znamy...

Głos 2: Aha. A zdjęcia?

Głos 1: Ale które? Te przypadkowe kadry ze zbiorczych oficjałek? A czy poza nimi gdzie się spotkaliśmy?

Głos 2: No...

Głos 1: Poczekajcie, nie impulsywnie. Zastanówcie się, pomyślcie, a potem ubierzcie to w słowa tak, by dać sobie pomoc. Rozumiecie?

Głos 2: No, to się nie spotkaliśmy.

Głos 1: Od razu lepiej. Jak wiecie, udało mi się już to i owo. Pani sędzia była bardzo rozgrzana, gdy usłyszała w TVN24, że jesteście więźniem politycznym. Bo są takie pogłoski, że jesteście. Sam je wymyśliłem. Inna sprawa, że mówiłem ci sto razy: w tej branży pije się łyżeczką. Ale ty wolałeś biegać z wiadrem na głowie.

Głos 2: A co ja złego uczyniłem? Już niech Kierownik teraz nie udaje świętego...

Głos 1: Bo się pogniewamy...

Głos 2: To co ja mam teraz robić?

Głos 1: Cieszyć się życiem. Póki można.

Głos 2: A Kierownik?

Głos 1: A cóż, ja mam z tym wspólnego? Ja się cieszę. I życiem, i wolnością. Roboty wprowadzie w bród, no, ale wiecie, jak ja lubię pracować...

Głos 2: Od kiedy?

Głos 1: Od kiedy otrzymuję godziwą zapłatę za to, że robię to, co umiem i powinienem. Czyli niewiele albo nic. Ale dzięki temu mam więcej czasu na trollowanie na Twitterze. A tam wszystko zależy ode mnie...

Głos 2: Słucham?

Głos 1: Wiecie, ilu idiotów się nabiera? Piszę np., że polski rząd najgorzej radzi sobie z pandemią w całej Unii, a niemieckie media dla Polaków to cytują. Chociaż Komisja Europejska, Eurostat, agencje ratingowe i niemieckie media dla Niemców piszą coś dokładnie przeciwnego. A wy? Macie jakieś nowe hobby?

Głos 2: Ciągłe to samo: meblarstwo. Ale teraz bardziej specjalistyczne. Szafy z podwójną wnęką, wersalki, tapczany, komody, pawlacze, sekretarzyki, fotele z odkręcanymi nogami...

Głos 1: Ciekawe, może się skuszę. Ale teraz kończę, bo ktoś od „Justysi” dzwoni...

Głos 2: Jakiej Justysi?

Głos 1: Tej, co jej prawo wisi. Nie interesuj się. Bez odbioru.

Głos 2: Halo, jeszcze jedno pytanko! Czy Kierownik nie będzie w najbliższym czasie leciał do Brukseli z wolnym miejscem w jedną stronę? Bo ja bym sobie tam o azyl poprosił. Politycznemu to chyba dadzą, co nie? Halo? Halo?! 

Zero w Budkach mierzone

Nawet wyborcy nie traktują szefa PO poważnie, ponieważ większość w badaniach jako lidera opozycji widzi Trzaskowskiego, a wskazania dla Budki jako lidera opozycji oscylują wokół zera

Po tym, jak Trybunał Konstytucyjny orzekł, że pełnienie obowiązków Rzecznika Praw Obywatelskich po upływie kadencji jest niezgodne z konstytucją, politycy opozycji po raz kolejny rozmarzyli się nad tym, co robią, gdy przejmą władzę. A przecież każdego dnia są na to gotowi jak nikt inny. Co więcej, każdego dnia bardziej. Borys Budka ogłosił nawet opcję zero po przejściu władzy. Nie wiadomo jednak, kto owej opcji zero miałby dokonać, niemal zerowe są bowiem na razie notowania obecnego szefa (celowo nie piszę lidera) Platformy Obywatelskiej. Tajemnicą polszynela jest to, że w największej (chyba jeszcze) partii opozycji chcieliby, by Budkę wyrzucił Rafał Trzaskowski. Albo żeby przynajmniej go przesunął na jakieś mniej eksponowane stanowisko, najlepiej, żeby całkiem go schował. Ale – jak wiadomo – Budkę nie tak łatwo schować.

Bo jak Budka występuje, to natychmiast są problemy. Gdy ma wystąpić przed kamerą, to zapomina wciągnąć spodni i staje w krótkich spodenkach (co w sumie nieźle oddaje stan umysłu). Szczęście, że chociaż te spodenki były, bo inaczej byłoby mniej niż zero. Gdy występuje w radiu, łącząc się przez Skype'a, to co chwila z dużego robi się mały, bo ludziska nie wiedzą, że szef akurat jest na łączach i wydzwaniają do niego. A wtedy obraz ucieka i zero widać. Gdy ma z fanami pogadać w społecznościówkach, okazuje się, że nie umie zainstalować aplikacji i zero z tego wychodzi. A jak już udzieli wywiadu prasowego, to dopiero się dzieje! Bo przecież nikt wcześniej nie zdradził, że Trzaskowski zero robi w sprawie swojego słynnego ruchu. „To było pod wpływem emocji. Rzuciliśmy hasło i potem trzeba się było tłumaczyć” – powiedział Budka, fundując niemal opcję zero ruchowi Wspólna Polska i sprawiając, że tę samą opcję chciałaby Budce zafundować większość polityków Koalicji Obywatelskiej. Zresztą nawet wyborcy nie traktują szefa Platformy poważnie, ponieważ większość w badaniach jako lidera opozycji widzi Trzaskow-

skiego, a wskazania dla Budki jako lidera opozycji oscylują wokół zera.

Także program KO, a nawet deklaracja ideowa, to wciąż mniej niż zero, ponieważ ani jednego, ani drugiego nie ma. Ciężko chyba potraktować na poważnie jako program osiem świeczek na torcie urodzinowym Budki, choć w sumie do tych ośmiu świeczek (gwiazdek, bombek, jajek – różne wyobrażenia graficzne) cały program się sprowadza. O nowej deklaracji ideowej nie ma nawet co mówić, bo tę odsunięto na bliżej nieznaną przyszłość, choć poszanowanie dla starej, która nawiązuje do dekalogu, jest bliskie zera. A tak w ogóle to Marcin Kierwiński przyznał, że Budka może teraz zero zrobić, bo przecież jest pandemia, a to utrudnia wszystko. No poza krytykowaniem rządu, bo to jedno idzie pełną parą.

Czy można się więc dziwić, że polityczne sukcesy Budki są zerowe, skoro w sondażach przegania go nawet partia człowieka, który ciągle mówi, że wie, co zrobić, wie, jak to zrobić, ale na wszelki wypadek nikomu nic nie zdradza, żeby mu nikt pomysłów nie ukradł. I tak dziś na Polskę 2050 Szymona Hołowni chciałoby głosować aż 19 proc. Polaków, a na Koalicję Obywatelską raptem 15 proc.

PO pod rządami Budki cierpi na ciekawą przypadłość. Będąc w opozycji w czasach pandemii, kryzysu, załamania służby zdrowia (o której akolici Budki wciąż krzyczą), zamiast notować wzrost poparcia społecznego, który powinien wynikać z samego faktu bycia w opozycji w takich czasach, PO ciąży ku zeru procent poparcia. Trzeba nie lada sztukmistrza, by taki spektakularny wynik osiągnąć. Śmiem twierdzić nawet, że nikt poza Budką nie byłby w stanie tego zrobić, bo nikt nie ma takich predyspozycji, czyli bliskiej zera charyzmy i wyglądu zaskoczonego minionka.

Łacińska sentencja: „Z niczego nic nie powstaje”, sformułowana przez eleatów nieźle opisuje w sumie przyszłość lidera PO. Borys Budka powinien się dobrze zastanowić, nim następnym razem ogłosi opcję zero, bo mam nieodparte wrażenie, że to jego w pierwszej kolejności ta opcja dopadnie.

Dorota Łosiewicz



Hunter Biden (na zdj.) jest najczarniejszą owcą w rodzinie prezydenta USA. Joe Biden przez całą trwającą ponad pół wieku karierę w Waszyngtonie nie był zamieszany w tyle niejasnych spraw, co jego syn Hunter w ciągu zaledwie kilku lat. W czasie kampanii wyborczej konserwatywne media pisały szeroko o związkach Huntera z chińskim rządem oraz z ukraińskimi oligarchami. Pierwsza próba uruchomienia procedury impeachmentu prezydenta Trumpa wiąże się właśnie z synem Joego Bidena. Trumpowi zarzucano, że naciskał na władze Ukrainy, aby szukały dowodów nielegalnej działalności Bidenów w aferze ukraińskiej spółki energetycznej Burisma. Prokuratorzy ze stanu Delaware, który Joe Biden kiedyś reprezentował w senacie, od 2018 r. prowadzą śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy przez Huntera Bidena oraz oszustw podatkowych.

W ostatnich dniach brytyjski tabloid „Daily Mail” napisał, że zna zawartość komputera Huntera Bidena. O tym, że z jego prywatnego laptopa wyciekły dane (miało to tego dojść podczas naprawy), pisano już pod koniec 2020 r. „New York Post” sugerował wtedy, że e-maile Huntera w sprawie Chin i Ukrainy pogrzebią szansę jego ojca na prezydenturę. Nic takiego się nie stało. Teraz skupiono się na osobistych detalach jego życia. Brytyjska gazeta podała, że jest w posia-

Czarna owca



daniu tysięcy e-maili Huntera i wielu jego prywatnych zdjęć z erotycznych przyjęć. Redakcja zarzuca też Hunterowi, że wyretuszował wydany na początku kwietnia pamiętnik, nie pisząc w nim o korzystaniu z usług prostytutek i marginalizując swoje uzależnienie od narkotyków.

Niemniej „Beautiful Things” (taki tytuł nosi pamiętnik) zawiera wiele pikantnych szczegółów z życia Huntera. Hunter przyznaje w nim, że był uzależniony od narkotyków. Nie jest też tajemnicą, że związał się z wdową po swoim 46-letnim bracie Beau, który zmarł na raka mózgu w 2015 r. Śmierć Beau Bidena, któremu wrócono, że pójdzie w ślady

ojca, spowodowała, iż wiceprezydent USA Joe Biden nie stanął w 2016 r. do prawyborów. Hunter rozstał się wtedy ze swoją żoną, z którą ma dwoje dzieci, i w 2017 r. związał się z bratową. Sprawa wywołała skandal w USA. Hunter musiał zrezygnować z zasiadania w radzie dyrektorów World Food Program US. Związek rozpadł się po dwóch latach. Okazało się bowiem, że syn prezydenta USA ma nieślubne dziecko ze striptizerką o pseudonimie Dallas. Hunter wypierał się ojcostwa, jednak ostatecznie potwierdziły je badania DNA.

Skandale obyczajowe mogą się okazać blachostką przy poważnych zarzutach o związki syna prezydenta z chińskim rządem. Kłopoty Huntera jeszcze się nie zakończyły.

Lukasz Adamski

Władze Kanału Sueskiego aresztowały na podstawie wyroku sądu w Ismaili kontenerowiec „Ever Given”, który zablokował na 144 godziny jeden z najruchliwszych szlaków żeglugowych świata. Aresztowanie statku jest zabezpieczeniem roszczeń odszkodowawczych oraz wydatków poniesionych na akcję ratunkową. Władze Egiptu nie zgodziły się też na zejście na ląd indyjskiej załogi kontenerowca, co wywołało wielkie oburzenie w Indiach. Szef tamtejszego związku zawodowego marynarzy powiedział, że zostali oni zatrzymani w charakterze zakładników.

Władze kanału szacują straty na 900 mln dol. i zdecydowały się na te kroki w obawie przed niewypłacalnością armatora statku, który zwrócił się do sądu w Londynie z wnioskiem o ochronę jego interesów. Uzyskanie odszkodowania może być jednak trudne z jeszcze innego powodu. „Ever Given” formalnie należący do armatora japońskiego był leasingowany przez firmę z Tajwanu, a pływał pod banderą Panamy. Załoga pochodziła w całości z Indii, a jej wynajęciem i nadzorem nad nią zajmowało się przedsiębiorstwo z Niemiec. Sporna jest też kwota strat wynikających z zablokowania żeglugi w Kanale Sueskim. Specjalistyczna firma Refinitiv, jak informuje dziennik „The Wall Street Journal”, oszacowała je na zaledwie 95 mln dol.

Szukanie winnego

Egipt

Ewentualny proces związany z odszkodowaniem za blokadę Kanału Sueskiego może się okazać tym trudniejszy, że na razie nieznane są powody, dlaczego doszło do całej sytuacji. W grę wchodzi błąd w nawigacji lub trudne warunki atmosferyczne, ale nie brakuje głosów, że to Egipt ponosi winę za dopuszczenie do incydentu. Nie tylko dlatego, że tak duża jednostka jak „Ever Given” nie powinna być, zdaniem wielu fachowców, w ogóle wpuszczona do kanału, lecz również z powodu złego stanu jego infrastruktury.

Znana światowa grupa dziennikarzy dochodzeniowych The Bellingcat sformułowała intrygującą hipotezę na temat przyczyn wypadku. Ich zdaniem nastąpił on dlatego, że kanał jest źle konserwowany przez władze Egiptu, tor wodny o głębokości 25 m jest wąski, a po obu stronach kanału, zwłaszcza przy wschodnim brzegu, wytworzyły się mielizny o szerokości niemal równej połowie szerokości Kanału Sueskiego, co poważnie utrudnia nawigację, zwłaszcza w przypadku tak dużych jednostek jak „Ever Given”. Może właśnie po to, by uniknąć tego rodzaju dyskusji i długotrwałych kosztownych procesów przed sądami całego świata, Kair zdecydował się pójść na skróty i aresztował, na wszelki wypadek, statek.

Marek Budzisz





Na łasce Pekinu Czarnogóra

Bruksela odrzuciła prośbę Czarnogóry, aby Unia Europejska pomogła jej w refinansowaniu 1 mld dol. pożyczki, którą poprzedni rząd w Podgoricy wziął w 2014 r. od Chin na budowę autostrady w tym kraju. Po siedmiu latach nie oddano do użytku nawet kilometra drogi, natomiast państwo popadło w poważne tarapaty finansowe. Chiński kredyt stanowi bowiem 25 proc. całkowitego zadłużenia kraju. Z powodu jego obsługi musiano nawet podnieść podatki.

Pierwotnie koszt budowy wyceniano na 800 mln euro. Dziś wiadomo, że wyniesie on ok. 1,3 mld euro, co czyni autostradę Bar-Boljare jedną z najdroższych na świecie. Oczywiście, o ile zostanie ona ukończona, ponieważ cały czas występują opóźnienia w pracach.

W tej sytuacji nowy rząd Czarnogóry, której grozi finansowe uzależnienie od Chin, postanowił się zwrócić o pomoc do Brukseli. Jak mówił wicepremier Dritan Abazović, nie chodziło o spłatę przez UE długów Podgoricy,

lecz o wymianę złego kredytu na nowy, korzystniejszy, który łatwiej będzie spłacić.

Wielu komentatorów spodziewało się zawarcia porozumienia, bo dzięki temu Bruksela mogłaby odnieść strategiczny sukces przy relatywnie niskich kosztach. Prośba Czarnogóry została jednak odrzucona, ponieważ – jak stwierdzono – Unia nie będzie przejmować długów wynikających z umów pożyczki z trzecią stroną.

W ten sposób Bruksela pozostawiła Podgoricę sam na sam z Pekinem. Chińczycy zaczynają natomiast umacniać swoje wpływy na Bałkanach, stosując sprawdzoną metodę uzależniania poprzez niekorzystne pożyczki i pułapki zadłużeniowe. Tak wcześniej robili m.in. w Tadżykistanie czy na Sri Lance, a dziś robią to np. w Serbii oraz w Bośni i Hercegowinie. W ten sposób Czarnogóra może się stać pierwszym krajem należącym do NATO, który zostanie uzależniony od Chin z powodu niespłaconego zadłużenia. W tej sytuacji jedyną nadzieją na ucieczkę z chińskiej pętli długów pozostaje Ameryka. Czy jednak administracja Bidena będzie skłonna przyjąć Czarnogórę z pomocą?

Grzegorz Górny

Rywale Niemcy bez wyrazu

W końcu będzie dobrze!” – tak szef CSU i premier Bawarii Markus Söder skomentował walkę, którą toczy z przewodniczącym siostrzanej CDU Arminem Laschetem o schedę po Angeli Merkel. Do wyborów do Bundestagu na jesieni zostało zaledwie pięć miesięcy. Decyzja, czy to Söder, czy Laschet ma być kandydatem chadecji na kanclerza, musi więc zapaść szybko. Początkowo zresztą wydawało się, że już zapadła. Merkel od początku wspierała swojego wychowanka Lascheta, premiera Nadrenii Północnej-Westfalii i polityka uchodzącego za gracza zespołowego, a więc posiadającego dużą zdolność koalicyjną. W miniony poniedziałek prezydium partii zdecydowaną większością głosów poparło jego kandydaturę na kanclerza. Ponieważ sam Söder oświadczył kilka dni wcześniej, że nie będzie się ubiegał

o funkcję kanclerza, jeśli „cała partia go nie poprze”, wydawało się, że sprawa jest załatwiona. Lider CSU jednak wszystkich zaskoczył i postanowił walczyć.

Zebrało się więc prezydium CSU i jednogłośnie poparło jego kandydaturę. On sam argumentował, że w sondażach wypada znacznie lepiej niż jego rywal – 37 proc. Niemców zadeklarowało, że zagłosowałoby na CDU, gdyby to Söder był kandydatem na kanclerza, a tylko 13 proc. w przypadku Lascheta. Po jednoznacznej deklaracji Södera, że jednak chce walczyć, wielu posłów CDU też zmieniło zdanie i podczas posiedzenia frakcji CDU/CSU w Bundestagu namawiało premiera Nadrenii Północnej-Westfalii do rezygnacji z kandydatury dla „dobrej partii”.

Chadecja dołącza w sondażach, w marcu 2020 r. miała 38 proc. poparcia, a teraz jest to zaledwie 26–28 proc. Część posłów obawia się, że z kandydaturą Lascheta wynik chadecji na jesieni będzie jeszcze gorszy. Tym bardziej że wielu Niemców nawet nie kojarzy nowego lidera, a na pytanie, kto miałby zo-

stać następcą Merkel, 12 razy częściej od Lascheta wymieniany jest Söder.

W środę Laschet i Söder zapowiedzieli dalsze rozmowy w celu uzyskania kompromisu. Jak ten miałby wyglądać, nikt nie wie. Premier Bawarii wciąż ma lepsze wyniki sondażowe niż jego rywal: jak wynika z badań instytutu Civey dla tygodnika „Der Spiegel”, 57 proc. Niemców uważa, że Söder nadaje się na kanclerza, ale tylko 15 proc. uważa tak w przypadku Lascheta. Jeśli chodzi o wyborczego chadecji, to 9 na 10 stawia na szefa CSU. W rzeczywistości obaj rywale niewiele się między sobą różnią. W sprawach zagranicznych obaj należą do rozumiejących Rosję, widzą szanse na dobre relacje z Chinami, a Söder był w minionym roku z wizytą w Moskwie w ramach kontynuacji (tradycyjnej) samodzielnej polityki zagranicznej Bawarii, która utrzymuje z Rosją rozległe relacje handlowe. Decyzja, kto z nich ma być kandydatem na kanclerza, zależy więc bardziej od ich potencjału wyborczego niż kwestii politycznych czy światopoglądowych.

Aleksandra Rybińska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Test patriotyzmu

Rozczulają mnie naiwne westchnienia publicystów i polityków, załamujących ręce nad podziałami wśród Polaków. Albowiem trzeba łączyć, nie dzielić, godzić zwaśnione plemiona... powtarzają znaną mantrę przy każdej okazji. Jednak nie każda okazja jest właściwa.

Tragedia smoleńska, której 11. rocznica minęła 10 kwietnia, nie nadaje się do tego rodzaju popisów szlachetności. Trudno się duchowo łączyć z osobnikami, którzy przez lata zajmowali się oszczerstwem i czarną propagandą w konkretnym celu: odwrócenia uwagi od prawdy. Pojednań należy dokonywać dopiero wtedy, gdy „spisane będą czyny i rozmowy”. One nie są jeszcze spisane. Mówiąc trywialnie, winowajca ma najpierw być ukarany, odszczekać, przeprosić, na końcu lecieć z „żółwikiem” do zgody, nie odwrotnie. Od kiedy ludzkie stada zdefiniowały pojęcia zbrodni i kary, wiadomo powszechnie, że zbrodniarze nieukarani tracą miarę, bezkarność ich rozzuchwala.

W ostatnich, niezwykle rozbuchanych medialnie latach zło się zbanalizowało. W każdych niemalże wiadomościach tele-



**Jan
Pietrzak**

wizyjnych pokazują jakiegoś wykołajca i ze szczegółami opisują potworności, których się dopuścił na swoich ofiarach. Dzienniki, niegdyś informacyjne, zmieniają się w kroniki kryminalne, ponieważ bez drastycznych obrazków tracą oglądalność, która przekłada się na dochody z reklam. Równoległy rynek opinii, czyli sieci społecznościowe, które na początku były strefą wolności, dzięki anonimowym trollom stały się miejscem obrzydliwej ekshibicji frustratów...

Takie jest tło psychospołeczne, na jakie padają rzetelne, potrzebne słowa kompetentnych ludzi o prawdziwym przebiegu katastrofy. Trzeba się skupić, by je wyłowić. Trzeba chcieć poznać prawdę.

W celowo tworzonym zamęcie odbywa się bowiem bitwa o przyszłość Polski. Stosunek do zamachu smoleńskiego jest testem patriotyzmu. Nasi notoryczni okupanci sprawdzają, na kogo tu mogą liczyć w następnym akcie dramatu. Ciesząc się z odpływania covidowej epidemii, nie traćmy z oczu sąsiadów, gdzie kłębią się w sztabach i laboratoriach wirusy kolejnej zarazy... Si vis pacem, para bellum.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nie zmienimy się

Raz po raz ktoś stawia pytanie, jacy będziemy po pandemii, my, ludzie, my, Polacy. Odpowiedzi zazwyczaj sprowadzają się do jednego: zajdzie zmiana. Jedni twierdzą, że staniemy się lepsi, łagodniejsi, bardziej sobie przychylni. Inni, że dopiero wtedy wybuchnie tłumiona agresja.

A ja – wbrew prorocostwom psychiatrów (bo tylko tak można określić diagnozy wydawane w tej branży) – sądzę, że nic złego się w nas nie dzieje i dzieć się nie będzie. Oczywiście ci, którzy zarabiają na naszej naiwności i hipochondrii, chętnie będą nam wmawiać słabości, fobie, obsesje choroby. Ale jestem głęboko przekonany, że ci, którzy byli wariatami, oszołomami i histerykami, nimi pozostaną, a ci, którzy byli delikatni, umiarkowani i opanowani, nadal tacy będą.

I tak: chamska kopolalistka ze Strajku Kobiet nie zmieni się po zdjęciu maseczki w dystyngowanego dżentelmena, który był nazbyt kulturalny, aby utrzymać się w świecie polityki. Pocieszny lider opozycji po zdjęciu gumowych rękawiczek nie stanie się poważnym szefem koalicji rządzącej.

Od początku pandemii pseudofachowcy od naszej psychiki zapowiadali, że czeka nas fala samobójstw, że zamknięci w domach ludzie będą targali się na swoje życie, połykali tabletki nasenne, rzucali się z okien wieżowców. Rzeczywistość te

tezy wyśmiała. Liczba samobójstw zakończonych śmiercią rosła w Polsce do roku 2015, a potem zaczęła spadać (niech każdy sobie wyciągnie z tych dat wnioski), potem raz jeszcze tylko wzrosła w 2019, po czym w pierwszym roku pandemicznym, gdy było najtrudniej, bo do dolegliwości związanych z zakazami i obostrzeniami jeszcze nie byliśmy przyzwyczajeni, ponownie wyraźnie spadła.

Nie zamierzam lekceważyć uciążliwości związanych z covidem. Też mnie wkurza, że maseczka na twarzy utrudnia mi oddychanie, że nie mogę ze znajomymi wyjść do knajpy na piwo i pojechać na normalne wakacje. Że pracuję zdalnie, a dzieci tylko udają, że samodzielnie piszą klasówki, choć na ekranie komputera obok sprawdzianu mają otwarte drugie okienko z odpowiedziami.

Ale ludzkość nie takie traumy przeżyła i się z nich wyzwoliła. Wojny totalne, trwające dziesiątki lat totalitaryzmy, dekady nędzy i głodu, kataklizmy, epidemie znacznie poważniejsze od obecnej. Do tego wszystkiego nasz gatunek potrafił przywyknąć, a na pewno umiał to przetrwać. Nie zmienimy się od covida, nie będziemy ani gorsi, ani lepsi.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pałace GAFA

Michał Kanownik został członkiem powołanej właśnie przez premiera Rady do spraw Cyfryzacji. Równocześnie pełni drugą kadencję funkcję prezesa Związku Importerów i Producentów Sprzętu Elektronicznego i Elektronicznego – ZIPSEE Cyfrowa Polska. To zrzeszenie największych, działających w Polsce globalnych firm high-tech: Google, Amazon, Samsung, Sony, Panasonic czy Canon. O czyj interes zabiegał będzie prezes ZIPSEE w rządzie polskim?

Kanownik od początku swojej kariery związany jest z SLD. Zaczynał jako działacz jej studenckiej szkoły, czyli ZSP, a potem kontynuował w strukturach dorosłej partii, członkiem jej Warszawskiej Rady był jeszcze w 2019 r. Jego biznesowe oblicze przesłaniają nieco długi, w jakie popadł ostatnio. Niektóre z nich doprowadziły już do interwencji komornika. Ze swoich lobbystycznych zobowiązań wywiązuje się jednak solidnie. Najważniejszym z nich jest zablokowanie Ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego, przygotowanej przez Ministerstwo Kultury.

Jest to projekt wyjątkowy, gdyż powstał w wyniku debaty całego środowiska i obecnych władz ponad wszelkimi ideowymi i politycznymi różnicami. Trudno się temu dziwić. Wbrew obiegowym wyobrażeniom materialny status większości artystów w Polsce jest kiepski. 60 proc. z nich zarabia poniżej średniej krajowej, 30 proc. nie osiąga płacy minimalnej, a tylko niecałe 7 proc. można zaliczyć do osób zamożnych. 54 proc. pracuje w ramach umowy o dzieło, a 30 proc. bez żadnego formalnego kontraktu. Blisko połowie nie przysługują żadne emerytalne świadczenia.

Projekt nowej ustawy stwarza możliwość dobrowolnego potwierdzenia uprawnień artystów, którzy dzięki temu mogli będą uzyskiwać ze strony państwa dopłaty na ubezpieczenie społeczne. Dotyczyć to będzie najmniej zarabiających, których przychody są niższe niż 80 proc. przeciętnego wynagrodzenia. Wkład państwa uzależniony będzie od zarobków artysty, pozostałą część będzie on wpłacał samodzielnie. Koszty tego finansowane będą z opłaty reprograficznej pobieranej od komputerów, tabletów, pamięci elektronicznych czy dysków twardych. Opłacali będą ją producenci i importerzy sprzętu elektronicznego. Świadczenie takie istnieje w większości krajów na świecie i prawie wszystkich europejskich i pobierane jest od urzędów służących do kopiowania i odtwarzania muzyki, filmów, obrazów i tekstów, m.in.: smartfonów, komputerów, tabletów itp. Traktowane jest jako rodzaj rekompensaty dla artystów ze strony producentów



sprzętu elektronicznego w zamian za możliwość bezpłatnego korzystania z efektów ich pracy. Nigdzie zauważalnie nie podniosło cen tych urządzeń.

Oczywiście producenci płacić nie chcą. I tu na scenę wkrocza Kanownik. Organizuje akcję „Nie płacę za pałace”. Trzeba przyznać, że kwalifikowanie w ten sposób ustawy, która ma wspomóc emerytury ludzi z biedniejszej warstwy społecznej, godna jest epoki SokuzBuraka. Metody, które są w niej stosowane, również nie odbiegają od przywołanego ściegu. Innym ich wykwittem jest akcja „StopActa2”. Dowiadujemy się stamtąd, że opłata przeznaczona zostanie dla Maryli Rodowicz albo na produkcję filmu, w którym główną rolę ma zagrać Ryszard Czarnecki – to niby żart, ale na tego typu nienawistnych stronach odbiorcy nie odróżniają pseudodowcipów od jakoby poważnych informacji, zresztą rzeczywiście nie różnią się one od siebie. Nie ma sensu podawać kolejnych przykładów kłamstw, oszczerstw i oszustw, które pojawiają się w kampanii organizowanej przez Kanownika. Podstawowe zawarte jest w jej tytule. Powszechnie uznana na świecie opłata dla twórców treści wykorzystywanych przez elektroniczne media, która w nieznaczącym stopniu uszczupli dochody największych globalnych potentatów, a wspomóż artystów w najtrudniejszej sytuacji, przedstawiona jest jako podatek na rzecz najbogatszych. Wszystko więc po staremu w stojącym na głowie świecie.

Obrona pałaców GAFA (Google, Amazon, Facebook, Apple) przynosi rezultaty. Może dlatego, że zleceniodawcy nie żalują na nią środków. Wysiłki wiceminister Wandy Zwinogrodzkiej, animatorki ustawy, oraz jej zespołu paralizowane są przez agentów globalnego biznesu w Polsce. Wykorzystywane są wszelkie metody, m.in. odwołanie do fobii partii rządzącej, którą wywołują elitki artystyczne. Wprawdzie ustawa mogłaby wstrząsnąć stanem rzeczy w tej dziedzinie i zmienić nastawienie dużej części środowiska, zmniejszyłaby jego uzależnienie od ideologicznie zorientowanych zagranicznych mecenasów, ale racjonalne argumenty zagłuszane są przez kolejne przedsięwzięcia Kanownika et consortes oraz lobbystyczne techniki.

Czy kolejny raz interes państwa przegra z globalnymi potentatami?

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka Agaty Konarskiej

dziennikarki, prezenterki telewizyjnej, byłej tenisistki

Podróż to całe moje życie. Zaczęło się w dzieciństwie, gdy co kilka lat musiałam zmieniać kraj, w którym mieszkalam. Mój tata dyplomata jechał na kolejną placówkę, a my z mamą za nim. Kiedy byłam starsza, podróżowałam jako tenisistka, a potem łączyłam wyjazdy z pracą modelki. Jako dziennikarka, realizując reportaże dla Telewizji Polskiej, przemierzyłam właściwie cały świat. Podróż to więc moje drugie ja.



TENISOWY SPRZĘT

Zamiłowanie do tenisa to pozostałość po intensywnych treningach i wyczynowej grze w turniejach. Jeżeli jadę gdzieś wypoczynkowo lub w celach krajoznawczych, staram się wybrać hotel niedaleko kortów. Teraz dodatkowo jestem motywowana do gry przez moją córkę, która nie lubi odpuszczać nawet tygodnia treningów.

STRÓJ KĄPIELOWY

Przed tenisem było pływanie. Rodzice szukali jakiejś dyscypliny sportu, która pozwoliłaby rozładować nadmiar mojej dziecięcej energii i padło na basen.

Przez dwa lata wstawałam o piątej rano, żeby o szóstej być na treningu. Wprawdzie nie zostałam zawodową pływaczką, ale kocham wodę i związane z nią aktywności.



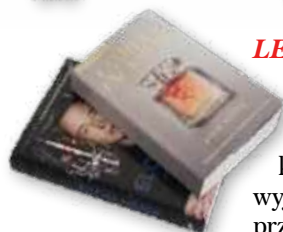
PRZEWODNIKI

Zwiedzanie jest moją kolejną pasją. Przed wyjazdem lub w samolocie lubię przewertować przewodnik, żeby dowiedzieć się jak najczęściej o miejscu, do którego podróżuję.

PUZZLE

Puzzlowym bakcylem zarazili mnie rodzice. W krajach, w których mieszkalam, spotykałam dorosłych ludzi, którzy je układali. Puzzle pomagają w koncentracji i sprawiają mi wielką przyjemność. Gdy wyjeżdżamy całą rodziną na wakacje, zabieramy ze sobą nowy zestaw lub kupujemy na miejscu. To gwarantuje dodatkową rozrywkę.





LEKTURY

Kocham czytać. Ponieważ tempo życia w Warszawie nie pozwala mi za często na tę przyjemność, każdą wolną chwilę podczas wyjazdów, zwłaszcza niesłużbowych, przeznaczam na nadrobienie zaległości.

Rodzina się denerwuje, bo zawsze dociągam walizki nie tylko przewodnikami, lecz również książkami. Ich liczba i grubość zależą od tego, dokąd i na jak długo lecimy.

OKULARY PRZECIWSŁONECZNE

Prawdą jest, że staram się oszczędzać oczy, które w mojej pracy są często narażone na mocne światło reflektorów. Dlatego poczytuję sobie za sukces, że jeszcze nie noszę okularów optycznych nawet do czytania.



NERKA

Lubię mieć wolne ręce. Zamiast absorbującej torebki na ramieniu lub w dłoni, zabieram nerkę np. na długie spacerunki lub na nagrania. Czuję się

wtedy wolna i bardziej gotowa do nowych wyzwań związanych z trudami całodniowych nagrań czy też zwiedzania.



KOSMETYKI

Mam kilka, bez których się nie ruszam. Tusz do rzęs, olejek do ciała Nuxe oraz perfumy Hermes, których używam od lat. Zabieram z sobą także płatki pod oczy. Jestem w tym wieku, że kiedy budzę się rano, potrzebuję szybszej tzw. reaktywacji. Na poranne nagrania jak znalazł.



PUCHARY

Tak się złożyło, że córka Agata idzie w moje ślady. Przez trzy lata bardzo aktywnie uprawiała piłkę nożną, ale w pewnym momencie coś się zmieniło i ostro zabrała się do tenisa. Od dwóch lat bierze udział w turniejach i wracając z zawodów, czasami musimy zapakować do walizki także puchar.



SUKIENKI

Pierwszym podstawowym kryterium sukienek, które zabieram w podróż, jest możliwość ich natychmiastowego założenia bez konieczności prasowania. Na wyjeździe służbowym zdarza się uroczystość lub kolacja. Na taką ewentualność zabieram jedną, dwie sukienki. Ponieważ w telewizji przeważnie ubieram się w gładkie bez wzorów, tutaj mogę zaszaleć z printem.



PAMIĄTKI

• Oprócz zdjęć z wyjazdów lubię też pamiątki z poszczególnych

miejsz. W ten sposób mogę wracać tam myślami. Smoki to typowy souvenir z Chin. Azja jest zresztą moim ulubionym kierunkiem, czuję się tam bardzo dobrze. Lubię azjatycką kulturę, kuchnię i klimat. Zwiedziłam także Wietnam, Malezję, Indonezję i Japonię.

• Maskotka kiwi pochodzi oczywiście z Nowej Zelandii. Byłam tam kilka razy służbowo i prywatnie. Bardzo mi się tam podoba, choć klimat mógłby być odrobinę cieplejszy. Za to kraj jest bardzo poukładany i dobrze zarządzany, nie wspominając już o przepięknej naturze. Mimo że dla Polaków leży na końcu świata, Nowa Zelandia jest bardzo europejska.



• W latach, w których odwiedziłam Kazachstan, trudno było o ładne pamiątki poza typowo radzieckimi. I na

jakis pchlim targu udało mi się znaleźć ten róg. Przyznaję, że niewiele wiem o jego pochodzeniu, bo ze sprzedawczynią niełatwo było się porozumieć.



• Moje pandy paradoksalnie są nie tylko z Chin. Mam do nich słabość i przywożę je z różnych stron świata. Wszyscy zbierają żabki i słoniki, a ja zbieram białoczarne misie. Mam nawet pandę z Rosji w formie matrioszki.



RÓŻANIEC

Poświęcony przez Jana Pawła II. Czy jestem w Polsce, czy za granicą, zawsze noszę go przy sobie.



Wystuchał i zapisał: Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Strach ma wielkie oczy



Ustępujący RPO Adam Bodnar zdążył jeszcze odnieść się do liderki tzw. Strajku Kobiet Marty Lempart: „Dyskutujemy w czasach, kiedy np. dowiadujemy się z mediów, że aktywistka – wybitna, znana wszystkim Marta Lempart – ubiegała się o pracę w ABW. Inagle te informacje wypływają. Nikt nie ponosi odpowiedzialności z tego tytułu (...) Ona kiedyś tę aplikację złożyła, ale złożyła ją w poczuciu zaufania do państwa”. Zdaniem Bodnara Lempart to „wybitna aktywistka”, skrzywdzona przez ABW. Nie dość, że odrzuciła jej podanie o przyjęcie w swoje szeregi, to jeszcze prawdopodobnie doniosła do mediów. Może właśnie to jest powodem jej uzasadnionej frustracji, objawiającej się rzucaniem bluzgów w formie prostej i tzw. wiązanek. Był taki jeden polityk, akwarelista, którego talentu malarskiego nie chciała uznać wiedeńska Akademia Sztuk Pięknych. Z zemsty motywowanej silną frustracją podpalił Austrię, Niemcy, a na końcu całą Europę i świat. Wybitnej – zdaniem Bodnara – aktywistce Lempart to raczej nie grozi. Swoje frustracje wyładowuje na stołecznym bruku, przeklinając PiS, na czym świat stoi. Z drugiej natomiast strony, jeśli Bodnar nazywa zwykle chamstwo Lempartowej działaniem „osoby wybitnej”, tzn. że każdy ma teraz prawo powiedzieć mu zamiast „Skończyła się panu kadencja”, „Wyp...aj”, tak?

Ijeszcze raz Bodnar. Z tym że w wydaniu Kingi Rusin. Uciekająca ze strachu przed pisowskimi siepaczami „wybitna” dziennikarka telewizyjna zatrzymała się aż na Malediwach. Teraz była prezydentka za pośrednictwem Instagrama zwraca się, wylegując się na basenie, do osób, „którym nie jest wszystko jedno”, „żeby mocniej angażo-

wały się publicznie w sprawy obywatelskie”. Celebrytka alarmuje o „dorzynaniu kolejnej instytucji państwa prawa”. „Zgodnie z wolą rządzących nastąpi upadek niezależnego Rzecznika Praw Obywatelskich. Rządzący dokonają tego rękami kadłubowego Trybunału NIEkonstytucyjnego, w którego składzie mamy dublerów, Krystynę Pawłowicz i Piotrowicza. Widok prokuratora stanu wojennego musztrującego niezależnego rzecznika obywateli, broniącego na co dzień resztek państwa prawa, przejdzie do historii hańby” – pisze Rusin nierozumiejąca prawdopodobnie znaczenia pojęcia słów zarówno „dubler”, jak i „państwo prawa”, podobnie jak tego, iż stacja, w której pracowała prawie całe swoje życie, została założona m.in. przez ludzi WSI i całą zgraję największych propagandystów z czasów komuny. Pani Kingo! Zwracam się do Pani z apelem o rozprawę. Zamiast siedzieć z nosem w smartfonie, proszę bardziej obserwować ocean. Tam aż się roi od rekinów. Nie daj Boże, któryś z nich Panią zaatakuję, odgryzając np. kawałek nogi. Wtedy czar prysnie. Skończy się przygoda i trzeba będzie wracać do kraju. A to dopiero nieszczeście.

Konflikt na granicy rosyjsko-ukraińskiej przybiera na sile. Putin gromadzi coraz więcej żołnierzy w Donbasie i na Krymie. Według Kijowa Moskwa planuje także przeniesienie broni jądrowej na zaanektowany półwysep. „To wszystko odbywa się w naszym najbliższym sąsiedztwie. Gdyby coś się stało, to byłobyśmy w oku cyklonu, a nasze możliwości odpowiedzi są skromne” – ocenia w rozmowie z wp.pl Stanisław Ciosek, były ambasador RP w Moskwie. W rozmowie z kim? Oczy-

wiście z portalem wp.pl, bo któryż to inny portal zasięgałby rady takich fachowców od Rosji, jak stary komuch i dyplomata postokrągłostołowej III RP? No, może Onet.pl. Zdaniem Cioska „dramat polega na tym, że nie możemy zbyt wiele zrobić”. „My przecież nie mamy żadnych kart w rękę” – boleje były ambasador. Ciosek zapomniiał, że głównie dzięki staraniom obecnego rządu liczba amerykańskich żołnierzy stacjonujących rotacyjnie, ale na stałe, wynosi już 5,5 tys. Do tego ciężki sprzęt pancerny, drony, tarcza antyrakietowa, samoloty bojowe, śmigłowce. W Poznaniu montuje się Dowództwo Dywizji V Korpusu USA (całej wschodniej flanki NATO). W założeniu jest błyskawiczne zwiększenie kontyngentu do blisko 20 tys. żołnierzy wraz z niebezpieczeństwem. Ale co zrobić, jak całe życie żyło się w cieniu Kremla. Strach ma wielkie oczy.

Lech Wałęsa jak każdy egocentryk w kółko gada o swojej przeszłości, starając się ją za wszelką cenę wybielić. Dywagacje te przerwała brutalnie żona Danka, krzycząc zza kadru podczas występu, którego celem było udowodnienie widzom, że w Magdalence nie było pite: „Może byś się lepiej rodziną, kurde, zajął!”. To wszystko dzieje się w domu Wałęsów w kontekście ciągłych opowieści o rychłym zgonie działacza. Żeby wzmocnić swoją pozycję w historii, Wałęsa chce, aby w jego obecnym domu po śmierci powstało muzeum. To nowy pomysł. Sądząc jednak z wydarzeń, które ciągle dzieją się w jego rodzinie: alkohol, konflikty z prawem, rozwody synów (z wnukami jeszcze gorzej), dom Wałęsów mógłby być świetnym miejscem na pierwsze w Polsce muzeum alkoholizmu. 

Andrzej Rafał Potocki

Ważne dla właścicieli psów

Zgodnie z obowiązującymi od niedawna przepisami za wyprowadzanie psa bez odpowiedniego nadzoru, a w szczególności gdy zachowanie zwierzęcia będzie powodowało zagrożenie dla życia lub zdrowia człowieka, będzie grozić mandat karny w wysokości 500 zł. Według nowych przepisów mandat może zostać nałożony m.in. za wyjście z psem na spacer bez smyczy i kagańca, za nieupilnowanie zwierzęcia, które zaatakuje inną osobę lub zwierzę, oraz za wypuszczenie psa na nieogrodzoną posesję. Przewożenie zwierzęcia publicznymi środkami transportu bez zachowania środków ostrożności także będzie podlegać karze. Mandat w wysokości 250 zł zapłacą posiadacze psów, których czworonóg wyjdzie poza nieodpowiednio zabezpieczoną posesję. Właściciele psów rasy uznawanej za niebezpieczną, np. amerykańskiego pitbulteriera, doga z Majorki, buldoga amerykańskiego, rottweilera, moskiewskiego psa stróżującego lub owczarka kaukaskiego, zapłacą 500 zł za spacerowanie ze swoimi pupilami bez kagańców.

Co dla wielu może być zaskakujące, na podstawie przepisów ustawy prawo łowieckie hodowanie lub utrzymywanie coraz bardziej popularnych w Polsce chartów lub ich mieszańców wymaga zezwolenia starosty właściwego ze względu na miejsce prowadzenia ich hodowli lub utrzymywania. Posiadanie psów wymienionej rasy bez zezwolenia podlega karze. Szczepienia przeciwko wściekliźnie są obowiązkowe i wedle obowiązującego prawa powinny następować rokrocznie, począwszy od upływu 30 dni od ukończenia przez psa trzeciego miesiąca. Niezastosowanie się do wskazanego obowiązku jest zagrożone grzywną, a nawet karą aresztu lub ograniczenia wolności.

Warto pamiętać, że środki ostrożności dotyczące sposobu obchodzenia się z psami mogą wynikać nie tylko z przepisów rangi ustawowej, lecz także z aktów prawa miejscowego, regulujących np. obowiązek utrzymywania czystości w przestrzeni publicznej przez posiadaczy psów.

Właściciele czworonogów zapewne najczęściej nieświadomi obowiązujących przepisów prawa zwykle puszczają psy bez smyczy w lasach, co z wyjątkiem polowań jest niedozwolone i podlega karze niezależnie od tego, czy pies wyrządził szkodę. Poza odpowiedzialnością karną (wykroczeniową) posiadacze zwierząt, które wyrządzą szkodę, mogą również odpowiadać na gruncie przepisów Kodeksu cywilnego. Każdy, kto chowa zwierzę albo się nim posługuje, obowiązany jest do naprawienia wyrządzonej przez nie szkody niezależnie od tego, czy było pod jego nadzorem, czy też zablakało się lub uciekło. Zwolnienie z odpowiedzialności za szkodę nastąpi w razie wykazania braku winy. W świetle przepisów Kodeksu cywilnego osobą ponoszącą odpowiedzialność za zwierzę jest sprawująca nad nim pieczę, dostarczająca schronienia i pożywienia – niezależnie od tytułu prawnego władztwa nad pupilem. Odpowiedzialny może być zatem zarówno właściciel czworonoga, jak i jego posiadacz albo solidarnie kilka osób, które wspólnie chowają zwierzę.

Sprawy karne i cywilne związane ze szkodą wyrządzoną przez zwierzęta, np. pogryzienia przez psa dziecka, mogą skutkować

skomplikowanym postępowaniem dowodowym wymagającym wsparcia profesjonalnych obrońców lub pełnomocników. Niektóre firmy ubezpieczeniowe oferują ubezpieczenia ochrony prawnej na wypadek wystąpienia takich zdarzeń. W polisach, w zamian za opłacenie składki ubezpieczeniowej, firma zobowiązuje się do poniesienia kosztów postępowania sądowego oraz wykonania innych usług. Ubezpieczenie zapewni natychmiastową pomoc prawną i finansuje jej koszty. Niektóre oferty ubezpieczeń OC w życiu prywatnym przewidują ochronę przed skutkami finansowymi roszczeń innych osób i w razie wyrządzenia szkody, np. w postaci zniszczenia ubrania przez psa.

Posiadanie ukochanego psa łączy się z koniecznością podlegania rygorom prawnym, co jest zrozumiałe z uwagi na bezpieczeństwo nas wszystkich. Wydaje się jednak, że w związku z bezwzględным obowiązkiem prowadzenia psów na smyczy należałoby zachęcić samorządy do zwiększenia liczby przeznaczonych dla psów, odpowiednio przygotowanych, ogrodzonych terenów, na których mogłyby się swobodnie wybiegać. 



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**



Naszej Koleżance

**SYLWII
HOŁUBOWICZ**

*składamy wyrazy głębokiego współczucia,
z powodu śmierci*

TATY

koleżanki i koledzy z Fratrii

*Jesteśmy z Tobą i Twoimi Bliskimi
w tych trudnych chwilach*

RZECZY POSPOLITE

Obywatel – wartość podstawowa



**Tomasz
Łysiaś**

Rzecznik Praw Obywatelskich to innymi słowy rzecznik obywateli, którego zadaniem winno być pilnowanie tego, by obywatelom nie działa się krzywda, choćby ze strony instytucji państwa. Problemem jednak jest, co ów rzecznik uznaje za krzywdę (a co nie) oraz kogo uznaje za obywatela wartego obrony. Rzecz zasadnicza.

Samo obywatelstwo i bycie obywatelem ma historię długą jak dzieje naszej cywilizacji opartej na korzeniach greckich i łacińskich. Ba, już samo słowo „cywilizacja”, „cywilizowany” wywodzi się od łacińskiego „civis”, czyli „obywatel”, mieszkaniec „civitas”, czyli społeczności miejskiej, a potem państwowej. Czyli „cywilizacja” to obszar współtworzony przez jej obywateli. Kim jednak oni są i jakie mają prawa? O to w ciągu wieków toczyły się spory. Rzymianie łączyli kwestie obywatelstwa z prawami (np. do głosu), ale także ze służbą wojskową.

W Polsce sama kwestia „obywatelstwa”, czyli przynależności do wspólnoty państwowej, wiązała się ze swego rodzaju wyznaniem polskiej wiary, a idea Rzeczypospolitej Obojga Narodów (a potem – Trzech Narodów) zespalała ludzi różnych narodowości i wyznań pod skrzydłami idei jednego państwa. Gdy nadeszły zabory, tragedią dla wielu Polaków było to, iż pomimo zachowania narodowości, utracili status

bycia obywatelami polskimi. Oto nagle stali się poddanymi cara czy kajzera. Odzyskanie polskiego obywatelstwa było celem działań zmierzających do zmartwychwstania i odbudowy państwa polskiego.

Gdy najpierw Strzelcy, a potem Legiony Piłsudskiego szły z krakowskich Oleandrów na bój o wolną Polskę, to używały innego niż w armiach zaborczych słowa klucza, którym się tytułowano. Nie „Panie kapitanie!” mówiło się w Legionach, lecz „Obywatelu kapitanie!”. Gra toczyła się przecież o obywatelstwo polskie. Kiedy je odzyskano – co to była za radość! Tym pełniejsza, że znano smak braku obywatelstwa. Dodać trzeba, że już w 1918 r. w pełnych prawach obywatelskich zrównano w wolnej Polsce mężczyzn i kobiety.

Dlaczego wszystko to piszę? Gdyż Rzecznik Praw Obywatelskich to strażnik wyjątkowej wartości – polskiego obywatelstwa i wynikających z niego praw. Nie może ów rzecznik mieć barwy partyjnej ani brać udziału w sporze politycznym, ustawiając się po jednej ze stron. Nie może też nad jednym, do których mu bliżej, rozciągać parasol opieki, a na tych, do których mu dalej – nie zwracać uwagi.



Z Michałem Kanarkiewiczem, szachistą i popularyzatorem królewskiej gry, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Łączy pokolenia

w szachy w 10 TikTokach”. W praktyce już w dwie minuty można przyswoić podstawy. Moją misją jest przekonać nie do szachów 10 milionów Polaków. Pokazanie, że ta królewska gra jest dziś trendy, że zdecydowanie wraca. Nie tylko na salony, ale też do szerszego grona odbiorców. Od dzieci po seniorów. I pięknie łączy pokolenia.

Szachy pojawiły się m.in. w cyklu o Harrym Potterze, ale to serial „Gambit królowej” dał im kluczowe, globalne „otwarcie”. Czy uda się zatrzymać tę masową uwagę?

Obecny boom zawdzięczamy również streamerom i twórcom internetowym. TikTok, YouTube i... Twitch (pozwalające dotrzeć do nowej grupy odbiorców) to miejsca, w których

szachy mocno zyskały na pandemii. Wydaje się, że ten trend może się utrzymać.

Co w pędzącej i pełnej skrótów rzeczywistości może ofiarować gra, która wymaga skupienia i czasu?

Szachy uczą podejmowania decyzji. Każda poprawna przybliży nas do sukcesu. Każda błędna od niego oddala. Przy szachownicy uczymy się też strategicznego myślenia, planowania i przewidywania ruchów przeciwnika. I o ile w świecie realnym, odmiennie niż w królewskiej grze, można współpracować z oponentem, o tyle ciągle przewidywanie, np. ruchów konkurencji w biznesie, jest bardzo ważne. I właśnie dlatego szachy są grą szanowaną na całym świecie.

Czy można nauczyć gry w szachy w króciutkich materiałach wideo?

Michał Kanarkiewicz: Jak najbardziej. Na profilu SzachMajk na TikToku nagrałem serię „Naucz się grać

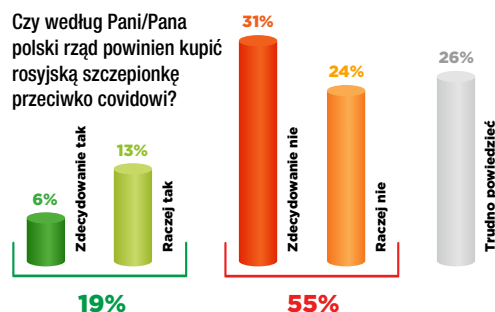
RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



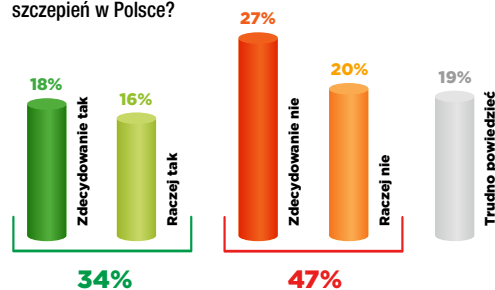
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



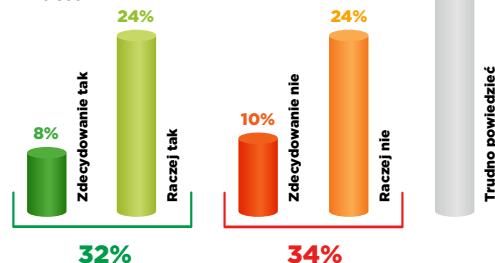
Czy według Pani/Pana polski rząd powinien kupić rosyjską szczepionkę przeciwko covidowi?



Czy według Pani/Pana w pierwszej kolejności przeciwko covidowi powinni zostać zaszczepieni najważniejsi politycy oraz osoby organizujące i nadzorujące program szczepień w Polsce?



Jak Pani/Panu się wydaje – czy partia Szymona Hołowni Polska 2050 zastąpi na trwałe Platformę Obywatelską w roli kluczowej siły politycznej w Polsce?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1069.

Zakres czasowy badania 9–12 kwietnia 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLEŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN
POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR
ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK
ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

E-WENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: MATEUSZ WALDARCZYK/FOTUM, ARCHIWUM

Co prokuratura ma na Nowaka

„Porażający” – tak materiał dowodowy zebrany w międzynarodowym śledztwie w sprawie Sławomira Nowaka ocenia prokuratura. Śledczy znaleźli korupcyjne tropy, które wiodą do Nowaka, na Ukrainie, w Czechach, Estonii, na Cyprze, a nawet w Gruzji. Jak to się stało, że „złote dziecko PO” z politycznego i biznesowego szczytu stoczyło się na samo dno?



WOJCIECH BIEDROŃ

Sławomir Nowak dziś kreuje się na męczennika, a do niedawna pozował nawet na więźnia politycznego. Ma jednak pełną świadomość ciężaru zarzutów, jakie stawiają mu prokuratorzy. A te robią ogromne wrażenie. Latem ubiegłego roku Nowak usłyszał sześć zarzutów za przyjmowanie łapówek na kwotę 1,5 mln zł. W styczniu tego roku śledczy dołożyli kolejne. Tylko z oficjalnych danych wynika, że Nowak przyjął kilka milionów złotych w postaci łapówek.



Fot. Jacek Dominik/WP/REPORTER

RANY NOWAKA

Widok Sławomira Nowaka wychodzącego z aresztu na warszawskiej Białolece na długo pozostanie w pamięci. Posiadał włosy w nieładzie, głębokie zmarszczki pod oczami i stłumiony głos w niczym nie przypominały tego salonowego lwa, którego kosmetyczka bywała (jak żartowali jego dawni współpracownicy) większa od walizki. Tylko sportowa sylwetka zdradzała, kto kryje się pod масечką antycovidową. Dziewięć miesięcy odsiadki nie zabiło w nim jednego: słabości do ekskluzywnych i szalonego drogiego samochodów. Takim właśnie suwem odebrała go spod bramy aresztu jego pełnomocniczka, adwokat Joanna Broniszewska.

„Mogę tylko powiedzieć, jako ponury żart, że w zasadzie 40 lat temu z tego samego aresztu wychodził m.in. Bronisław Komorowski po internowaniu, po zatrzymaniu, jak inni opozycjoniści. Nigdy nie sądziłem, że historia w taki spo-

sób zatoczy koło. Przyjdzie czas na prawdę. Przyjdzie czas na odwojowanie tego wszystkiego. Pewnych rzeczy już nie zwrócę, pewnych ran i pewnych blizn już nigdy z siebie nie zdejmę, ale czas na walkę o dobre imię, o prawdę, jeszcze przede mną” – mówił Sławomir Nowak dziennikarzom, którzy „przywitali” go pod aresztem.

Wizerunek wynędzniałego Nowaka warto zderzyć z jego wizerunkiem sprzed lat, gdy w atmosferze skandalu w 2013 r. opuszczał rząd koalicji PO-PSL po słynnej „aferze zegarkowej”. Wtedy nienagannie ubrany, uśmiechnięty i pewny swego polityk zapowiadał w prywatnych rozmowach, że jeszcze wszyscy o nim usłyszą. Co Sławomir Nowak robił między 2013 r. a jesienią 2016 r., gdy został szefem ukraińskiego Ukrawtodoru (odpowiednika polskiej Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad)? Nie próżnował.

– On miał taki „syndrom dziennikarza sportowego”. Oni często zazdrościli piłkarzom pieniędzy, samochodów, pięknych kobiet i „fejmu”. Dlatego próbują się do nich upodabniać. Noszą podobne ubrania, kopiują fryzury itd. Taki właśnie był Nowak. On się szczerze kochał w tym biznesowym blichtrze. Chciał żyć jak prezesi wielkich spółek, wspólnicy w renomowanych kancelariach itd. Mógł do tego dojść, bo jego kontakty w świecie polityki i pieniędzy były naprawdę nieograniczone. Wolał pójść na skróty. Byle szybko i byle więcej – mówi nam polityk Koalicji Obywatelskiej, który doskonale zna Sławomira Nowaka z dawnych czasów.

CZŁOWIEK WPŁYWOWY

Okazało się, że pomimo wyjścia z rządu Sławomir Nowak nie stracił olbrzymich wpływów. Wciąż z doskonałym dojściem do gabinetu Donalda Tuska stał się szarą eminencją całego zaplecza Platformy Obywatelskiej. Z powodzeniem zajmował się lobbieniem i płatną protekcją. Z naszych informacji wynika, że to właśnie drobiazgowy audyt umów i posunięć spółek skarbu państwa z czasów, gdy nazwisko Nowaka otwierało wszystkie drzwi, pozwolił zgromadzić potężny materiał dowodowy w polskim wątku śledztwa. Eksport łapówkarskiego procederu na Ukrainę był więc oczywistą kontynuacją polskich „przygód” Sławomira Nowaka.

Pewnie dlatego dziś w jego sprawie pojawiają się także nazwiska ważnych polityków Platformy Obywatelskiej oraz ówczesnych prezesów spółek skarbu państwa. Niektóre usługi „ubierane” były w legalne pozory. Tak było z firmą byłego niemieckiego ministra spraw zagranicznych Joschki Fischera, dla której Nowak miał wykonywać określone usługi. Niemiecka firma posiadała wtedy rozległe kontakty w spółkach skarbu państwa. Czy o łapówkarskich działaniach Nowaka mógł wiedzieć Tusk? Z naszych informacji wynika, że wątek byłego premiera nie jest dzisiaj tym priorytetowym dla śledczych, którzy pracują nad sprawą. Jest jednak pewne, że Tusk będzie w tej sprawie występować w charakterze świadka. To jednak raczej pieśń przyszłości, a nie plan śledztwa.

Pojawia się natomiast kilka nazwisk z niedysydyskiej wierchuszki PO. Oni mogą być pewni, że zostaną przesłuchani, chociaż nie palą się zbytnio do tego. Przykładem jest Adam Szejnfeld, który nie stawiał się na przesłuchaniu

w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie. – Panicznie się boją tego, co wie Nowak i co może powiedzieć. To pewne, że w którymś momencie wszyscy zobaczą ustalenia śledztwa. To będzie bolało – mówi polityk ludowców, który blisko współpracował z koalicyjnym rządem PO-PSL.

CZŁOWIEK BANKOMAT

Czy polski oraz ukraiński proceder przestępczy Sławomira Nowaka był pomysłem tylko byłego ministra w rządzie Donalda Tuska? Te tezę obalono bardzo szybko. Nowak miał przy sobie prawdziwego fachowca od machinacji finansowych i skomplikowanych kombinacji. To Jacek P., który przez lata doradzał samorządom w kwestiach rozliczeń dotacji unijnych i pozyskiwania środków na różne inwestycje. Jacek P. miał ponoć zorganizować cały ukraiński system, który wprowadził tam w życie Sławomir Nowak. Mówi się, że miał też ostrzegać Nowaka, że ten przesadza w swojej zachłanności. Z najnowszych ustaleń wynika, że to właśnie Jacek P. osobiście miał przekazywać Nowakowi pieniądze pochodzące z przestępstwa. To on był bankierem i mózgiem całej operacji. Do niego wpływały pieniądze pochodzące z łańcuszka firm i osób, które przekazywały tej dwójce określone kwoty. A te płynęły szerokim strumieniem.

Z czasem wspólnicy musieli pomyśleć o ukryciu części środków. Temu właśnie służyły skrytki w mieszkaniach należących do osób z najbliższego otoczenia polityka. W jednym z wątków śledztwa pojawia się także próba ukrycia rzeczywistych dochodów Nowaka. Mowa jest o tajemniczej darowiznie, którą miał przekazać Nowakowi członek jego rodziny. Szkopuł w tym, że ów mężczyzna już nie żyje i ciężko będzie zweryfikować ten ślad. Nasi rozmówcy przekonują jednak, że Nowak mógł próbować zalegalizować część pieniędzy, twierdząc, że pochodzą one właśnie z darowizn i wsparcia najbliższych.

Mechanizm działania rozbudowanej siatki korupcyjnej, którą Nowak miał opleść ważne spółki skarbu państwa, nie polegał jednak na ordynarnym wręczaniu łapówek. Uczestnicy procederu działali nieco bardziej subtelnie. Wybierano zaufane osoby pracujące w różnych spółkach, podmiotach prywatnych, a możliwe też, że w instytucjach publicznych. „Wybrańcy” otrzymywali „niespodziewane” podwyżki, które były przeznaczane na specjalny „fundusz” dla Sławomira Nowaka. W tym czasie były szef gabinetu Tuska miał „załatwiać” formalności związane z umieszczeniem np. Dariusza Jacka K. w PKN Orlen lub Wojciecha T. w Enerdze. Wszyscy członkowie grupy doskonale się znali. Łączyć miały ich stosunki prywatne, a także służbowe.

UKRAIŃSKIE ELDORADO

Polskie „przedsiębiorstwo” korupcyjne Sławomira Nowaka stanowiło jedynie niewielką część jego imperium. Największe pieniądze były na Ukrainie, gdzie w 2016 r. trafił polityk spod



Fot. Twitter

Z naszych informacji wynika, że Nowak, gdy objął szefostwo w Ukrawtodorze, niemal od razu zaczął się tam rozglądać za okazją do łatwego zarobku

skrzydeł Donalda Tuska. Tam objął szefostwo w Ukrawtodorze, który rozpoczął olbrzymie inwestycje drogowe u naszego wschodniego sąsiada. Z naszych informacji wynika, że Nowak niemal od razu zaczął się tam rozglądać za okazją do łatwego zarobku. Był pewien, że nieprędko trafi pod lupę tamtejszych służb. Bardzo się pomylił. Zdobyliśmy informację, z których wynika, że ukraińskie służby specjalne już kilka miesięcy po jego zadomowieniu się na Ukrainie zaczęły mu się bacznie przyglądać. Czy miały ku temu powody?

– Nie mamy złudzeń. Osoba Polaka na tak ważnym stanowisku nie każdemu podobała się w Kijowie. Tamtejsze służby działają pod mniejszą kontrolą prokuratorsko-sądową i często mają wolną rękę w swoich działaniach – mówi nam jeden z oficerów polskich służb. – Nowak i jego „kontrahenci” nawet się nie spodziewali, że ktoś ich obserwuje i zbiera dokumentację – dodaje.

Działania Sławomira Nowaka dobrze opisali w tygodniku „Sieci” Marek Pyza i Marcin Wikło. To oni ustalili, że „zadany” polityk żądał pieniędzy od przedstawicieli światowych koncernów w zamian za protekcję u lokalnych władz. Z ustaleń dziennikarzy wynika też, że z Nowakiem kontaktował się Filip Rynasiewicz, syn byłego barona PO i zastępcy Nowaka w resorcie infrastruktury. Obaj panowie mieli rozmawiać na temat biznesów australijskiej spółki wydobywczej Prairie Mining Ltd. Pieniądze za załatwienie sprawy dla firmy z Australii miały trafić na konto spółki należącej do Nowaka oraz Łukasza Z., byłego doradcy Donalda Tuska i szefa doradców Ewy Kopacz.

O tym ukraińskim wątku sprawy na nowo stało się głośno kilka dni temu, gdy funkcjonariusze elitarnego Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU) zatrzymali (nie trafił do aresztu) właściciela firmy Altkom, jednego z największych ukraińskich potentatów drogowych. Ta sprawa jak w soczewce pokazuje sposób działania Nowaka na Ukrainie. Z ustaleń NABU wynika, że biznesmen w latach 2017–2019 miał wręczyć byłemu ministrowi 575 tys. dol. oraz 70 tys. euro. Właściciel Altkomu miał w ten sposób załatwić przedłużenie kontraktu na budowę odcinków trasy Kijów–Odessa. Wartość tego kontraktu sięga 100 mln euro. Smaczku całej sprawie dodaje to, że ta inwestycja była współfinansowana ze środków Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju w ramach projektu „Korytarze paneuropejskie”. Nowak miał w zamian za ła-
pówki od Altkomu przemykać oczy na opóźnienia prac

drogowych. To pozwoliło ukraińskiej firmie uniknąć spłaty ponad 9 mln euro kary umownej. O sylwetce ukraińskiego biznesmena piszą tamtejsze media.

„To jeden z najdawniejszych weteranów rynku, z którego gwiadzę Ukrawtodoru zrobił ówczesny wicepremier ds. przygotowań kraju do piłkarskich mistrzostw Europy

Polskie „przedsiębiorstwo” korupcyjne Sławomira Nowaka stanowiło jedynie niewielką część jego imperium. Największe pieniądze były na Ukrainie, gdzie w 2016 r. trafił polityk spod skrzydeł Donalda Tuska

Borys Kolesnikow, dzięki któremu Altkom otrzymał jedno z najobfitszych kontraktów na remont dróg i Stadionu Olimpijskiego przed Euro 2012” – czytamy w ukraińskim portalu Naszi Hroszi, którego dziennikarze ustalili, że Altkom robił bajeczne interesy pod koniec rządów prezydenta Petra Poroszenki. „Właśnie w tym okresie podejrzany osobiście i przez kontrolowane przez siebie osoby systematycznie przekazywał nielegalną korzyść jako »abonament« kierownictwu Ukrawtodoru w zamian za okazanie »lojalności« wobec jego firmy” – czytamy w portalu.

Sprawa ukraińskiego biznesmena to wspólny sukces NABU, tamtejszej prokuratury oraz polskich śledczych i CBA. Współpraca trwa nieprzerwanie od listopada 2019 r., gdy powołano międzynarodowy zespół śledczy, który pracuje nad sprawą Nowaka. Efektem jego prac było zatrzymanie byłego ministra w lipcu ubiegłego roku.

CO WIADOMO NA PEWNO

Polscy prokuratorzy, wspólnie ze swoimi ukraińskimi odpowiednikami, zdobyli gigantyczną wiedzę na temat powiązań i systemu, który stworzył Sławomir Nowak oraz jego kompani. Materiał dowodowy nie opiera się jedynie na analizie przepływów finansowych czy podsłuchach. Ogromną wiedzę na temat procederu przyniosło „pęknięcie” bliskiego współpracownika Nowaka, Jacka P., który poszedł na współpracę ze śledczymi. Oprócz działań korupcyjnych, gdy był polityk PO pracował dla Ukrawtodoru, doszły kolejne zarzuty, i to w czasie, gdy Nowak był szefem gabinetu politycznego Donalda Tuska. To wtedy, zdaniem śledczych, miał przyjąć kilkadziesiąt tysięcy złotych od byłego wiceprezesa PGE i Energi oraz 200 tys. zł od Dariusza Jacka K., byłego szefa Orlenu. Z ustaleń PAP wynika, że materiał zebrany w śledztwie jest „porażający”.

„Sławomir N. podejrzany jest o poważne przestępstwa kryminalne – kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, płatną protekcję, a także żądanie oraz przyjmowanie korzyści osobistych oraz majątkowych w łącznej kwocie kilku milionów złotych. Czyny będące przedmiotem postępowania Prokuratury Okręgowej w Warszawie obejmują przestępczą działalność ww. nie tylko na terenie Rzeczypospolitej, ale i na Ukrainie. Dowody, w oparciu o które prokurator formułuje zarzuty, uzyskane zostały w ramach międzynarodowego śledztwa prowadzonego przez wspólny zespół prokuratorów z Polski i Ukrainy, a także funkcjonariuszy CBA oraz ukraińskiej służby antykorupcyjnej NABU” – informuje Prokuratura Okręgowa w Warszawie.

CO ZROBI NOWAK?

Sławomir Nowak wyszedł z celi 12 kwietnia po tym, jak sędzia należąca do skrajnie upolitycznionego stowarzyszenia Iustitia nie zgodziła się na kolejne przedłużenie mu tymczasowego aresztowania. Nie może opuszczać kraju, ale zdaniem śledczych istnieje poważna obawa, że będzie chciał uciec z Polski. Gdzie? Zapewne nie na Ukrainę, gdzie rozkwitł jego proceder korupcyjny. Wiele wskazuje jednak, że pójdzie on śladem Romana Giertycha czy Leszka Czarneckiego, którzy za granicą chcą przeczekać „prokuratorską burzę”. Czy wyspie swoich politycznych opiekunów, którzy przez lata go chronili?



Naszemu Koledze

**Piotrowi
Kowalewskiemu**

składamy wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

TATY

koleżanki i koledzy z Fratrii

Jesteśmy z Tobą w tych trudnych chwilach

Lęki Tuska



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Po wybuchu afery hazardowej pod koniec 2009 r. Sławomir Nowak udzielił wywiadu dziennikowi „Polska The Times”. Przyznał w nim, że „to jest najpoważniejszy kryzys od powstania rządu” Donalda Tuska, ale był również pewien, że właśnie dzięki jego przysięgom „wyjdziemy z niego wzmocnieni”. A o samym premierze: „On nie jest żadnym nawiedzonym mistykiem, który ma olśnienia, ale na pewno jest dotknięty przez Pana Boga geniuszem i nieprawdopodobną intuicją. Premier zawsze szuka niestandardowych rozstrzygnięć i na tym też polega jego siła”.

Były premier jest coraz mniej finezyjny w retorycznych potyczkach. Raz bywa agresywny, raz histeryczny. Zachowuje się tak, jakby nie był już pewien, czy przyjaciele sprzed lat, dziś zagrożeni surową karą, dochowają milczenia. Czy naprawdę boi się Donald Tusk?

17-letnia różnica wieku między Donaldem Tuskiem a Sławomirem Nowakiem sprawia, że można by mówić o różnicy pokolenia, ale nie w tym przypadku. Politycznie Tusk Nowaka w zasadzie usynowił, był mu przewodnikiem i mentorem, ale szybko zaczął traktować go po partner-sku, wręcz z przyjaźnią. Wspierał go

nawet wtedy, gdy po aferze zegarkowej i pierwszych poważnych oskarżeniach o łapówki „złoty chłopiec PO” musiał odejść z rządu. „Trzymaj się w tych ciężkich dla ciebie chwilach. Jesteśmy z tobą” – mówił Tusk, co odebrano jako osten-tacyjną deklarację, że będzie go bronił do końca. To był sygnał na zewnątrz, ale

i do wewnątrz partii. By wszyscy mieli jasność, że Nowak jest osobą z najwyższego kręgu zaufania.

WYCHOWANEK

Sławomir Nowak jako 18-latek wstępował do Kongresu Liberalno-Demokratycznego, a w wieku 24 lat był szefem młodzieżówki Unii Wolności – Stowarzyszenia „Młodzi Demokraci” (w latach 1998–2002). W 2001 r. wyprowadził ją z UW i wniósł jako udział do powstającej Platformy Obywatelskiej. Przy Tusku nawet nie tyle stawiał pierwsze kroki w polityce, ile wręcz raczkował. Późniejszy premier niemal osobiście wychował sobie Nowaka tak, by ten był przygotowany do pełnienia każdej funkcji, zachowując podstawowy walor – lojalność, która nakazuje milczenie. Nowak sprawdzał więc po kolei możliwości, jakie daje bycie posłem przez cztery kadencje, szefem KPRM, szefem gabinetu politycznego premiera, ministrem konstytucyjnym (transportu, budownictwa i gospodarki morskiej) i prezydenckim, a po drodze jeszcze szefem pomorskiego regionu PO, członkiem władz partii czy szefem sztabu wyborczego kandydata na prezydenta (Bronisława Komorowskiego w 2010 r.).

W każdym z tych miejsc jest inne przełożenie na interesy, wpływy, układy i pieniądze. Największe możliwości dawało budowanie infrastruktury drogowej na Euro 2012, osobiście odpowiadał za to minister Nowak. Efekty w postaci kilometrów wybudowanych dróg może nie były porażające, ale – jak wówczas zauważali komentatorzy – nie chodziło o to, by zbudować, ale by budować. Jak w 2013 r. pisał „Forbes”, „na polskich drogach działał kartel zagranicznych spółek, który zdominował rynek i przez kilka kolejnych lat windował ceny usług budowlanych”. Efekt był taki, że koszty budowy dróg mogły być zawyżone nawet o 5 mld euro. Co się stało z tymi pieniędzmi? Biorąc to na zdrowy rozsądek, musiały pójść – jak to jest w gangsterskich historiach – „w górę” i nakarmić cały łańcuszek osób, które miały moc decyzyjną i taką działalność umożliwiły. Kto ma o tym pełną wiedzę? Do jakiego szczebla może sięgać taka ścieżka?

ŚCIEŻKA DO BOSSA

Z medialnych doniesień po zatrzymaniu Sławomira Nowaka przed dziewięcioma miesiącami wiemy, że to wzbudziło spory popłoch wśród polityków PO. Szczególnie musiała zaniepokoić ich przekazana przez Zbigniewa Ziobrę informacja, że „udało się przekonać jednego z kluczowych świadków mających wiedzę o działalności byłego ministra transportu Sławomira N. do współpracy z prokuraturą”. Ciepło, coraz cieplej. Tusk co prawda nadal nie ma powodu, by nie wierzyć w to, że jego wychowanek dochowa milczenia, ale z każdym takim komunikatem musiało mu się podnosić ciśnienie.

Tym bardziej że CBA zatrzymało byłego prezesa PKN Orlen Dariusza K.

Z medialnych doniesień po zatrzymaniu Sławomira Nowaka, wychowanek Donalda Tuska, wiemy, że to wzbudziło spory popłoch wśród polityków PO

(lepiej znanego pod drugim imieniem – Jacek) oraz mężczyznę, który w jego imieniu miał przekazywać łapówki Nowakowi. To były pieniądze (łącznie ok. 200 tys. zł) za posadę w paliwowym koncernie. Zatrzymano także Wojciecha T., byłego członka zarządów spółek PGE i Energa, który miał zapłacić dwa razy. To w zasadzie zrozumiałe, skoro mówimy o dwóch posadach. Nowak był wówczas szefem gabinetu premiera Donalda Tuska, a następnie ministrem transportu w jego rządzie.

Brzmi to jak opowieść o mafijnych interesach. W tych historiach pieniądze zawsze wędrują stopniami, aż do samego bossa. Jednocześnie szef nie jest w nic oficjalnie zamieszany, „robotę” robią za niego kapitanowie. To najbardziej zaufani i sprawdzieni ludzie. Połączeni niczym więzami krwi, gotowi wziąć na siebie winę przełożonego. Dlatego ci z samej góry są tak trudni do złapania i osądzenia. Udaje się to praktycznie tylko wtedy, gdy ktoś

z niższych szczebli pęknie i uda się odtworzyć ścieżkę, którą płynie kasa. Pójście na współpracę z organami ścigania to jedyna droga „wyjścia z interesu”.

NIE CAŁKIEM ODSUNIĘTY

Po aferze z zegarkiem, którego Nowak nie wpisał do pięciu kolejnych oświadczeń majątkowych, sąd uznał jego winę, ale umorzył postępowanie karne. Były minister oficjalnie zerwał z polityką w połowie 2014 r., jednak za kulisami był wciąż bardzo istotny. Nieformalnie doradzał namaszczonej na stanowisko przez Tuska premier Ewie Kopacz, miał wpływ na kształt list wyborczych PO na Pomorzu w wyborach w 2015 r., a w ub.r. dowiedzieliśmy się od Borysa Budki, że „był jedną z osób, które pracowały, doradzały w sztabie Rafała Trzaskowskiego”.

W zasadzie nie powinno to dziwić, tak działa Platforma, nawet poważne podejrzenia czy zarzuty nie są podstawą do usunięcia z szeregow partii. Wciąż żywa jest tzw. doktryna Neumanna, który na ujawnionych dwa lata temu taśmach mówi lokalnemu działaczowi PO: „Pamiętaj: jedna zasada jest dla mnie święta, k...a. Naucz się tego, jak będziesz o czymkolwiek rozmawiał. Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a, jak niepodległości. Jak wyjdiesz z Platformy, to masz problem”.

Wyjazd Nowaka w 2016 r. na Ukrainę i podjęcie pracy w odpowiedzialnej za drogi agencji Ukravtodor to nie był przypadek. Po definitywnej utracie władzy w 2015 r., musiał sobie gdzieś „dorobić”. Oficjalnie miał zarabiać 1,5 tys. zł miesięcznie. „Są takie rzeczy w życiu, gdzie pieniądze nie są najważniejsze” – mówił wtedy Nowak. Po kilku miesiącach dostał podwyżkę i zarabiał już ok. 16 tys. zł. A dziś się okazuje, że zarobił miliony, tyle że nielegalnie. Ktoś go Ukraincom rekomendował. Ktoś, kto świetnie zna jego talenty i wie, że nie ma takiej branży, w której by sobie nie poradził.

Najprawdopodobniej ten sam ktoś właśnie przybył Nowakowi z pomocą. 9 kwietnia podczas wywiadu w TVN24 niepytany o swojego wychowanek wypalił, że jest on „więźniem politycznym”. Następnego dnia roboczego warszawska sędzia Agnieszka Domańska zwolniła Nowaka

z aresztu, mimo że wcześniej sądy kilkakrotnie uznawały, iż pozostawanie na wolności „złotego chłopca PO” stanowi poważne ryzyko mataczenia w śledztwie, w którym prokuratorzy mają jeszcze sporo do zrobienia (przypomnijmy, że poza zarzutami za czas szefowania Ukrainie Nowak będzie się też musiał bronić przed oskarżeniami o łamanie prawa w trakcie pełnienia funkcji szefa kancelarii premiera Tuska).

I jak tu nie myśleć, że poskutkowało słowo z wywiadu szefa Europejskiej Partii Ludowej: „Słychać przede wszystkim spekulacje i plotki, że przetrzymywany jest w areszcie po to, żeby go złamać i zmusić do składania jakichś politycznych zeznań”. Zabrzmiało, jakby Tusk jednak się czegoś bał.

BEZWZGLĘDNY JAK TUSK

Były premier jest mistrzem politycznego kuglarstwa, zwłaszcza w obliczu własnych kłopotów. Potrafi zręcznie sięgnąć do starej maksymy, według której najlepszą obroną jest atak. Nie waha się przed ciosami poniżej pasa, jest wyżyty skrupułów. Nawet wobec osób, które nie mogą się bronić, bo nie żyją.

Udowodnił to wspomnianym wywiadem. W przeddzień 11. rocznicy katastrofy smoleńskiej przypuścił potężny szturm na śp. Lecha Kaczyńskiego. „Piloci byli poddani presji politycznej. Prezydent Lech Kaczyński także w rozmowie ze mną w cztery oczy podkreślał, po tzw. incydencie gruzińskim, że od czasu, kiedy pilot odmówił lotu do Tbilisi prezydentowi, że on sam będzie podejmował decyzje, kiedy będzie latał samolotem rządowym, prezydenckim, ponieważ jest głównodowodzącym”.

Po 11 latach przypomniał sobie o takiej rozmowie? Dotychczas był litościwy dla tragicznie zmarłej głowy państwa? By w to uwierzyć, trzeba wykrzesać w sobie co najmniej taki serwilizm wobec Tuska, jaki charakteryzuje Nowaka.

Prawda jest zupełnie inna. Takiej rozmowy nie było, bo nie mogło być. Lech Kaczyński po „incydencie gruzińskim” nie miał już do Tuska najmniejszego zaufania. Kancelaria premiera przed tym wyjazdem odmawiała pierwszemu

obywatelowi samolotu (nie pierwszy raz), a zmieniła zdanie dopiero po tym, jak Amerykanie zadeklarowali pomoc Kaczyńskiemu w dostaniu się (wraz z innymi przywódcami naszego regionu) do ogarniętej wojną Gruzji.

Tusk dziś kłamie. Wymyśla nowe zarzuty pod adresem nieżyjącego prezydenta, by odsunąć cień podejrzeń od siebie. Metoda to nikczemna, w dodatku skazana na porażkę. Bo swoich problemów z powodu zdarzeń z 2009 i 2010 r. były premier nie uniknie. Tej hańby nigdy nie zmyje. Być może dopiero dziś dociera do niego ta świadomość.

Dlaczego właśnie teraz zdecydował się na taki atak przed rocznicą tragedii smoleńskiej? Dlaczego nie wybrał milczenia albo zagranicznego wyjazdu – jak

Były premier jest mistrzem politycznego kuglarstwa, zwłaszcza w obliczu własnych kłopotów. Potrafi zręcznie sięgnąć do starej maksymy, według której najlepszą obroną jest atak

np. w 2013 r., gdy właśnie na 10 kwietnia zaplanował wizytę w Nigerii? „Premier jest osobą, która każdą tę rocznicę przeżywa jednakowo głęboko, z wielką powagą i szacunkiem dla wszystkich tych, którzy zginęli w tej katastrofie. [...] Tym ludziom należą się przede wszystkim pamięć, szacunek oraz dzień refleksji i spokoju” – tłumaczyła wówczas pryncypała Ewa Kopacz. Spokój ofiarom już się nie należy? Już można po nich jeździć? Dlaczego Tuskowi puściły hamulce? Czy można to tłumaczyć czymś innym niż strachem?

ZDRADA

W marcu poznaliśmy nagranie ze spotkania byłego premiera z Edmundem Klichem, które odbyło się 23 kwietnia 2010 r.

Poza tym, że postawa ówczesnego szefa rządu sama w sobie była skandaliczna (zamiast kajać się za lekceważenie kwestii prawnych związanych z wyjaśnianiem katastrofy i brak jakiegokolwiek wsparcia dla akredytowanego przy MAK), zapis tej rozmowy pokazał coś jeszcze. Rzucił nowe światło na konferencję prasową Tuska z 28 kwietnia. Wtedy po raz pierwszy od tragedii zabrał publicznie głos. I powiedział m.in.: „Współpraca ze strony Rosjan jest lepsza, niż wymaga tego konwencja chicagowska. A więc ponadstandardowa. Tak czy inaczej, Prokuratura Generalna czy inni urzędnicy, którzy pracują nad wyjaśnieniem sprawy, wiedzą, że jakiegokolwiek ze strony rosyjskiej działania, które my byśmy uznali za utrudniające nam pracę, będą mnie natychmiast o tym informowali i będę też natychmiast interweniował, jeśli będzie taka potrzeba, u premiera i prezydenta Rosji. Na razie nie było takiego przypadku”.

Były. I Tusk o nich wiedział. Najpóźniej mógł się dowiedzieć o nich pięć dni wcześniej od Klicha. Dziś nie mamy więc wątpliwości, że tą wypowiedzią nie tylko okłamał opinię publiczną, rodziny ofiar, lecz także zachował się sprzecznie z polską racją stanu, tuszując manipulacje Rosjan, ukrywanie przed Polakami dowodów. Ta konferencja była dla Moskwy ostatecznym sygnałem, że mogą sobie pozwolić na dowolne mataczenie w śledztwie, a Polska na to nie zareaguje.

Nie to jednak wypełnia znamiona naruszenia przez ówczesnego premiera art. 129 Kodeksu karnego, dotyczącego zdrady dyplomatycznej. Chodzi tu o wiele decyzji (bądź ich brak) związanych z podstawą prawną badania katastrofy i innymi działaniami prowadzącymi do niezapewnienia stronie polskiej należytej pozycji w wyjaśnianiu tragedii. To Tusk zaakceptował narzucony przez Rosjan niekorzystny dla Polski załącznik 13. do konwencji chicagowskiej, zrezygnował z wysłania do Smoleńska i Moskwy większej liczby polskich specjalistów, nie domagał się przejęcia dowodów (czarnych skrzynek i wraku samolotu), odrzucił ofertę pomocy ze strony zachodnich sojuszników. W zasadzie w każdym elemencie zachował się odwrotnie, niż powinien.



Fot. Archiwum

Jego zwyczajem stało się załatwianie spraw „na gębę”, unikanie czytania dokumentów, by nie musieć podejmować działań (znamy to choćby z afery Amber Gold), cedowanie wszelkiej odpowiedzialności na podwładnych. Jednak w tej sprawie udało się zebrać bogaty materiał dowodowy – w postaci licznych dokumentów i zeznań świadków. Śledztwo jest już w zasadzie skończone. Pozostaje do podjęcia decyzja procesowa o stawianiu zarzutów.

Słusznie dywagował w marcu 2019 r. Radosław Sikorski, gdy po swoim przesłuchaniu w tym postępowaniu powiedział: „Intuicja mi podpowiada, takie wrażenie odniosłem, że to idzie w kierunku zarzutów wobec być może Donalda Tuska”. W innym iść po prostu nie może.

POD RĘKĘ Z PUTINEM

Podkreśliśmy: chodzi o wydarzenia po 10 kwietnia 2010 r. Ale nie sposób zapomnieć o zdarzeniach sprzed katastrofy. Może nawet są one głównym powodem strachu byłego premiera. Chodzi o współpracę z Rosjanami w celu wyeliminowania z katyńskich uroczystości rocznicowych Lecha Kaczyńskiego

– zniechęconego przez Moskwę (zwłaszcza po Gruzji) i przeszkadzającego Tuskowi w prowadzeniu samodzielnej (wbrew konstytucji) polityki zagranicznej, a zwłaszcza infantylnej próbie ocieplania stosunków z Putinem.

Do dziś nie znamy szczegółów rozmów ze stroną rosyjską. Wiemy jedynie, że Rosjanie twardo zapowiedzieli, że nie życzą sobie wspólnych uroczystości z polskim prezydentem, a rząd bezkrytycznie na to przystał. Nie wiemy, jak wyglądały rozmowy Tomasza Arabskiego z Jurijem Uszakowem, szefem administracji Putina, w moskiewskiej restauracji Dorian Gray. Szef KPRM zabronił informować ambasadora Jerzego Bahra o treści spotkania, a w pewnym momencie nawet wyprosił z niego tłumaczkę.

Czy Tusk może się obawiać, że Rosjanie dysponują wiernym zapisem tej rozmowy i wielu innych? Czy obecny szef EPP od 11 lat jest zakładnikiem własnych knałów przeciw głowie państwa? Czy tu należy upatrywać przyczyny pełnego oddania pola Rosjanom po 10/04 i oszukiwania opinii publicznej? Jeśli tak nie jest, to jaka może być inna przyczyna postawy polskiego premiera po katastrofie?

Dziś Tusk już wie, że sądy (choć często wciąż przychylne obozowi PO) mogą skazywać za Smoleńsk. Arabski usłyszał wyrok (skromny, wręcz symboliczny) za wysłanie samolotów z premierem i prezydentem na nieczynne lotnisko. Nad Tuskiem wiszą konsekwencje poważniejszych nieprawidłowości.

Dotychczas umiał ich unikać, a gdy na horyzoncie pojawiało się zagrożenie wizerunkowe, przy pomocy oddanych żołnierzy uciekał się do sprytnych sztuczek, czasem politycznych eventów. Jednym z nich był „spacer z Tuskiem” przed przesłuchaniem w sprawie współpracy polskiego kontrwywiadu wojskowego z rosyjską FSB. To wydarzenie wymyślono i nagłośniono na łączach pomiędzy pełnomocnikiem Tuska Romanem Giertychem a SokiemzBuraka.

Znamy cały katalog żelaznych trików byłego szefa PO. W trudnych dla niego sytuacjach miał kilka wypróbowanych scenariuszy: milczenie (po Smoleńsku przez 18 dni!) i obserwowanie rozwoju sytuacji, odsunięcie kłopotów w czasie (tweet o treści: „Przykra sprawa. Nie lekceważę jej. W poniedziałek o 15 odniosę się do niej publicznie na konferencji prasowej” po ujawnieniu afery taśmowej), składanie twardych obietnic bez pokrycia (np. chemicznej kastracji pedofilów). W ostatnich latach do swojego repertuaru dołączył jeszcze wygłupy internetowego trolla.

Potrafi być bezlitosny. Przekonało się o tym nawet wielu liderów PO (Zyta Gilowska, Maciej Płażyński, Andrzej Olechowski, Paweł Piskorski, Jan Rokita, a nawet Grzegorz Schetyna). Ale żadnego z nich nie spotkało to, czego doświadczyli ze strony dawnego kolegi z „S” bracia Kaczyńscy. Dodatkowo od 2005 r. współtwórca PO uwiera porażka w wyborach prezydenckich. Tak dojmująca, że stała się powodem rezygnacji ze startu w 2020 r. Wołał pozostać na politycznym aucie, jakim de facto jest administrowanie Europejską Partią Ludową. Strach przed drugą przegraną z kandydatem PiS?

Wielkości Tuska jego zwolennicy upatrują w kwestiach wizerunkowych, „fajności”, sprawności, „światowości”, a nie w postawach patriotycznych. Ale zapewne nawet dla nich abdykacja od obowiązków polskich na rzecz Rosji to mogłoby być za dużo. A co jeśli wreszcie ją dostrzegą? Jest się czego obawiać. ▀



Lincz nieudany

Posel opozycji pan Marek Sowa wyliczył wartość domu hen daleko od Warszawy, w Małopolsce, na 5 mln zł. Proponowałem mu, że sprzedam i za 2 mln. Nie skorzystał. Wartość mojego domu określił po cenie 17 tys. zł za metr kwadratowy, a swojego podał po tysiąc za metr. To kpiny

*Wojciech Biedroń i Michał Karnowski rozmawiają z **Danielem Obajtkiem**, prezesem PKN Orlen*

Już sześć tygodni trwa medialny atak na pana. Przeszłość, współczesność, każda relacja, wszystko jest sprawdzane, o wszystko padają najcięższe zarzuty. Wie pan, kto za tym stoi?

Daniel Obajtek: To ważne pytanie, może kluczowe, ale z jednoznaczną odpowiedzią mam kłopot na tym etapie. Bo prawda jest taka, że gdziekolwiek spojrzę, tam widzę, jak wielkie interesy nadwyrężyliśmy. Bo jak było przedtem? Orlen, firma z ogromnym potencjałem,

wielkim rynkiem, dobrym położeniem geograficzno-politycznym, nie wykorzystywała swoich możliwości. Była to firma gasnąca. Celowo zwijana w okresie rządów PO-PSL.

Co miało być finałem tego zwijania?

Prywatyzacja. Sprzedaż. A niby po co tę firmę dzielono na kawałki i po kawałku wyprzedawano? Przykładem może być spółka transportowa, którą spotkał ten los. Jak można odsprzedać coś, co za-

rabia dzięki Orlenowi, ma pewny zysk, na dodatek jest elementem bezpieczeństwa dostaw? Zrobiłem wszystko, by to odwrócić. I także tę firmę udało nam się odkupić, znowu jest częścią grupy.

Z czego wynikał ten kierunek działań poprzedników?

Ktoś chciał zarobić. Ale wielu też wierzyło, że kapitał nie ma narodowości, a wszyscy żyją w bratniej przyjaźni i nie ma znaczenia, kto jest właścicielem. Ta

teza usypiała czujność Polaków, którzy w efekcie mało zarabiali, choć pracowali i pracują najciężej w Europie. Pozbywaliśmy się skarbów gospodarczych, godziliśmy na rolę eksportera młodej siły roboczej.

Ale podobno umieli zarabiać pieniądze, znali się na ekonomii.

Umieli zarabiać, ale dla siebie, bez jakiegokolwiek myśli o spółce, o państwie. Sięgnijmy do liczb. Średni zysk netto Orlenu za ich czasów wynosił 300 mln zł rocznie, obecnie to średnio 5 mld zł netto rocznie. Nie wiem, jak oni w ogóle śmiać się jeszcze odzywać.

Były prezes Orlenu z czasów Tuska pan Jacek Krawiec właśnie stwierdził: „Mam wrażenie, że pan Obajtek prowadzi Orlen niczym Titanica na wielką górę lodową”. Co pan na to?

Pan prezes Krawiec powinien zamilknąć, bo opowiada herezje, które nie przystoją osobie przez osiem lat kierującej Orlenem. Z drugiej strony, cóż ma mówić, gdy każdy może porównać dorobek Orlenu z jego i naszych czasów? W ciągu roku wypracowaliśmy podobny zysk, jak on w czasie całych ośmiu lat. Groziła wtedy Orlenowi utrata płynności finansowej. Firma właściwie nie inwestowała, operując na rafinerii już wtedy 50-letniej. A gdy już zainwestował, to w Kanadzie Zachodniej, w przedsięwzięcie całkowicie nieudane i z polskiego punktu widzenia bezsensowne.

Za jego czasów gospodarka zwiększała zapotrzebowanie na paliwa, ale ten popyt zaspokajały mafie paliwowe, a nie Orlen. Wiedzą panowie, że kiedy obóz Zjednoczonej Prawicy wdrożył pakiet paliwowy, zaczął uszczelniać cały ten system, to sprzedaż oleju napędowego skoczyła o 45 proc.? Tak bardzo, że nasza logistyka na chwilę zatrzeszczała.

Bo rosnący popyt zaspokajały wjeżdżające na lewo tysiące cystern z lewym paliwem?

Tak było. Im to pasowało, bo na końcu miała być prywatyzacja. Dla nich zatem im było gorzej, tym lepiej. Do tego

cała masa różnych interesów oplatających Orlen.

A teraz?

Zaczynamy inwestować w produkcję petrochemiczną, nawozów sztucznych, w energetykę, handel detaliczny. Ograniczamy import ropy ze Wschodu, ostatnio o kolejne 2 mln ton rocznie. Realizujemy fuzje: przejęliśmy Energe, co wielu zdziwiło, bo sądzili, że skończy się na gadaniu. Konsekwentnie prowadzimy proces przejęcia Lotosu i PGNiG. W naszej grupie jest też Ruch, rozwijamy dom mediowy.

No i chciał pan kupić Polska Press.

I Orlen kupił Polska Press. Ta transakcja została sfinalizowana zgodnie ze wszyst-

W 2008 r. na prezesa Orlenu powołany został pan Wojciech Heydel. Pełnił tę funkcję przez pół roku. Wiecie, ile zarobił w tym czasie? 7,6 mln zł. Może pan posła Sowa i inni powołają w tej sprawie komisję śledczą?

kimi przepisami prawa na początku marca. Ale jeszcze wymienię Lotos. Tu też wieszczono, że potkniemy się o Komisję Europejską. Przeszliśmy i tę przeszkodę, wstępną zgodę skutecznie wynegocjowaliśmy.

Wtedy zaczęły się pana problemy. Może to jest ten odcisk, na który pan nadepnął? Układ gdański kontratakuje?

Na pewno mają w tym swój interes. Ale przede wszystkim są to międzynarodowe grupy, które wiedzą, że stracą miliardy, gdy Polska przestanie być rynkiem zbytu dla produktów petrochemicznych, a nasze inwestycje do tego zmierzają. Te grupy widzą, że Polacy zaczęli wreszcie działać w dużej skali. Przestali tylko gadać. Zaczęli, to o czym

mówili, z konsekwencją realizować. To są miliardy potencjalnych oszczędności dla nas. I te miliardy ktoś straci. Bo będą wspólne zakupy surowca. Dziś Orlen i Lotos, należące do tego właściciela, z sobą konkurują. Śmiano się z nas – dwie polskie firmy, obie z udziałem skarbu państwa, a rywalizują o zakup surowca, w efekcie obie kupując drożej. Rozgrywają nas, ale widzą, że to się kończy.

Tu pada argument, że dzięki temu klient ma wybór, lepszą ofertę.

Bzdura. Nie tworzymy monopolu. Klient nadal będzie mógł wybierać. Orlen ma tylko 27 proc. sprzedaży detalicznej, Lotos ok. 7–8 proc. Klient tylko na tej fuzji zyska. Główna zmiana nastąpi w obszarze kosztów zakupu surowca i kosztów produkcji.

Prasa opozycyjna szydzi, że w istocie chodzi o parówki. By te przez pana wskazane trafiły do sieci handlowej Orlenu.

To jest gest rozpachy. Parówki do hot dogów, wokół których zrobiono taką aferę, to niewielki procent całej sprzedaży. Dostawców zawsze wybieramy z największą starannością i troską. A dlaczego nie mówią o bułkach do hot dogów? Bo kiedyś nawet je importowano, jakby w Polsce nie można było ich wypieć. Dziś są polskie, a 85 proc. oferty pozapaliwowej zostało wytworzone w kraju. Dlaczego nie mówią o tym, że budowali po sześć stacji rocznie przy zwiżaniu starych? My dziś budujemy po 40–50 rocznie.

Te inwestycje też obracają w zarzut – gdyby ich nie było, dywidenda byłaby podobno większa, a zadłużenie mniejsze.

To jest ten sam sposób myślenia, który doprowadził ich do wniosku, że likwidacja połączeń kolejowych jest sposobem na uzdrowienie kolei, a posterunków policji na oszczędności w budżecie. To jest traktowanie Polaków jak ludzi bezmyślnych. Każdy koncern, który nie inwestuje, de facto się zwija. Jak można konkurować, mając przestarzałe instalacje petrochemiczne i rafineryjne? Albo niedoinwestowany

detal? Prywatyzacją po kawalku, a potem pozwalaniem, by te już prywatne spółki odsącały zysk Orlenu? Oddawaniem rynku innym? To jest ekonomia jakiejś republiki bananowej, a nie poważnego państwa. Dziś szczególnie trzeba inwestować, bo kredyt jest łatwiej dostępny, pieniądz jest tani. No i jeszcze: dywidendę płacimy dużo większą niż za czasów PO-PSL.

Na rynku mówi się, że ataki na pana to gra o nowy zarząd połączonego koncernu. To prawda? Trzeba będzie wybrać nowe władze dużej spółki?

Wiem, że wielu marzy o tym stanowisku. W ciągu kilku tygodni pokażemy strukturę transakcji i z tego będzie wynikało, jak będzie wyglądał nowy zarząd. Jednak czasy, kiedy prezesi działali jak pan Krawiec, minęły i chcę to wszystkim wyraźnie powiedzieć.

W jakim sensie?

Proste porównanie: pan Krawiec zarobił na tym stanowisku 26 mln zł, a w samym roku 2014, gdy spółka zanotowała stratę netto na poziomie 5,8 mld zł, on zarobił prawie 3 mln zł. A niektórzy jego dyrektorzy zarabiali po 70 tys. zł. Żeby jeszcze dawał z siebie wszystko za te pieniądze.

Pan też zarabia.

Tak, ale prawie dwa razy mniej. Jeszcze taki kwiatek, o którym powiem panom po raz pierwszy. Oto w 2008 r. na prezesa Orlenu powołany został pan Wojciech Heydel. Pełnił tę funkcję przez pół roku. Wiecie, ile zarobił w tym czasie? 7,6 mln zł. Może pan poseł Sowa i inni powołają w tej sprawie komisję śledczą?

A pana zarobki?

Jestem najmniej zarabiającym prezesem Orlenu, nawet biorąc pod uwagę prezesa Wróbla, który kierował tą spółką 18 lat temu, w 2002 r. Dziś ja zarabiam 15-krotność średniej krajowej. W tamtym czasie była to 40-krotność średniej krajowej. Oczywiście z wyłączeniem przypadku pana Heydla.

Dlatego dość już tych kłamstw na mój temat. Jak z człowieka, który pra-

cjuje z maksymalnym oddaniem, całe życie oszczędza, nie wydaje na bzdury, który dostał też nieco majątku od ciężko pracujących rodziców, można robić w oczach opinii publicznej jakiegoś przestępcę? Jak można pomijać to, że byłem wielokrotnie sprawdzany przez odpowiednie służby, w tym CBA za czasów pana Wojtunika i prokuraturę za czasów pana Seremeta?

Tu uszyto taką opowieść: agenci panu odpuszcili, a pan ich zatrudnił w podzięce.

To kolejne kłamstwo, bo gdyby tak było, to już w 2011 r. musieliby wszyscy wiedzieć, że w 2018 r. zostanę prezesem Orlenu. Czy ktoś wtedy pomyślał, że przyniesiona mocno strona patriotyczna wygra za cztery lata wybory parlamentarne i prezydenckie? To absurdy.

Muszę też autorów tej kampanii rozczarować – z badań wynika, że celu nie osiągnęli. Także dzięki temu, że media, takie jak tygodnik „Sieci” i portal wPolityce.pl, pokazywały prawdziwy obraz sytuacji. Wielu Polaków nadal ocenia moją pracę pozytywnie, za co dziękuję

Prokuratura umorzyła postępowanie w sprawie pana majątku, ale wytknęła „rażącą niestaranność” w składaniu oświadczeń majątkowych.

I nie mam o to pretensji, bo wszyscy wtedy – a był to rok 2011 – uczylimy się składania oświadczeń majątkowych. Na przykład mówiono nam na szkoleniach, że użytkowania wiecznego nie należy podawać jako składnika majątku. Tak zrobiłem. A potem zmieniono wytyczne. Inna sprawa: czy połączone mieszkania podajemy jako jedno czy dwa? Wpisałem jedno, podając pełen metraż. Też okazało się

źle. W ten sposób popełniłem tę „rażącą niestaranność”. Ale wyciągnąłem wnioski. Zbieram każdy kwiatek, każdą fakturę, o wszystko dopytuję pięć razy.

A potem, bliżej współczesności, pana sprawdzano?

Gdy zostałem prezesem Orlenu, sprawdzano mnie i mój majątek przez siedem miesięcy, do spodu, bo to funkcja niezwykłe z punktu widzenia interesów państwa ważna. Więcej – po tej nagonce i kłamstwach dotyczących majątku ujawniłem wszystkie moje dokumenty finansowe, PIT-y, umowy i darowizny od roku 1998. Kto inny mógłby się na to zdobyć? Teraz już nie ma żadnej tajemnicy, wszystko co do złotówki jest udokumentowane. Nawet darowizny od rodziców. Ilu z nas chodziło kiedyś do notariusza w takich sprawach? A ja wiedziałem, że te dranie niczego mi nie darują.

Ma pan te pałace i dziesiątki działek czy nie ma?

Zacznijmy od pałacu. Poseł opozycji pan Marek Sowa wyliczył wartość domu hen daleko od Warszawy w Małopolsce na 5 mln zł. Proponowałem mu, że sprzedam i za 2 mln. Nie skorzystał. Wartość mojego domu określił po cenie 17 tys. zł za metr kwadratowy, a swojego podał po tysiąc za metr. To kpiny.

Kolejny przykład to mój zegarek, który faktycznie wart jest kilkaset złotych, wyceniono na prawie ćwierć miliona. Też zaproponowałem sprzedaż choćby za kilka tysięcy. Również nie skorzystano.

Teraz działki. Ta liczba bierze się ze scalenia w jeden dwuhektarowy kawałek wielu małych nieruchomości, w tym użytków rolnych. Część z nich dostałem po rodzicach. Połączenie tego to ta moja „zbrodnia”?

A darowizny? Skąd rodzice mieli pieniądze?

Pomija się, że mój ojciec przez ćwierć wieku prowadził firmę budowlaną, zatrudniał ludzi, malował, remontował szpitale, zakłady pracy, duże obiekty, ciężko pracując. Jestem mu wdzięczny, że coś nam zostawił z tej harówki. Ciężko



pracowała cała rodzina, brat np. nie był tylko leśnikiem, ale też prowadził w pewnych okresach życia działalność gospodarczą, bo jest też geodetą. A ja mam 27 lat nieprzerwanej, udokumentowanej pracy, najczęściej po 16 godzin na dobę.

Ale przecież wszystkiego pan nie odkładał? Wydawał pan na zagraniczne wakacje?

Właśnie, że zawsze odkładałem większość tego, co zarobiłem, i inwestowałem. Mam też w sumie 1,4 mln zł kredytów, o czym, wyliczając mój majątek, się nie wspomina. To, co zorganizowano wobec mnie, to jest próba linczu. Kogo innego pełniącego podobną funkcję przez 40 dni obrzucano błotem? Wobec kogo szukano haków tak otwarcie – gdy jedne obalałem, wymyślano kolejne. To próba ataku także fizycznego, bo po co ujawniono moje adresy, nawet PESEL ostatnio. Żeby mnie ktoś dopadł?

Ma pan ochronę?

Teraz muszę mieć, nie jako Daniel Obajtek, bo dam sobie radę, ale prezes Orleń. Zawsze żyłem normalnie, brałem siatkę i szedłem na zakupy.

W niedzielę chodziłem spokojnie do kościoła. Zabrano mi tę normalność i elementarną prywatność. Niestety nie ma wyjścia, bo pan Sowa postanowił pobrylować na moim dobrym imieniu. Także niektóre media, polując na mnie, złamały wszelkie zasady przyzwoitości. A przecież nie jestem w polityce, nie mam aspiracji na stanowiska rządowe, jestem w biznesie.

Może dlatego, że Orlen wszedł w media. A to w III RP obszar zastrzeżony dla wybranych. Przejmie pan ostatecznie wydawnictwo Polska Press?

Panowie, Orlen kupił już Polska Press. Pracują dla nas doskonale kancelarie prawne krajowe i międzynarodowe. Z ich analiz wynika jednoznacznie, że postanowienie sądu nie ma żadnego przełożenia na nasze prawo własności do legalnie już kupionej spółki. Zarządzamy nią normalnie. Tu wszystko zostało dotrzymane: uzyskaliśmy konieczne zgody, transakcję przeprowadziliśmy. Żadna z jej stron niczego nie skarżyła. I co mam zdaniem sądu zrobić? Przestać się kupioną firmą zajmować? Dopuścić, by poszła w rozsypkę i upadek? Gdybym to zrobił, odpowiadałbym karnie. Sąd tego nie wziął pod

uwagę. Nie zauważył także, że na rynkach lokalnych nic się nie zmienia – są te same gazety, takie samo otoczenie konkurencyjne. Zmienił się jedynie właściciel udziałów w Polska Press. Być może te błędy sądu wynikają z tego, że decyzję podejmowano tak błyskawicznie? Część dokumentów trafiła do sądu 7 kwietnia, część 8 kwietnia i już tego dnia była decyzja. Ekspresowe tempo wskazujące na polityczne, a nie prawne motywy.

Ta próba linczu, jak pan wspominał, skończy się?

Nie sądzę. Ona skończyłaby się, gdybym skapitulował. Przestał budować duży i silny koncern. Ale tego nie zrobię. Muszę też autorów tej kampanii rozczarować – z badań wynika, że celu nie osiągnęli. Także dzięki temu, że media, takie jak tygodnik „Sieci” i portal wPolityce.pl, pokazywały prawdziwy obraz sytuacji. Wielu Polaków nadal ocenia moją pracę pozytywnie, za co dziękuję. Jedyne, co uzyskali oszczercy, to zbudowali moją rozpoznawalność. Trudno, jakoś to przeżyję. Nadal będę żył normalnie, działał i nie mam zamiaru tłumaczyć się ciągle, że nie jestem wielbłądem.



Policja do bicia

„Każdy, kto podnosi rękę na polskiego policjanta, de facto podnosi rękę na państwo polskie” – mówił siedem lat temu Donald Tusk. Dziś już tak nie uważa. Co się stało?



STANISŁAW JANECKI

Podczas protestu około 200 covidosceptyków w Głogowie (11 kwietnia 2021 r.) uczestnicząca w nim kobieta krzyczała do poli-

cjanta: „Wypie...alaj k...wo je...ana! Wy... bał ktoś ci k...wa kiedyś?”, i zaczęła go szarpać. W tej sytuacji funkcjonariusz ostrzegł ją o możliwości użycia środków przymusu bezpośredniego, a gdy nie ustawała w agresji, obezwładnił ją i położył na ziemi. Została zatrzymana. „Ustałem nazwisko tego policyjnego bandyty z Głogowa. [...] Za dwa lata nie będzie go w tej formacji. Będzie szukał pracy w białoruskim OMON!” – napisał na Twitterze poseł KO Michał Szczerba. „Interwencja

w Głogowie stanowi kolejny przykład dysproporcji pomiędzy zachowaniem obywatelki a podjętymi wobec niej działaniami ze strony policji” – napisał na Twitterze RPO Adam Bodnar.

Zareagowali też przedstawiciele Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur, Okrutnego i Poniżającego Traktowania, czyli zespołu działającego w ramach Biura RPO. Najpierw nie dostrzegli w działaniach kobiety tego, co faktycznie zrobiła, a potem uznali, że „interwencja funkcjonariusza była nieproporcjonalna do sytuacji i nie znajduje uzasadnienia z punktu widzenia celu samej interwencji”. Wniosek ogólny był taki: „Przejawy przemocy wobec osób biorących udział w protestach społecznych, prezentowane przez niektórych funkcjonariuszy policji, powinny być traktowane jako niedopuszczalne zachowania, rzutujące w sposób negatywny na wizerunek całej formacji”. Przywołano też „tortury, nieludzkie i poniżające traktowanie”, które „stanowią najbardziej skrajny przykład łamania praw człowieka, wyrażają pogardę dla jego godności i degradują społeczeństwo, które na nie przyzwala”.

Interweniowała również pełnomocnik terenowy RPO we Wrocławiu Katarzyna Sobańska-Laskowska, twierdząc, że mogło dojść do „rażącego naruszenia zasad proporcjonalności, subsydiarności i minimalizowania szkód, sformułowanych w art. 6 i 7 ustawy o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej”.

Tymczasem funkcjonariusz nazwany przez posła Szczerbę „bandytą” działał na podstawie art. 11 pkt 1 Ustawy o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej. I wprawdzie użył pałki, ale uderzył nią w wypchaną torebkę, którą kobieta miała na wysokości biodra, więc zapewne nawet tego nie poczuła. Okazało się później, że zatrzymana kobieta ma już na koncie udział w bójce.

Przypadek z Głogowa dowodzi, że policjantów można obrażać, upokarzać, opluwać i atakować fizycznie do woli, oni zaś powinni być bierni, a wręcz gotowi nadstawiać drugi policzek i przepraszać, że śmieli się znaleźć na drodze zadymiarzy. To po co w takim razie policja?

CHŁOPCY DO BICIA

Kuriozalne jest to, że największymi obrońcami zadymiarzy, atakujących

w Polsce policję, są posłowie. To oni wchodzi w tłum podczas interwencji funkcjonariuszy, przerywają policyjne kordony lub na nie napierają, są tarczami, za którymi podążają uczestnicy protestów i demonstracji. To oni niweczą plany policji, pogłębiając chaos i doprowadzając do niekontrolowanych wybuchów. W ich obecności funkcjonariuszy szarpie się, uderza, popycha, opluwa czy obraża za pomocą wulgarnych określeń.

Szczególne upodobanie w sprawowaniu mandatu poselskiego w tłumie konfrontującym się z policją demonstrowali w ostatnich miesiącach Barbara Nowacka, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Klaudia Jachira, Joanna Scheuring-Wielgus, Magdalena Biejat, Beata Maciejewska, Urszula Zielińska, Magdalena Filiks, Małgorzata Tracz, Monika Wielichowska, Anna Maria Żukowska, a także Michał Szczerba, Franciszek Sterczewski czy Dariusz Joński. Posłowie robią to po to, żeby zastraszyć policjantów podczas działań chroniących porządek i ludzi. Albo żeby wywołać negatywne nastawienie do funkcjonariuszy wykonujących swoje obowiązki.

Joanna Scheuring-Wielgus była dumna z siebie, gdy pod koniec listopada 2020 r. przekazała na całą Polskę nazwisko jednego z policjantów pełniących służbę podczas ulicznych zadym. Na swoim facebookowym profilu posłanka zauważyła: „Według KSP popełniłam straszną zbrodnię, bo ujawniłam imię i nazwisko policjanta. I teraz... jego małżonka otrzymuje nie mile wiadomości. Tymczasem ja o żonie pana policjanta nie wspominam, bo żona pana policjanta zupełnie mnie nie interesuje”. Tyle że ataki na żonę policjanta wynikały właśnie z tego, że posłanka ujawniła dane jej męża. Dane innego policjanta ujawnił poseł Michał Szczerba.

Szczególna eskalacja agresji przeciwko policjantom, często pod osłoną i przy wsparciu parlamentarzystów, ujawniła się podczas tzw. puczu (z 16 na 17 grudnia 2016 r.). A potem było już tylko gorzej. Atakowano nawet młode policjantki. Największa fala agresji przeciwko policji przypadła na protesty (nielegalne z powodu pandemii) organizowane pod szyldem Ogólnopolskiego



Strajku Kobiet (po 22 października 2020 r.), a przykład dawała wyjątkowo agresywna i wulgarna wobec funkcjonariuszy Marta Lempart.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Polsce odbywały się uliczne demonstracje Strajku Kobiet, we Francji przyjęto ustawę o kompleksowym bezpieczeństwie. A w niej art. 24, zgodnie z którym za ujawnienie wizerunku, danych albo czegokolwiek, co pozwala zidentyfikować interweniującego policjanta bądź żandarma, grozić może kara roku więzienia i grzywny w wysokości 45 tys. euro. Szef MSW Gerald Darmanin argumentował, że kara za ujawnienie danych albo wizerunku policjanta bądź żandarma ma „chronić tych, którzy nas chronią”. A trzeba pamiętać, że francuskie Republikańskie Kompanie Bezpieczeństwa, które interweniują, gdy demonstracje są nielegalne bądź łamią prawo, przez RPO w Polsce i posłów opozycji byłyby pewnie uznane za gestapo. Emerytowany nadkomisarz Dariusz Loranty, ekspert bezpieczeństwa Środkowoeuropejskiego Instytutu Badań i Analiz Strategicznych CIRSA, tak mówił portalowi wPolityce.pl (2 grudnia 2018 r.) o ich działaniach: „We Francji nie bije policjant Jean-Pierre. Tam bije Republika. To nie policjant działa, tylko Republikańskie Kompanie Bezpieczeństwa, czyli oddziały prewencji francuskiej policji. [...] We Francji [poseł Szczerba, który ujawnił dane policjanta] zostałby solidnie spalowany i nikogo nie obchodziłoby, że jest deputowanym. [...] Założmy, że francuski policjant używa środków przymusu bezpośredniego np. w stosunku do leżącej kobiety i »ożeni« jej dziesięć palek, to ona może odwołać się jedynie do Pana Boga. U nas w Polsce odpowiedzialność karną i dyscyplinarną ponosi policjant. We Francji byłoby to nie do pomyślenia”.

W lutym 2017 r. niemiecki rząd zdecydował o zaostrzeniu kar za ataki na policjantów. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” stwierdził wtedy, że policjanci

stali się chłopcami do bicia. Za czyn karalny uważane są wszelkie rękoćzyny wobec funkcjonariuszy mundurowych w trakcie wykonywania przez nich czynności służbowych. Wcześniej traktowano tak tylko ataki w czasie tzw. czynności egzekucyjnych. Za atakowanie policjantów grożą kary pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat.

ATAK NA POLSKIE PAŃSTWO

W 95. rocznicę powstania policji (24 lipca 2014 r.) ówczesny premier Donald Tusk mówił: „Każdy, kto podnosi rękę na polskiego policjanta, de facto podnosi rękę na państwo polskie. Każdy, kto obraża policjantkę czy policjanta na służbie, obraża majestat Rzeczypospolitej”. Premier Tusk zapewnił policjantów: „Niezależnie od sytuacji, w jakiej czasami musicie się znaleźć, niezależnie od środków i narzędzi, jakich musicie czasami użyć, władza publiczna, państwo polskie będzie po waszej stronie. A ci przestępcy, ci, którzy naruszają prawo, którzy godzą w bezpieczeństwo obywateli, a często tych, którzy noszą mundur, muszą wiedzieć, że nie pozostaną bezkarni. Muszą wiedzieć, że kiedy będzie trzeba, policja użyje środków, łącznie z bronią, kiedy nie ma innego wyjścia”. Donald Tusk był „pełen uznania dla profesjonalizmu policjantów i powściągliwości w sytuacjach, które wymagają działań drastycznych”.

Wszystko to, co mówił Tusk, stało się nieważne, gdy jego formacja znalazła się w opozycji. Od tego czasu można atakować policjantów, w tym przez posłów opozycji oraz przez samego byłego premiera, i oskarżać ich o najgorsze, m.in. o tortury wobec demonstrantów, jak to się stało podczas protestu pod Trybunałem Konstytucyjnym (w nocy z 28 na 29 stycznia 2021 r.), gdy torturą miało być otoczenie demonstrujących i wezwanie ich do wylegitymowania się.

Ataki na policjantów w demokratycznym państwie nie mogą być w żaden sposób tolerowane i usprawiedliwiane, a nawet chwalone, gdyż – zgodnie z tym, co mówił Donald Tusk jako premier – to ataki na państwo polskie, na majestat Rzeczypospolitej. A poza tym to zachęta do bandytyzmu i bezkarności.

Od premiera do boksera



DOROTA ŁOSIEWICZ

Kazimierz Marcinkiewicz postanowił przypomnieć światu o swoim istnieniu. Kiedyś był szefem rządu, teraz w krótkich gatkach i rękawicach bokerskich postanowił błysnąć na ringu. – Nikt nie traktuje tego poważnie, tak absurdalny jest ten pomysł – komentuje Jerzy Polaczek, były minister w rządzie Marcinkiewicza

Długo nie było o nim słychać. Najwyraźniej uznał, że za długo. Były szef rządu w czerwcu stoczył walkę bokerską z Rafałem Collinsem, jednym ze znanych telewizorom braci prowadzących firmę zajmującą się wizualnym tuningiem samochodów, podczas charytatywnej gali sportów walki. „Jestem człowiekiem doświadczonym w walkach. Akurat nie bokerskich, ale pamiętajmy, że w boksie bardzo ważna jest głowa. U mnie sfera mentalna jest bardzo mocna. Mam mentalność zwycięzcy” – chwalił się w rozmowie ze sport.pl Kazimierz Marcinkiewicz.

WAŃKA-WSTAŃKA

Były premier wraca do życia publicznego niczym bumerang. Najwyraźniej nie radzi sobie jako osoba prywatna, którą przecież tak bardzo chciał zostać. Prawie dwa lata temu, w lipcu 2019 r., Kazimierz Marcinkiewicz ogłosił, że znika z życia publicznego i odtąd będzie osobą prywatną. To było już kolejne jego zniknięcie, bo dekadę wcześniej polityk także zęgnął się z życiem publicznym. „Postanowiłem zamknąć etap publicznego życia, by uniemożliwić wszystkim szczeniom używanie mojej osoby” – pisał w 2019 r. na Facebooku Marcinkiewicz. „Zrobiłem to po bru-

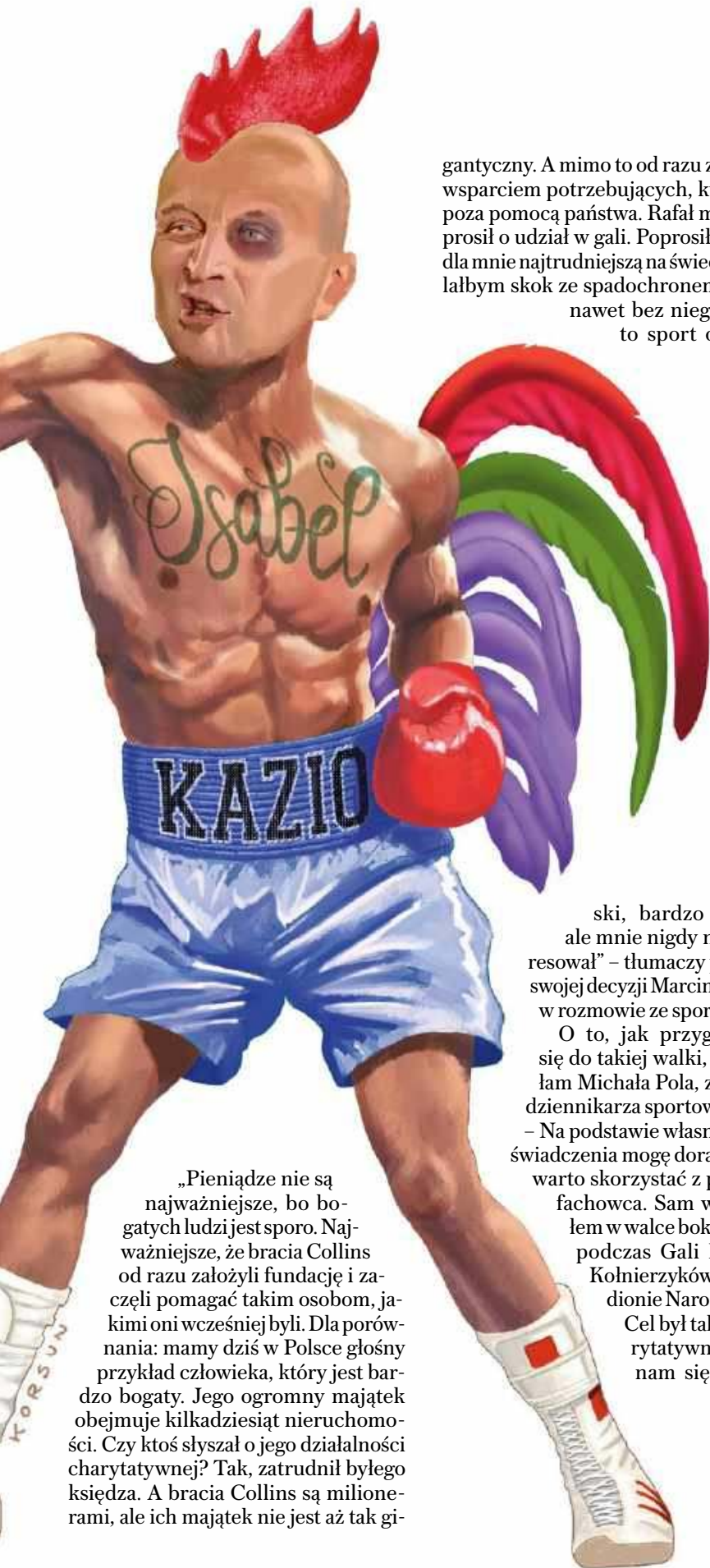
talnym i bezprecedensowym ataku pełnym oszczerstw i poniżania mojej stalkerki na mnie przy użyciu mediów. Ten chamski atak uniemożliwił mi start w wyborach europejskich, ale więcej spłoszył wszystkich klientów, poniosłem ogromne straty. Właśnie dlatego, w celu obrony siebie i rodziny, podjąłem decyzję o odejściu z życia publicznego i stania się osobą stricte prywatną” – oznajmił. Marcinkiewicz obwieścił wówczas także, że rezygnuje z mediów społecznościowych i jeśli będzie taka potrzeba, to udowodni sądownie, że jest osobą prywatną, a atakujące go media będą musiały go właśnie tak traktować. „Dosyć zarabiania na mojej osobie z użyciem chamstwa, kłamstwa i steku bzdur” – oburzał się Marcinkiewicz i faktycznie z mediów społecznościowych i tradycyjnych zniknął.

Jednak już pół roku później powrócił na łamach „Faktu” z radami dla Polaków. Były szef rządu zalecał: „Zamiast słodyczy, jeść owoce. Zamiast oglądać seriale, chodzić z rodziną na spacerzy albo biegać (...) Jedzenie należy kończyć o 20, a przed snem czytać książki Tokarczuk albo kochać się”. Marcinkiewicz radził także, by mięso jeść raz w tygodniu i, co najważniejsze, i być dobrym dla wszystkich, bo życie ma się tylko jedno.

BOKS NIGDY GO NIE INTERESOWAŁ

Po roli life coacha Marcinkiewicz postanowił spróbować swoich sił w świecie sportów walki. Niedawno opinię publiczną zelektryzowała wiadomość, że były premier w czerwcu zmierzy się w charytatywnym pojedynku pięściarskim z Rafałem Collinsem podczas Collins Charity Fight Night. Dochód z wydarzenia ma zostać przekazany na pomoc rodzinom w trudnej sytuacji materialnej. „Całkowity dochód z organizacji gali zostanie przeznaczony na działania statutowe Fundacji Braci Collins. Zebrane środki dofinansują projekty skierowane przede wszystkim do dzieci oraz rodzin w trudnej sytuacji materialnej. W zeszłym roku Fundacja Braci Collins przekazała potrzebującym ponad 600 000 zł” – napisali bracia w mediach społecznościowych, informując o wydarzeniu. W Collins Charity Fight Night wezmą udział byli sportowcy i celebryci. Będą to m.in. była mistrzyni UFC Joanna Jędrzejczyk, kabciniarz Michał Paszczyk, raper Liber czy były reprezentant Polski w piłce nożnej Piotr Świerczewski.





gantyczny. A mimo to od razu zajęli się wsparciem potrzebujących, którzy są poza pomocą państwa. Rafał mnie poprosił o udział w gali. Poprosił o rzecz dla mnie najtrudniejszą na świecie. Wołałbym skok ze spadochronem, może nawet bez niego. Boks to sport olimpij-

„Pieniądze nie są najważniejsze, bo bogatych ludzi jest sporo. Najważniejsze, że bracia Collins od razu założyli fundację i zaczęli pomagać takim osobom, jakimi oni wcześniej byli. Dla porównania: mamy dziś w Polsce głośny przykład człowieka, który jest bardzo bogaty. Jego ogromny majątek obejmuje kilkadziesiąt nieruchomości. Czy ktoś słyszał o jego działalności charytatywnej? Tak, zatrudnił byłego księdza. A bracia Collins są milionerami, ale ich majątek nie jest aż tak gi-

ski, bardzo godny, ale mnie nigdy nie interesował” – tłumaczy powody swojej decyzji Marcinkiewicz w rozmowie ze sport.pl.

O to, jak przygotować się do takiej walki, zapytałam Michała Pola, znanego dziennikarza sportowego.

– Na podstawie własnego doświadczenia mogę doradzić, że warto skorzystać z pomocy fachowca. Sam wystąpiłem w walce bokserskiej podczas Gali Białych Kółnierzyków na Stadionie Narodowym. Cel był także charytatywny, udało nam się zebrać

ponad 100 tys. zł. Moim przeciwnikiem był satyryk Tomasz Jachimek, co prawda chodzący w niższej kategorii wagowej niż ja, ale gdy cel jest szczytny, to waga ma mniejsze znaczenie – śmieje się Pol. – Nim wziąłem udział w walce, to ostatnim moim doświadczeniem tego typu była „solówka” w podstawówce. Zgłosiłem się więc do fachowca, do wybitnego polskiego boksera Grzegorza Skrzecza, byłego olimpijczyka, byłego mistrza Europy. Sportowiec współpracuje z różnymi celebrytami, aktorami, polecam więc ten kontakt byłemu premierowi. Nauczyłem się przez trzy miesiące pierwszego kroku bokserskiego, pracy nóg, uderzania: prawy, prawy, lewy – wspomina dziennikarz. – Taka walka to ogromny wysiłek fizyczny i psychiczny. Wydaje się, że trzy minuty to niby nic. Tymczasem ten czas się dłuży. Miałem wrażenie, że walczę już godzinę, a tu mój sekundant krzyczy: „Jeszcze 45 sekund!”. Ważny jest trening mentalny, żeby nie stracić głowy, bo wszyscy wokół coś krzyczą, dają rady. Trzeba być maksymalnie skoncentrowanym – radzi Pol.

„ŻAL MI BYŁEGO PREMIERA”

Nie ma wątpliwości, że Marcinkiewicz podchodzi do pojedynku bardzo poważnie. Do wejścia na ring przygotowuje się pod okiem Roberta Złotkowskiego, trenera Jana Błachowicza. Nową ścieżkę kariery byłego premiera trudno jednak poważnie traktować Jerzemu Polaczekowi, który w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza pełnił funkcję ministra transportu.

– Pani tak na poważnie? – nie krył zaskoczenia poseł PiS. – Wszyscy, z którymi rozmawiam na ten temat, są przekonani, że ta walka to jakiś fake news. Nikt nie traktuje tego poważnie, tak absurdalny jest ten pomysł – komentuje Polaczek. I dodaje: – Mam wrażenie, że opinia publiczna od wielu lat jest zmuszona, by śledzić mecz bokserski, jaki odbywa się pomiędzy Kazimierzem Marcinkiewiczem a jego byłą żoną. Trudno zliczyć rundy, które obejrzelismy przy zdecydowanie większej widowni, niż będzie w hotelu Marriott – komentuje poseł. – Po ludzku żał mi byłego premiera, że w dojrzałym wieku będzie się wygłupiał w krótkich

spodenkach i bokserskich rękawicach. Boks raczej nie był jego domeną, gdy był ministrem edukacji w latach 90., posłem czy premierem. Mógł tę zabawę zostawić innym postaciom, którym do sportu zdecydowanie bliżej – wdycha były minister w rządzie Marcinkiewicza.

Z pewnością, kiedy w 1992 r. Marciniewicz obejmował urząd wiceministra edukacji narodowej w rządzie Hanny Suchockiej, gdy później był posłem na Sejm III, IV i V kadencji, następnie gdy w roku 2001 obejmował funkcję przewodniczącego klubu parlamentarnego PiS, gdy później przez kilka miesięcy w 2006 r. pełnił funkcję prezydenta stolicy i wreszcie, gdy w 2005 r. Jarosław Kaczyński wyznaczył Marcinkiewicza jako kandydata PiS na stanowisko premiera, nikt się nie spodziewał, że skromny i usatkwany nauczyciel matematyki i fizyki z Gorzowa Wielkopolskiego całkiem rozmieni się na drobne i skończy jako bohater kolorowych pism, skandalu obyczajowego i wreszcie bokser amator.

– Myślę, że on tak naprawdę zawsze taki był – mówi Michał Karnowski, współautor (z Piotrem Zarembą) książki „Kulisy władzy”, wywiadu rzeki z Kazimierzem Marcinkiewiczem. – Moment przełamania nastąpił, gdy Kazimierz Marcinkiewicz został premierem i dotknął władzy. Często mówi się, że premier chodzi nad ziemią. Nie ma w Polsce pozycji dającej większą władzę. Trzeba charakteru, żeby wytrzymać nominację na to stanowisko, a jeszcze większej siły trzeba, by wytrzymać odwołanie. Okazało się, że Kazimierz Marcinkiewicz tego nie miał i dlatego się pogubił – podsumowuje Karnowski.

Odwołanie ze stanowiska rzeczywistością było ciężkim przeżyciem. Tak wspominał Marcinkiewicz ten moment w „Kulisach władzy”: „Wierni braciom Kaczyńskim pretorianie, tacy jak Przemysław Gosiewski, Adam Bielecki i Michał Kamiński, knuli, jak wbić mi nóż w plecy (...) Wszyscy ministrowie, którzy zasiadają w komitecie, byli obecni – Ziobro, Dorn, Wassermann – i nikt nie był w stanie powiedzieć nic ciepłego. To mnie zaskoczyło, to mi dało dużo do myślenia”.

NIC ZDROŻNEGO?

Być może przygotowania do walki pomogą byłemu szefowi rządu zapomnieć o problemach w życiu prywatnym. Kazimierz Marcinkiewicz popadł w problemy finansowe po tym, gdy został zobligowany wyrokiem sądu do wypłacania Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz alimentów. Były polityk uparczywie nie wywiązywał się ze swojego obowiązku, a była żona prowa-

Szkoda, że Kazimierz Marcinkiewicz nie zauważył, iż lata temu znokautował swój wizerunek poważnego człowieka i już raczej nie podniesie się z desek

dziła batalię o wyegzekwowanie długu. W marcu okazało się, że Marcinkiewicz musi się pożegnać z mieszkaniem na piątym piętrze apartamentowca na warszawskiej Ochocie. Nieruchomość została sprzedana na licytacji komorniczej za 739 tys. zł. „Możemy być pewni, że po tej licytacji pani Izabela otrzyma całość alimentów, z którymi zalegał dłużnik” – powiedział w rozmowie z „Super Expressem” Krzysztof Pietrzyk, rzecznik prasowy Izby Komorniczej w Warszawie.

– Znałem Kazimierza Marcinkiewicza w czasach, gdy był poważnym urzędnikiem państwowym w czarnym garniturze – opowiadał mi kiedyś mecenas Marek Markiewicz. – Miałem wrażenie, że jego poczucie godności przerasta innych. I gdy patrzę na jego drogę, to dziwię się, że tak roztrwonil wizerunek poważnego człowieka, który kiedyś budował. Na własne życzenie – komentował prawnik.

Jednak były premier w zbliżającej się walce nie widzi niczego zdrożnego. W rozmowie ze sport.pl przekonuje, że sport to jego pasja.

„Od kilku lat uprawiam zawzięcie sport amatorski, m.in. triathlon. Postawiłem na sport, bo zauważyłem, jak bardzo człowiek potrzebuje ruchu, zwłaszcza po 50. Rodzaj aktywności fizycznej nie ma znaczenia. Bieganie pewnie jest najtańsze, ale można wybrać każdy inny rodzaj sportu. (...) Polska jest krajem pełnym zabobonów. Jednym z nich jest przekonanie, że byłemu premierowi nie wypada walczyć na ringu. Prezydent Roosevelt miał w Gabinetie Owalny worek treningowy. Premier Kanady też boksuje. Na świecie jest to absolutnie normalne. Kompletnie nie rozumiem, dlaczego mogę uprawiać triathlon, pływać w basenie, będąc prawie nagim, z tym nikt nie ma problemu, a krytyka pojawia się po informacji, że będę boksował, i to jeszcze na gali charytatywnej” – nie może wyjść ze zdziwienia Marcinkiewicz.

Nieustannie dziwią się także ci, którzy znali Marcinkiewicza w dawnych czasach.

– Przed chwilą w Sejmie wystąpił jeden z posłów Konfederacji, który przekonywał opinię publiczną, że w Sejmie jest spisek, ponieważ z sufitu kapie woda na fotele przynależne Konfederacji. I ma to być wina PiS i rządu, że w sali plenarnej pada deszcz. I tak jak już się nie dziwię kolejnym spiskom ogłaszanym przez Konfederację, tak coraz mniej dziwię się kolejnym pomysłom Kazimierza Marcinkiewicza, w tym tej walce. To jest po prostu jakaś inna rzeczywistość – wdycha ciężko Jerzy Polaczek, komentując poczynania dawnego szefa rządu, w którym zasiadał.

Były premier najwyraźniej na poważnie potraktował własną radę, której kiedyś udzielił byłej żonie Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz. „Idź do pracy. Zajmij się czymkolwiek. Cokolwiek rób. Idź na bezrobotne. Zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą” – wykrzyczał w jej kierunku. Kto wie, być może nowe zajęcie okaże się dla byłego polityka dobrym źródłem dochodu na przyszłość. Szkoda tylko, że Kazimierz Marcinkiewicz nie zauważył, iż lata temu znokautował swój wizerunek poważnego człowieka i już raczej nie podniesie się z desek.

Słońce pracuje, rodzina zyskuje, Energa gwarantuje!

25-letnia gwarancja producenta na panele fotowoltaiczne
i 3-letnia gwarancja Energi Obrót na montaż



Obniż swoje rachunki i pomagaj chronić środowisko.

Postaw na pewnego partnera, zyskaj spokój
i produkuj zieloną energię na potrzeby swojej rodziny!

Skontaktuj się z nami, a my zajmiemy się resztą:

☒ Doradztwo ☒ Projekt ☒ Wykonanie

➤ **Umów się z Energa**
na bezpłatną wizję lokalną.
Wejdź na energia.pl
lub zadzwoń: 555 555 505
(koszt wg taryfy Twojego operatora)



Energa

Obrót

GRUPA **ORLEN**



Która szczepionka jest najlepsza?



Szczepionek na rynku – i to różnego rodzaju: genetycznych, wektorowych i białkowych – jest coraz więcej. Odpowiedź na pytanie, która z nich jest najlepsza, poznamy, gdy już zostanie zaszczepiona wystarczająco duża część populacji i będzie można porównywać wyniki. Nie oznacza to jednak, że nie wiemy nic pewnego o szczepionkach. Dane na ich temat są coraz pełniejsze, zwłaszcza że nie pochodzą już tylko z badań klinicznych, ale też z zastosowania w rzeczywistych warunkach



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W tej chwili w Polsce stosuje się trzy szczepionki przeciwko COVID-19. Są to produkty firm Pfizer, Moderna oraz AstraZeneca. Na początku kwietnia do tych trzech szczepionek miał jeszcze dołączyć produkt firmy Johnson & Johnson, ale jego debiut okazał się utrudniony z powodu kilku przypadków zakrzepicy zatok żylnych zanotowanych po zaszczepieniu tym preparatem blisko 7 mln osób w Ameryce.

Były główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas, zapytany niedawno przez dziennikarzy TVN24 o to, która z tych szczepionek jest najlepsza, odpowiedział dość przewrotnie, że najlepsza jest zawsze ta, która jest akurat dostępna, bo zostanie podana najszybciej. A tylko to daje nam szansę powstrzymania pandemii.

MODERNA NAJDROŻSZA

Spośród szczepionek zamówionych przez Komisję Europejską Polska zakontaktowała preparaty pięciu firm: szczepionki genetyczne (mRNA) produkowane przez Pfizer, Modernę oraz CureVaca, a także wektorowe firm AstraZeneca i Janssen Pharmaceutica. Łącznie ponad 62 mln dawek za sumę 2,4 mld zł. Niedawno poinformowano także o zakupie 8 mln dawek szczepionki białkowej Novavax, która miałaby być wytwarzana w Polsce.

Największe partie, liczące blisko 17 mln dawek, dostarczą Pfizer i Johnson & Johnson, nieco mniej – bo 16 mln – wyprodukuje dla nas AstraZeneca, a resztę – odpowiednio 6,69 mln oraz 5,69 mln – zostało zakupionych w Modernie i CureVacu.

Jak dotąd dopuszczono do obrotu w Unii Europejskiej preparaty amerykańskich koncernów Pfizer i Moderna, brytyjsko-szwedzkiej firmy AstraZeneca oraz belgijskiego producenta Janssen Pharmaceutica należącego do koncernu Johnson & Johnson. Nieco dłużej będzie trzeba poczekać na szczepionki niemiec-

kiego laboratorium CureVac. Z kolei preparat firmy Novavax znajduje się w końcowej fazie testów.

Preparaty Pfizera (opracowane w niemieckim laboratorium BioNTech), podobnie jak Moderny oraz CureVaca, należą do szczepionek genetycznych. Wykorzystuje się w nich jeden lub więcej genów wirusa w celu wywołania odpowiedzi układu odpornościowego. Twórcy szczepionki podkreślają, że cząsteczki RNA nie wnikają do jądra komórkowego, gdzie znajduje się DNA, ani nie wpływają na genom osoby zaszczepionej. Niektórzy obrazowo porównują to do zjedzenia kurczaka, które nie powoduje przecież, że zamieniamy się w kury.

Z kolei szczepionki wektorowe (AstraZeneca, Johnson & Johnson) używają do pobudzenia reakcji układu immunologicznego fragmentów innych wirusów. W przypadku szczepionki firmy AstraZeneca współpracującej z uniwersyte-tem w Oksfordzie są to – przykładowo – fragmenty adenowirusa o kryptonimie ChAdOx1 wywołującego przeziębienie u szympanów. Nie są one w stanie spowodować choroby u człowieka, lecz służą jako rodzaj nosnika informacji dla organizmu osoby zaszczepionej. Według tej technologii opracowano również pierwsze szczepionki przeciwko wirusowi ebola i zika.

Szczepionki wektorowe są łatwe w przechowywaniu i stosunkowo tanie (4 dol. za dawkę preparatu firmy AstraZeneca, 10 dol. za produkt firmy Johnson & Johnson). Dla porównania szczepionka Pfizera wymagająca bardzo niskiej temperatury kosztuje 20 dol. za dawkę, a Moderny aż 33 dol., przy czym – w odróżnieniu od produktu Pfizera – szczepionkę Moderny można przechowywać przez pół roku w temperaturze -20 stopni. Jeszcze mniej wymagający i jednocześnie tańszy od amerykańskiej konkurencji ma być preparat mRNA firmy CureVac, który może być magazynowany przez trzy miesiące w temperaturze -5 stopni, a jego szacunkowa cena ma wynieść – według BBC – ok. 12 dol. za zastrzyk.

zupełnie innym rodzajem szczepionki jest białkowy preparat firmy Novavax, który zawiera nieszkodliwy fragment koronawirusa SARS-CoV-2 wyprodukowany w komórkach owadzych (konkretnie w komórkach motyli nocnych). Ta szczepionka może być przechowywana

w temperaturze 2-8 stopni Celsjusza i ma kosztować ok. 16 dol. za dawkę.

Swoją szczepionkę przygotowuje też konsorcjum złożone z francuskiego koncernu Sanofi i brytyjskiego Glaxo-SmithKline, jednak testy preparatu, zawierającego oczyszczone, najbardziej immunogenne białka wirusa, nie przyniosły dotąd – jak głosi oficjalny komunikat – „zadowalających” rezultatów.

Prawdopodobnie nieco wcześniej pojawi się na rynku inna francuska szczepionka przygotowywana właśnie przez firmę biotechnologiczną Valneva. Preparat tej firmy, zamówiony już w liczbie 190 mln dawek przez Wielką Brytanię, zawiera unieszkodliwione fragmenty koronawirusa SARS-CoV-2. Według doniesień medialnych Unia Europejska zamierza zamówić 60 mln dawek szczepionki firmy Valneva.

DWIE DAWKI LUB JEDNA

Wszystkie szczepionki – z wyjątkiem jednodawkowego preparatu firmy Johnson & Johnson – podawane są w dwóch dawkach aplikowanych w różnych odstępach czasu: w przypadku preparatów Pfizera i Moderny jest to sześć tygodni, a przy szczepieniu produktem firmy AstraZeneca – 12 tygodni. Początkowo odstępy były krótsze: trzy tygodnie dla Pfizera, cztery tygodnie dla Moderny i sześć tygodni dla AstryZeneki. Zdecydowano się jednak na wydłużenie przerw między dawkami po tym, jak z nowych badań wynikło, że zwiększy to skuteczność szczepionek. Dla odmiany w Wielkiej Brytanii przyjęto strategię jednodawkowych szczepień, która polega na zaszczepieniu pierwszą dawką jak największej liczby osób i dopiero potem doszczepieniu ich kolejną. Na razie – jak wynika z gwałtownie spadającej liczby zakażeń w Wielkiej Brytanii – strategia ta wydaje się skuteczna, choć producenci jej nie zalecają.

Potwierdzona skuteczność pięciu wymienionych szczepionek jest wysoka. W przypadku Pfizera i Moderny wynosi ok. 95 proc., dla znajdującej się jeszcze w fazie testów szczepionki białkowej firmy Novavax sięga blisko 90 proc., a dla AstryZeneki – 76 proc. Co ciekawe, wyniki badań opublikowanych w czasopiśmie medycznym „The Lancet”

wskazują, że taki sam, 76-procentowy poziom skuteczności daje już pojedyncza dawka AstryZeneki – ochrona zaczyna się 22 dni po zaszczepieniu i trwa maksimum przez trzy miesiące. Jeśli zaś chodzi o jednodawkowy preparat firmy Johnson & Johnson, to jego skuteczność oblicza się na 66 proc. Dla porównania większość sezonowych szczepionek przeciwko grypie nie osiąga nawet 50 proc.

Pod pojęciem skuteczności należy tu rozumieć ochronę przed zakażeniem. Z powyższych danych wynika, że ta ochrona – choć wysoka – nie gwarantuje pełnego zabezpieczenia. Ważne jest jednak to, że w przypadku zakażenia jego przebieg u osoby w pełni zaszczepionej powinien być znacznie łagodniejszy. Z dostępnych danych wynika bowiem, że każda z wymienionych pięciu szczepionek chroni niemal w 100 proc. przed ciężkim lub krytycznym przebiegiem choroby koronawirusowej – najlepsze wyniki osiąga tu AstraZeneca oraz Novavax. Oczywiście zdarzają się, choć bardzo rzadko, zgony osób zaszczepionych – przykładem może być niedawna śmierć Krzysztofa Krawczyka – wydaje się jednak, że ma to związek z brakiem reakcji organizmu na szczepionkę.

PROBLEMEM SĄ MUTACJE

Z badań wynika, że uzyskanie gwarantowanej odporności następuje siedem dni po podaniu drugiej dawki w przypadku Pfizera, 14 dni – w przypadku Moderny oraz 15 dni dla AstryZeneki. W tym ostatnim przypadku badania dotyczące pełnej ochrony objęły osoby do 55. roku życia, ale ostatnio AstraZeneca poinformowała, że jej produkt ma także bardzo wysoką, bo aż 85-procentową skuteczność w grupie osób powyżej 65. roku życia. Spowodowało to sporo zamieszania w Europie, gdzie dotąd – z powodu braku danych – nie zalecano podawania AstryZeneki osobom starszym.

Do niedawna brakowało również danych na temat aplikowania szczepionki młodzieży poniżej 18. roku życia. Wyniki najnowszych badań klinicznych wskazują jednak, że Pfizer może być stosowany od 12. roku życia (wcześniej już obniżono próg dla tej szczepionki z 18. do 16. roku życia). Podobne badania prowadzi też Moderna, przy czym ten



koncern robi to z większym rozmachem, bo rozpoczął już testy w grupie wiekowej od 6. miesiąca do 12. roku życia. Obie amerykańskie firmy liczą na to, że jeszcze w tym roku rozpoczną się masowe szczepienia młodzieży.

Niestety, ciągle nie wiemy, jak długo utrzymuje się ochrona. Przyjmuje się, że szczepionka powinna być skuteczna przez pół roku do jednego roku po zaszczepieniu pełną dawką, optymiści mówią nawet o dwóch latach. Szczepienia na dużą skalę rozpoczęły się na przełomie grudnia i stycznia, więc brakuje danych na ten temat, a my nadal jesteśmy skazani na hipotezy.

Wiele wskazuje na to, że szczepienia będzie trzeba powtarzać, zwłaszcza że pojawiły się nowe, niebezpieczne mutacje koronawirusa. O ile wszystkie dostępne dziś szczepionki zapewniają ochronę przed podstawowym wariantem koronawirusa, o tyle nie jest to wcale takie pewne w przypadku jego mutacji. Wiadomo na przykład, że AstraZeneca słabo sobie radzi z wariantem południowoafrykańskim. Niepokojące są również doniesienia z Izraela, z których wynika, że serwowana tam szeroko szczepionka Pfizera może wręcz obniżać odporność organizmu na nowe warianty koronawirusa. Do tej informacji należy jednak podchodzić z dużą ostrożnością, opiera się ona bowiem na zbyt małej grupie badanych i nie została jeszcze zrecenzowana naukowo.

Dla odmiany niezłe wyniki w radzeniu sobie z nowymi mutacjami ma testowana szczepionka firmy Novavax, która wykazała skuteczność w walce z brytyjską i południowoafrykańską mutacją wirusa w podobnym stopniu, jak z jego podstawowym wariantem. Również niezłe wypadła jednodawkowy preparat firmy Johnson & Johnson osiągający 66 proc. skuteczności w badaniach w Ameryce Łacińskiej z udziałem odmiany, która dominuje w Brazylii, a 57 proc. – w Afryce Południowej.

Wynika z tego, że nowsze szczepionki mają nieco szersze spektrum skuteczności. Być może dlatego AstraZeneca pracuje już nad kolejną zmodernizowaną i bardziej skuteczną szczepionką, którą będzie można podać w formie trzeciej dawki dla tych, którzy wcześ-

niej zaszczepili się stosowanym obecnie preparatem tej firmy.

STRACH PRZED ZAKRZEPICĄ

Największe emocje dotyczące szczepień budzą niepożądane odczyny poszczepienne. Jak wyjaśniają eksperci, zdecydowana większość z nich ma łagodny charakter i jest naturalną reakcją układu odpornościowego. Najczęściej pojawiają się przy pierwszej dawce szczepionki. Również brak jakiegokolwiek reakcji organizmu na przyjęcie szczepionki nie powinien być powodem do zaniepokojenia. Wszystko zależy bowiem od indywi-

Wiele wskazuje na to, że szczepienia będzie trzeba powtarzać, zwłaszcza że pojawiły się nowe niebezpieczne mutacje koronawirusa

dualnych predyspozycji osoby szczepionej, a całkowite odrzucenie szczepionki zdarza się stosunkowo rzadko (choć brak na razie pełnych danych na ten temat).

Ogromne zaniepokojenie wywołały doniesienia o przypadkach zakrzepicy zatok żylnych mózgu, brzucha i tętnic, które pojawiły się wśród osób – głównie młodych kobiet – szczepionych preparatem firmy AstraZeneca. Objawy pojawiały się do 14 dni po zaszczepieniu. W rezultacie doszło do potężnego kryzysu wizerunkowego brytyjsko-szwedzkiej firmy oraz czasowego wstrzymania szczepień jej preparatem w wielu krajach Unii Europejskiej. Niemcy rozważały nawet możliwość zamiany drugiej dawki AstryZeneki na inny preparat, może to jednak być ryzykowne, bo trudno przewidzieć reakcję organizmu na dwie różne szczepionki.

Ostatecznie Europejska Agencja Leków (EMA) stwierdziła, że chociaż związek między szczepieniem a zakrzepicą jest możliwy, to jest to „bardzo rzadki skutek uboczny”, a korzyści ze

szczepienia przewyższają ryzyko. Spośród 34 mln dawek AstryZeneki, które podano w Unii, EMA odnotowała do 4 kwietnia 169 przypadków zakrzepicy zatok żylnych mózgu (w tym 18 zgonów). Z kilkoma zgonami związanymi z zakrzepicą mieliśmy niedawno do czynienia także w Ameryce wśród osób, którym podano preparat firmy Johnson & Johnson. Zarówno AstraZeneca, jak i Johnson & Johnson to szczepionki wektorowe, niewykluczone więc, że problem może tkwić w konstrukcji szczepionki, choć należy tu wyraźnie podkreślić, że jest to bardzo rzadka reakcja.

Z drugiej jednak strony preparaty pozostałych firm wcale nie mają lepszych statystyk. Według danych niemieckiego Instytutu Paula Ehrlicha – po 9 mln zaaplikowanych dawek – poważne powikłania (czyli takie, które wymagają hospitalizacji) wystąpiły w 0,3 przypadku na 1000. Do instytutu zgłoszono też 351 zawiadomień o podejrzeniu zgonu wywołanego szczepionką. W 286 przypadkach chodziło o preparat firmy Pfizer, w czterech o Modernę i również w czterech o AstręZenecę.

Oczywiście można szukać alternatywy gdzie indziej. Rosyjski Sputnik-V, który być może również wejdzie na europejski rynek (miałby być produkowany m.in. we Włoszech i w Bawarii), to – według oficjalnych danych – dwudawkowa szczepionka wektorowa o 91-procentowej skuteczności i cenie 10 dol. za dawkę. Tyle że – jak wynika z badań na Słowacji, która sprowadziła te szczepionki – zakupiony w Rosji produkt nie przypominał tego, który jest opisany w dokumentacji. Jak można domniemywać, był po prostu gorszy, bo szczepienia rosyjskim preparatem zostały wstrzymane.

Jest jeszcze chiński Sinovac, szczepionka białkowa, w cenie od 14 do 30 dol. za dawkę, tyle że o niej zupełnie nic nie wiadomo.

Można też wcale się nie szczepić. I liczyć na to, że uda się łagodnie przejść zakażenie lub go całkiem uniknąć. To możliwe, ale znacznie mniej prawdopodobne niż powikłania po szczepionce. Wystarczy porównać sobie liczbę zgonów z powodu koronawirusa i z powodu powikłań poszczepiennych.



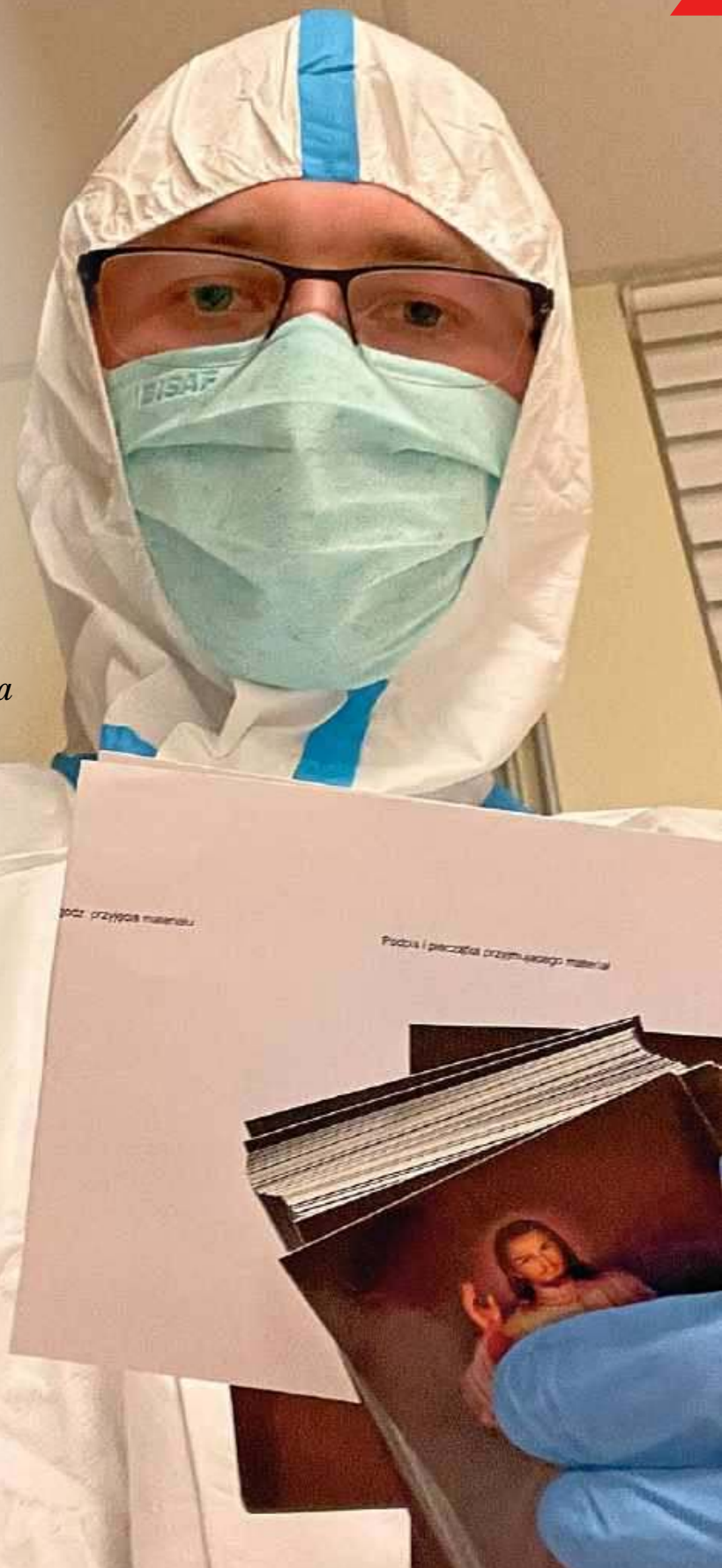
Najgorsza w obliczu śmierci jest samotność

Do szpitala na oddział covidowy trafiłem najpierw jako pacjent, kiedy na przełomie września i października ub.r. zaraziłem się koronawirusem. Dzięki temu mogę teraz towarzyszyć chorym i wiem, co czują i myślą. Bez własnego doświadczenia to byłoby znacznie trudniejsze

Z ks. Tomaszem Białoniem,
wikariuszem parafii Narodzenia
Najświętszej Marii Panny w Myślenicach,
doktorantem Uniwersytetu Papieskiego Jana
Pawła II, rozmawia Dorota Łosiewicz

Posługuje ksiądz na szpitalnym oddziale covidowym. Jak ksiądz tam trafił?

Ks. Tomasz Białoń: Na co dzień sprawuję posługę duszpasterską w parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Myślenicach. Opiekuję się w niej różnymi wspólnotami. Wspólnotą wartą zaznaczenia jest Parafialny Zespół Caritas „Betania”, który wspiera ludzi potrzebujących, niepełnosprawnych, głuchych. Dożywiamy, kupujemy leki, organizujemy duszpasterstwo specjalistyczne oraz obozy dla niepełnosprawnych. Jestem też katechetą w liceum. Do myślenickiego szpitala na oddział covidowy trafiłem najpierw jako pacjent, kiedy na przełomie września





i października ub.r. zaraziłem się koronawirusem. Chorobę przeszedłem na tyle poważnie, że konieczna była hospitalizacja. Już po trzech dniach od pierwszych objawów wyładowałem w szpitalu. Spędziłem tam dziesięć dni, kolejne dwa tygodnie w domu rodzinnym. W tym czasie nie byłem w stanie nawet odprawić mszy na stojąco. Kolejne trzy tygodnie spędziłem na rehabilitacji. Gdy doszedłem do siebie, zacząłem posługiwać na oddziale. Zostałem o to poproszony przez personel szpitala, który bardzo stara się kompleksowo dbać o swoich pacjentów. Sam byłem pod wrażeniem opieki, jakiej od nich doświadczyłem. Jako że kapelan szpitala jest dość wiekowy, zgodziłem się bez zastanowienia pomagać w ramach wolontariatu. I tak do tej pory udzieliłem sakramentu namaszczenia i wyspowiadałem dziesiątki pacjentów poważnie chorych na COVID-19. Niektórych potem odprowadziłem na cmentarz. Ostatnio podzieliłem się tą informacją w mediach społecznościowych, kiedy wielu namiętnie rozpisywało się, że Kościół w tym trudnym czasie znów nie zdaje egzaminu, zamyka się na wiernych, pozostawia ich samych sobie. Tak jednak nie jest i myślę, że trzeba nie tyle się tym chwalić, ile o tym po prostu przypominać.

Pacjenci tego potrzebują?

Ludzie, którzy tu trafiają, acz często jest to ostatni odcinek ich życia, są w tych ostatnich chwilach odcięci od rodziny. Lekarze i pielęgniarki mają czas przede wszystkim tylko na to, aby zajmować się ich stanem fizycznym, a nie duchowym. A pacjenci bardzo cierpią z powodu rozłąki, wielu analizuje swoje życie, wspomina, rozlicza się z przeszłością, wracają wspomnienia. Sam tego stanu doświadczyłem, więc dobrze ich rozumiem. Gdy leżałem na parterze oddziału zakaźnego, patrzyłem w duże okna i myślałem o tym, że łatwo będzie tu wnieść trumnę. Myśli o śmierci, chcąc nie chcąc, przychodzą w takich okolicznościach. Do szpitala chodzę na wezwanie, czyli gdy ktoś o to



prosi, w zależności od potrzeb. Dla przykładu w Wielką Środę z posługi sakramentalnej skorzystało 21 osób, parę dni wcześniej 18, więc sporo.

Samotność bardzo dokucza chorym?

Niewyobrażalnie. To bardzo trudne doświadczenie i dla pacjentów, i dla ich rodzin. To naprawdę wielki dramat. Gdy ktoś leży pod tlenem, nawet nie może porozmawiać z ludźmi, którzy są obok. Walka o życie odbywa się w towarzystwie osób beztwarzy. Cały personel medyczny musi być odpowiednio zabezpieczony, więc pacjent z za tej zbroi nie może dostać nawet odrobiny uśmiechu czy życziwego spojrzenia. To potęguje wyobcowanie. W takich okolicznościach nieubłagane przychodzi pytanie o sens życia. Spotkałem wiele osób, które przyznawały, że nie były religijne, nie korzystały z posługi sakramentalnej, ale zderzenie z samotnością okazało się zderzeniem z samym sobą. I w tym poszukiwaniu sensu życia, zadawaniu sobie pytania: „Kim jestem, dokąd zmierzam”, pojawiał się wreszcie pytanie o Boga.

Zdarza się, że wciela się ksiądz w rolę listonosza i przekazuje coś pacjentowi od jego rodziny?

Raczej w drugą stronę. Częściej to rodziny domagają się informacji o bliskich,

pytają, jak się czują, jak wyglądają, proszą o zdjęcia, co raczej jest niemożliwe do wykonania ze względu na cały strój, który trzeba założyć. Pacjenci po sakramencie pojednania często mówią, że czują ulgę, nie muszą się już martwić o sumienie, mówią, że przestają się bać końca. Kilkakrotnie zdarzyły mi się takie sytuacje, że udzieliłem pacjentowi sakramentu pokuty i namaszczenia chorych, a po paru dniach w kancelarii parafialnej pojawiła się rodzina, by zgłosić pogrzeb. Rozpoznałem imię, nazwisko osoby, którą namaściłem i mówiłem o tym rodzinie. To zawsze jest dla niej wielkie przeżycie. Pytają o ostatnie chwile, bardzo się cieszą, wiedząc, że bliski przyjął sakramenty. Rodziny dręczą wyrzuty sumienia, że nie mogły być przy bliskich w chwili śmierci, że

nie mogły się pożegnać, często żalują, że dana osoba w ogóle trafiła do szpitala, mówią, że lepiej by było, gdyby odeszła w domu, wśród swoich. Niejednokrotnie ta wiedza, że był ksiądz, że umierający miał duchową opiekę, pomaga w przeżyciu żaloby.

Tymczasem w przestrzeni publicznej pojawiają się takie postulaty, głównie lewicy, by w ogóle usunąć duszpasterzy ze szpitali.

Gdybym mógł, zaprosiłbym każdą z takich osób, by towarzyszyła mi w wizycie na oddziale covidowym. Zobaczyłaby wtedy, jaką ulgę daje ludziom pojednanie z Bogiem. Mogłyby spojrzeć odchodzącym w oczy, zobaczyć strach, a następnie spokój i wdzięczność, gdy skorzystali z sakramentów. Postulaty, o których pani mówi, wiążą się głównie z niechęcią do Kościoła jako instytucji oraz z brakiem osobistej wiary. Jednak myślę, że przy osobistym spotkaniu każdy zmieniłby zdanie, jeśli ma choć odrobinę wrażliwości.

Nie wiem, czy takie zaproszenie to dobry pomysł, bo istnieje ryzyko, że pacjenci byłiby namawiani do apostazji.

To możliwe. Choć wie pani... W tym stanie zdrowia to raczej nie czas na takie rozmowy. A wiem, że i z samą apostazją

różnie bywa. Tego aktu trzeba dokonać w miejscu zamieszkania, należy jednak dostarczyć metrykę Chrztu Świętego. Kiedyś przyszedł do mnie młody człowiek, prosząc właśnie o taką metrykę, nie krył, co zamierza zrobić. Powiedziałem, że nie ma sprawy. Młody człowiek na to: „I nie będzie mnie pan przekonywał, żebym został w Kościele?”. Odpowiedziałem, że szanuję jego decyzję, którą pewnie dobrze przemyślał. Ów młodzieniec na wstępie zaznaczył, że nie ma z Kościołem wiele wspólnego, że już od liceum nie chodzi na msze, nie uczestniczył w katechezach. Powiedziałem więc, że i dla księży to jest ułatwienie, bo w takich przypadkach nie wiadomo, czy taka osoba życzyłaby sobie tradycyjnego pogrzebu, a akt apostazji jest jasną odpowiedzią, że ktoś nie życzy sobie katolickiego obrządku, nie chce modlitwy ani wsparcia w ostatnich chwilach, więc przynajmniej jest jasność. Okazało się, że ten człowiek w ogóle o tym nie myślał. Skończyło się na tym, że to on zaczął mnie przekonywać, dlaczego powinien zostać w Kościele.

Wróćmy jeszcze do księdza choroby. Czy bliskość śmierci coś zmieniła w księdza życiu?

Teraz nie boję się śmierci. Poza tym mam jeszcze mocniejszą świadomość kruchości życia. Kiedy zachorowałem, we czwartek wieczorem pojawiły się pierwsze objawy, a jeszcze tego samego dnia po południu przebiegłem 15 km (biegam trzy razy w tygodniu). W piątek już trudno mi było oddychać, a w sobotę zacząłem tracić czucie w nogach i rękach. Wówczas zadzwoniłem po karetkę. Na szczęście przedstawiłem się na początku rozmowy, później tak mi wykręciło ręce, że upuściłem telefon i nie mogłem kontynuować rozmowy. Gdy przyjechało pogotowie, byłem już całkiem sztywny. Dobrze jednak, że trafiłem do szpitala. Dzięki temu mogę teraz towarzyszyć chorym i wiem, co czują i myślą. Bez własnego doświadczenia to byłoby znacznie trudniejsze. Na moją salę przewidziano w pewnym momencie pacjenta z innego oddziału. Starszego pana, człowieka głębokiej wiary, który bardzo ubolewał, że w szpitalu nie ma

kapelana, że nie może przyjąć komunii św. Stwierdził, że chociaż w telewizji w niedzielę obejrzysz mszę. Powiedziałem wtedy, że nie będzie musiał, bo ja odprowadzam mszę św. codziennie. Dowiedział się, że jestem księdzem. Wypowiadał się, przyjął komunię św. Był bardzo szczęśliwy. Ja wyszedłem, on już nie.

Spotkał księdza jego rodzinę?

Spotkałem. Oni bardzo się martwili o tego pana. Nie wiedzieli, czy miał możliwość kontaktu z księdzem, to było dla nich ważne. Powiedziałem, że nie tylko miał kontakt z księdzem, ale przez ostatnie dni życia miał każdego dnia przy łóżku odprawianą mszę św. To była dla nich wielka ulga. Doświad-

Przy odrobinie szacunku dla ludzi wierzących nie można porównywać kościołów do punktów usługowych, jak salon fryzjerski, spa czy fitness. Prędkiej do sklepów z produktami niezbędnymi do życia

czenie umacniające dla niego, dla jego rodziny, ale i dla mnie. W mojej posłudze Pan przychodzi do chorych i umacnia ich, ale on przez chorych przychodzi także do mnie i mocno przemawia.

Jaką rolę dla duchownych w tym szczególnie trudnym czasie ksiądz widzi?

Naszim zadaniem jest służyć ludziom, nieść Ewangelię, sakramenty. Być blisko. W pandemii okazało się, że wielu ludziom dokucza samotność, wiele osób, które trafiają na kwarantannę, ma poczucie bycia w więzieniu, mimo że niczego złego nie zrobiły. Obok pandemii COVID-19 mamy pandemię samotności, właściwie całe społeczeństwo emocjonalnie znalazło się w złym stanie.

Myślę, że awantury na ulicach, które obserwowaliśmy, to poniekąd wynik tego doświadczenia. Ludzie emocjonalnie nie wytrzymują zamknięcia, izolacji i chcą budować wspólnotę z osobami o zbliżonym światopoglądzie. Dlatego musimy robić to co zawsze, ale teraz musimy na to poświęcić jeszcze więcej czasu. Ludzie nas potrzebują.

Dlaczego tyle emocji wzbudza kwestia obostrzeń lub ich braku w kościołach w czasie pandemii i jak należy podchodzić do tej sprawy?

Ograniczenia w kościołach, które muszą być wprowadzane, nie oznaczają rezygnacji z sakramentów, co mogłoby osłabić, a niektórych pozbawić życia duchowego. Tak samo jest z ograniczeniami w sklepach. Muszą być, ale to nie znaczy, że mamy głodować. Przy odrobinie szacunku dla ludzi wierzących nie można porównywać kościołów do punktów usługowych, jak salon fryzjerski, spa czy fitness. Prędkiej do sklepów z produktami niezbędnymi do życia. Bo właśnie tym są dla prawdziwych katolików spowiedź czy komunie św. Tak jak poważnie traktujemy przy epidemii życie cielesne, tak samo poważnie traktujemy życie duchowe. Wyabstrahowana z życia duchowość jest antyracjonalnym fanatyzmem. Wycięta z duchowości cielesność jest destrukcyjnym i ograniczonym materializmem. Pierwsza skrajność uwłacza wierze, druga zaś ro-

zumowi. Żyjemy w świecie, w którym dla jednych liczy się tylko życie fizyczne, dla drugich tylko duchowe, a dla innych jedno i drugie. Każdy ma prawo wyboru. Jeśli dla ciebie liczy się życie duchowe, nie gardź tymi, dla których liczy się fizyczne. Jeśli dla ciebie liczy się życie fizyczne, nie gardź tymi, dla których liczy się duchowe. I ten wzajemny szacunek powinien się przejawiać: po stronie pierwszych w tym, że choć może nie czują strachu przed pandemią, przyjmują pewne ograniczenia, aby zapewnić poczucie bezpieczeństwa tym, którzy się boją; po stronie drugich zaś w tym, że nie podchodzą lekceważąco do życia duchowego wierzących i nie traktują miejsc świętych jak lokali rozrywkowych.

Miraż europejskich wakacji

Z przecieków z Brukseli już wiadomo, że ci, którzy nie będą posiadać „paszportu covidowego”, też będą mogli wybrać się na wakacje, ale wówczas będą musieli przedstawić testy potwierdzające, że nie są chorzy



MAREK BUDZISZ

Nie możemy sobie pozwolić na takie samo lato jak w ubiegłym roku – powiedział Fernando Valdes, hiszpański minister turystyki, w czasie konferencji na jednym z uniwersytetów w Madrycie. Między czerwcem a wrześniem 2020 r. liczba turystów, którzy odwiedzili Hiszpanię, spadła o 79,2 proc. Zdaniem większości specjalistów to właśnie spadek dochodów z turystyki był jedną z przyczyn skurczenia się hiszpańskiego PKB w ub.r. o 10,2 proc. Jak oceniają wypowiadający się dla dziennika „Financial Times” specjaliści z branży, osłabione ubiegłorocznymi spadkami firmy sektora nie przezwyciężą drugiego takiego samego roku.

Podobne tony słychać w wypowiedziach Michaela Frenzela, szefa stowarzyszenia BTW, zrzeszającego niemieckie firmy turystyczne. – Rezerwacje na tegoroczne lato – mówi portalowi Schen-

gen VisaInfo – są obecnie o 76 proc. niższe niż w ubiegłym roku. Ludzie chcieliby podróżować, 87 proc. ankietowanych w jednym z ostatnich paneuropejskich badań opinii publicznej deklarowało, że „z desperacją” czeka na moment, kiedy zostanie przywrócony normalny ruch między państwami, ale obawy związane z szalejącą, czwartą już falą pandemii, studzą ten entuzjazm. Świadczą o tym choćby dane z Niemiec. Po tym jak rząd Angeli Merkel wprowadził kolejną falę ograniczeń w związku z pandemią, liczba odwoływanych rezerwacji na ten sezon, mimo że mamy kwiecień, przewyższa nowe.

GRECJA, WŁOCHY: OTWIERAMY SIĘ

Rządy krajów żyjących z turystyki są jednak zdeterminowane. Harry Theoharis, grecki minister turystyki, oświadczył w parlamencie, że kraj „otwiera się 14 maja” i zapowiedział wiele posunięć, takich jak zaszczepienie w pierwszej kolejności pracowników sektora turystycznego, które mają w jego opinii gwarantować bezpieczeństwo przyjeżdżającym.

O czymś podobnym myślą władze muncypalne kilku włoskich wysp, znanych, tak jak to jest w przypadku Capri, celów

turystycznych. Wystąpili oni z apelem do rządu Maria Draghiego, co zresztą wywołało wściekłość w innych regionach, aby to ich objąć w pierwszej kolejności planem szczepień. Massimo Garavaglia, włoski minister turystyki, ogłosił zaś, że rząd zamierza już 2 czerwca, w Dniu Republiki, rozpocząć sezon turystyczny. Do Italii będą mogli przyjechać wszyscy, którzy albo zostali zaszczepieni dwiema dawkami, albo będą w stanie przedstawić zaświadczenia, że nie są chorzy. Dodatkowo planuje się, i to właśnie spowodowało apel władz włoskich wysp turystycznych, priorytetowe zaszczepienie wszystkich pracowników sektora. Jest jednak rzeczą wątpliwą, czy operację tę uda się przeprowadzić tak szybko, aby zdążyć przed czerwcem, zwłaszcza w świetle nowych informacji na temat skuteczności niektórych preparatów.

To też jest kwestią międzypaństwową kontrowersji, które mogą się wręcz przekształcić w „turystyczne wojny handlowe”. Brytyjskie media przywołują niezwykle ostre wypowiedzi sir Thomasa Johna Bella, członka rządowej grupy do walki z pandemią, który postawę rządów europejskich zawieszających stosowanie niektórych szczepionek, a potem przywracających je do użytku określa pejoratywnym mianem „crackers”, co można



z grubsza tłumaczyć jako postawę charakteryzującą „łamiących wszelkie zasady wsiołów”. Dr Mike Tildesley, członek tej samej grupy zadaniowej do walki z pandemią, powiedział w wywiadzie dla BBC, że „tegoroczne wakacje poza granicami kraju są niestety bardzo mało prawdopodobne”. Tym wypowiedziom towarzyszą informacje specjalistycznych ośrodków analitycznych, których badania przywoływane są przez brytyjskie media, że Unia Europejska osiągnie stan „stadnej odporności” najwcześniej w grudniu. Tocząca się obecnie dyskusja w Wielkiej Brytanii ma kluczowe znaczenie również z tego powodu, że rząd 17 maja ma ogłosić, które kraje wpisze na „zieloną” listę uprawniającą do swobodnej podróży, bez ryzyka kwarantanny. Brytyjscy touroperatorzy i przewoźnicy są optymistami. Johan Lundgren, prezes EasyJet, niskokosztowej popularnej wakacyjnej linii brytyjskiej latającej głównie do Hiszpanii, Francji i Włoch, powiedział, że jego zdaniem większość krajów europejskich zostanie tam zakwalifikowana.

Jego optymizm studzą jednak przedstawiciele brytyjskiego rządu mówiący, że nie można ryzykować fiaska programu szczepień, który okazał się sukcesem i już daje efekty, z tego powodu, że Europa nie daje sobie rady. W Londynie z niepokojem obserwuje się ekspansję południowoafrykańskiej mutacji wirusa COVID-19, który w świetle niektórych badań jest bardziej odporny na szczepionki i szybciej się rozprzestrzenia. Jego przeniknięcie na Wyspy oznaczałoby konieczność powtórzenia całej akcji szczepień, tyle że dziś nie bardzo wiadomo jakim preparatem.

TURYSTYKA I POLITYKA

W tle tych kontrowersji jak zawsze kryje się też polityka. W Londynie bardzo negatywnie przyjmuje się europejski sceptycyzm wobec szczepionki firmy AstraZeneca, tam nazywanej Oxford, jako że wynaleziona została przez zespół pracujący na słynnym uniwersytecie i uchodzi za produkt brytyjski. Decyzje wielu europejskich rządów, które zdecydowały się na ograniczenia w jej stosowaniu lub całkowitą rezygnację, jak w przypadku Danii, traktuje się jako wyraz celowej polityki dyskryminacyjnej.

Polityka, jak się wydaje, była głównym motywem decyzji Moskwy, która postanowiła w trybie nagłym zawiesić na początku ub. tygodnia loty do Turcji. Pretekstem jest kolejna fala pandemii, ale chodzi o niezadowolenie na Kremlu z rozmów między Zełenskim a Erdoğanem w epicentrum kryzysu związanego z koncentracją rosyjskich wojsk na granicy z Ukrainą. Jednak decyzja ta jest poważnym ciosem dla tureckiego przemysłu turystycznego, który w każdym roku dostarcza krajowi 40 mld dol. Straci też 530 tys. rosyjskich turystów, którzy zarezerwowali sobie miejsca w tureckich kurortach w czasie najbliższych wolnych dni majowych, ale tym na Kremlu nikt się przecież nie przejmie.

PODRÓŻ Z COVIDOWYM PASZPORTEM

Unia Europejska pracuje nad wprowadzeniem „paszportów covidowych”, które mają być akceptowanym w całej Wspólnocie dokumentem potwierdzającym zaszczepienie. Z przecieków z Brukseli już wiadomo, że z pewnością nie będzie to „dokument podróżny”, co oznacza, iż ci, którzy go nie posiadają, też będą mogli wybrać się na wakacje, ale wówczas będą musieli przedstawić ważne testy potwierdzające, że nie są chorzy. Oddzielną otwartą kwestią pozostaje to, kto będzie za te dodatkowe testy płacił, bo nie są one tanie.

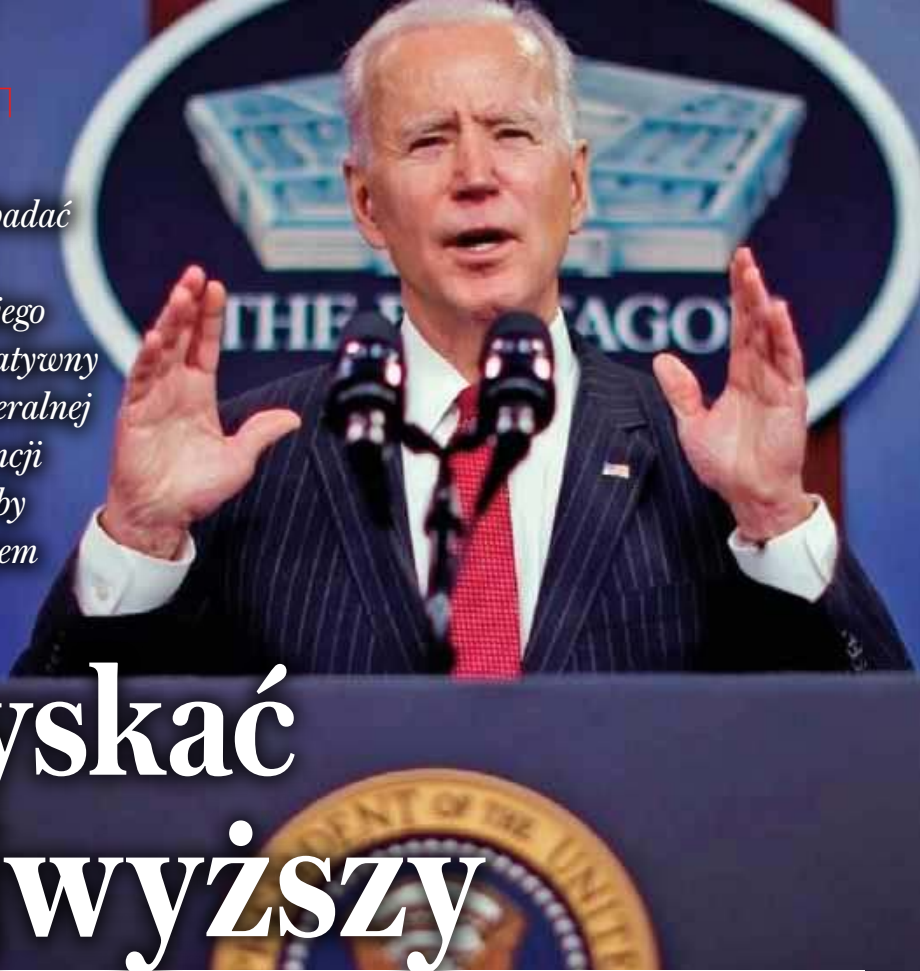
Simon Hunter, mieszkający w Hiszpanii wydawca anglojęzycznej wersji „El País”, wybrał się z rodziną do ojczyzny i opisał swoją eskapadę. Problemem jest nie tylko zgromadzenie odpowiedniej liczby wymaganych zaświadczeń i dokumentów potwierdzających, że podróżujący jest zdrowy. Trzeba również pilnować, aby nie było w nich omyłek, takich jak choćby błędny numer czy wpisanie numeru dowodu osobistego, a nie paszportu, bo wówczas skrupulatni urzędnicy na granicach nie przepuszczą takiego nieszczęśnika. Sprawdzanie tych dokumentów, i to poza sezonem turystycznym, zajmuje nieraz po kilka godzin, co oznacza gigantyczne kolejki na lotniskach. Na dodatek testowanie niemal całej trzyosobowej rodziny (trzyletni syn Huntera był zwolniony) kosztowało ich dodatkowo

1,6 tys. euro. Jak to będzie wyglądało, kiedy na wakacje wyruszą dziesiątki tysięcy Europejczyków, niektórzy z małymi dziećmi? A po tym, jak dotrą na miejsce, czy urlop będzie przypominał ten zapałany sprzed pandemii?

Władze Hiszpanii już ogłosiły, że maseczki trzeba będzie nosić również na plaży. Tamtejsza policja znana jest z surowości, a to oznacza, że nawet noszenie maseczki „po polsku”, czyli z odkrytym nosem, może nas kosztować 600 euro. W innych regionach turystycznych ogłaszane przez rząd gwarancje bezpieczeństwa wydają się iluzoryczne. Rząd Grecji, otwierający się na turystów, podpisał niedawno umowy umożliwiające niczym nieograniczony przyjazd obywateli Albanii, Macedonii oraz Bośni. Nie chodzi w tym wypadku o turystów, ale o tanią siłę roboczą pracującą również w sektorze turystycznym. Czy i w ich przypadku przestrzegane będą procedury bezpieczeństwa? Można mieć co do tego pewne wątpliwości, skoro jak informowała pod koniec marca Ogerta Manastirliu, albańska minister zdrowia, 500 tys. szczepionek, głównie chińskiej produkcji, zostanie podane do końca czerwca, a całe 2,8 mln populacji kraju uda się uodpornić dopiero z końcem grudnia.

Europa bardzo chce powrotu do normalności. Marzą o tym zarówno pracownicy sektora turystycznego, jak i zwykli obywatele zmęczeni i zniecierpliwieni przedłużającymi się ograniczeniami. Ale czy Wspólnota, nie mówiąc już o państwach leżących na innych kontynentach, jest przygotowana do przyjęcia i bezpiecznego wypoczynku setek tysięcy turystów? Wypada wątpić. Nawet jeśli jesteśmy zaszczepieni dwiema dawkami, to i tak trzeba się będzie liczyć z utrudnieniami na granicach i ograniczeniami na miejscu. Nie uda się też zapewne wyeliminować strachu, że z wakacji przywieziemy nie tylko miłe wspomnienia. W praktyce oznacza to powtórkę z ubiegłego roku, czyli w większości przypadków urlop w kraju. Jeśli będzie on przypominał niedawną wolnoamerykanekę z Zakopanego czy Sopotu, gdzie mało kto przestrzegał ograniczeń, a nawet noszenie maseczek najwyraźniej było passé, to i perspektywa wakacyjnych wyjazdów w Polsce się oddala.

Prezydent Joe Biden postanowił zbadać możliwości zreformowania Sądu Najwyższego i zwiększenia liczby jego sędziów. Obecny jest zbyt konserwatywny i mógłby zablokować realizację liberalnej agendy demokratów. W konsekwencji takiej reformy Sąd Najwyższy stałby się kolejnym politycznym narzędziem w rękach większości



Jak odzyskać Sąd Najwyższy



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W 2019 r. Joe Biden, wtedy jeszcze kandydat demokratów w prawyborach, ostrzegał przed reformą amerykańskiego Sądu Najwyższego. „Nie chcę zwiększać liczby sędziów, bo jeśli tak zrobię, dożyję czasów, kiedy będę żałował tej decyzji” – mówił. Później, podczas kampanii prezydenckiej, zmienił zdanie i zadeklarował, że jest gotów pochylić się nad możliwością reformy SN. Odkąd zagroził w Białym Domu, postępowe kręgi wywierają na niego coraz większą presję, by jak najszybciej dokonał manewru nazywanego w Waszyngtonie „pakowaniem sądu” (court packing). Ich zdaniem jest to jedyny sposób, by zagwarantować, że zdominowany przez konserwatywnych sędziów (stosunkiem 6 do 3) Sąd Najwyższy nie przeszkodzi w realizacji lewicowej

agendy prezydenta oraz kontrolowanego przez demokratów Kongresu.

Jest w tym – jak pisze „The Chicago Tribune” – także pewien element zemsty. Donald Trump powołał za swojej kadencji aż trzech sędziów Sądu Najwyższego w miejsce zmarłych członków tej instytucji. Byli to najpierw Neil Gorsuch i Brett Kavanaugh. Obu nominacjom demokraci się sprzeciwiali, w przypadku Kavanaugh podjęli nawet próbę zdyskredytowania go zarzutami o próbę gwałtu, której miał się dopuścić w czasach licealnych. Trzecia sędzia, Amy Coney Barrett, katoliczka i matka siedmiorga dzieci, była z punktu widzenia demokratów jeszcze bardziej konserwatywna niż pozostali dwaj, do tego zastąpiła Ruth Bader Ginsburg, ikonę ruchu praw obywatelskich, obrończynię praw kobiet i zwolenniczkę aborcji, która zmarła 18 września 2020 r. po długiej walce z rakiem. Demokratów szczególnie rozsierdziło, że Barrett została powołana przed wyborami, choć ostatnim życzeniem umierającej Ginsburg było, by została ona zastąpiona w Sądzie Najwyższym dopiero po wyborach. A kontrolowany wówczas przez republikanów Senat przepchnął tę nominację. Oni nam, to my im – zdają się mówić teraz demokraci.

BEZ REKOMENDACJI

Biden powołał więc specjalną komisję w celu zbadania możliwości zreformowania Sądu Najwyższego. 36-osobowej komisji przewodniczą prof. Bob Bauer, wykładowca prawa na New York University i były doradca Baracka Obamy, oraz prof. Cristina Rodríguez, która za czasów Obamy pracowała w Departamencie Sprawiedliwości. Komisja ma 180 dni, by zbadać zalety oraz prawne uwarunkowania potencjalnych reform. Nie tylko zwiększenia liczby sędziów, ale także ograniczenia ich kadencji (teraz jest dożywotnia). Komisja będzie regularnie odbywała publiczne spotkania, na których różne propozycje reform będą dyskutowane. Rozporządzenie wydane przez Bidena nie nakazuje komisji jednak opracowania jakichkolwiek rekomendacji. Jest to pierwszy i na razie dość ostrożny krok, za którym mogą pójść kolejne. Przed kolejnymi ostrzegł prezydenta najstarszy z sędziów Sądu Najwyższego i jeden z jego trzech liberalnych członków Stephen Breyer. Według niego mogą one podważyć zaufanie obywateli do SN, zmieniając go, jak to określił, w zwykłą „instytucję polityczną”. Demokraci do-

rzucą sędziów, potem przyjdą republikanie, wyrzucą tamtych i dorzucą swoich. W konsekwencji SN stanie się ofiarą politycznej gry w Waszyngtonie, narzędziem zemsty oraz zwykłą maszynką do realizacji programu politycznego zwycięskiej partii. „Tymczasem Sądem Najwyższym powinny kierować zasady prawa” – dodał Breyer.

Zwolennikom reformy sądu nie spodobały się uwagi Breyera. Lewicowa organizacja Demand Justice wezwała go do tego, by odszedł „dobrowolnie” na emeryturę. „Powiedźcie Breyerowi, by postawił kraj na pierwszym miejscu. Niech nie ryzykuje swojej spuścizny dla niepewnej politycznej przyszłości. Niech teraz odejdzie na emeryturę” – głosi petycja uruchomiona przez Demand Justice. Sam prezydent zadeklarował ustami swojej sekretarz prasowej Jen Psaki, że nie zamierza zmuszać Breyera do zakończenia kariery. „Sędzia Breyer samodzielnie podejmie tę decyzję, jeśli uzna, że jego czas w Sądzie Najwyższym dobiegł końca” – powiedziała Psaki podczas briefingu w Białym Domu.

PRZECZEKAĆ

Od 1869 r. liczba sędziów SN wynosi dziewięć. Były już wcześniej próby reform, ale Kongres je za każdym razem blokował.

Tym razem przepchnięcie takiej reformy przez Kongres także nie byłoby łatwe – jak przekonuje amerykański politolog Carl Golden. Zbyt niewielką jest w nim przewaga demokratów. A prezydent nie może się zgodzić na taktykę postępowych kręgów: „My dajemy ci listę żądań, a ty je realizujesz albo rozpętamy piekło”, bo to rzuciłoby cień na jego własną wiarygodność jako polityka środka, który wciąż, jak stale podkreśla, wierzy we współpracę ponad podziałami i konsens. Ameryka jest bardziej spolaryzowana niż kiedykolwiek wcześniej, a agresywna reforma SN tę polaryzację by tylko pogłębiła.

Komisja, którą powołał Biden, jak spekulują media za oceanem, ma być więc próbą wybrnięcia z niewygodnej sytuacji, w której prezydent się znalazł. Sześć miesięcy dyskusji, a na końcu nadzieja, że sprawa rozejdzie się po koś-

ciach i zejdzie z agendy. Postępowe środowiska oczywiście także o tym wiedzą i tak właśnie odczytują rozporządzenie Bidena: jako próbę zepchnięcia tematu na dalszy plan. Zamierzają więc zwiększyć na niego presję, tym bardziej że czas nagli. W 2022 r. odbędą się wybory uzupełniające do Kongresu, które mogą przechylić równowagę w Senacie na korzyść republikanów. Wtedy reforma SN może się stać całkowicie niemożliwa. Demokraci przedstawili już w Kongresie ustawę autorstwa senatora Eda Markeya z Massachusetts oraz kongresmena Jerry’ego Nadlera z Nowego Jorku, której celem jest zwiększenie liczby sędziów SN z obecnie 9 do 13. Ustawa nie ma szans na przegłosowanie ze względu na już wspomnianą wąską większość demokratów,

Donald Trump powołał za swojej kadencji aż trzech sędziów Sądu Najwyższego w miejsce zmarłych członków tej instytucji. Demokraci tym nominacjom ostro się sprzeciwiali. Teraz szykują się do „zemsty”

z których część nie chce takiej reformy. Ale odzwierciedla ona determinację lewicowych kręgów w Partii Demokratycznej, by „odzyskać Sąd Najwyższy”. W prezentacji ustawy wzięli udział skrajnie lewicowi aktywiści, jak Aaron Belkin, szef organizacji Take Back The Court. Według nich to, że „konserwatywny” Sąd Najwyższy odrzucił skargi wyborcze Trumpa, wcale nie gra na jego korzyść. Już teraz, argumentują, jest to instytucja wysoce spolityzowana. Tyle że w niewłaściwym kierunku.

Tę determinację reformatorską prezydent mógłby łatwo zgasić, ogłaszając choćby, że nie popiera reformy SN, co zresztą było jego stanowiskiem podczas większości jego politycznej kariery. Ale to mogłoby pogłębić rozłam w Partii

Demokratycznej i zniechęcić do niego najbardziej postępowe środowiska, którym obiecał, że obsadzi sądy federalne kobietami oraz osobami reprezentującymi mniejszości etniczne i religijne. Nie pozostaje mu więc nic innego, niż poczekać, aż z czasem temperatura sporu spadnie.

WYSOKI KOSZT

Eksperti tymczasem wskazują na inne możliwości reformy Sądu Najwyższego, by zmniejszyć jego polityzację, choćby wybór sędziów przez kooptację (taką propozycję złożył burmistrz Indiany Pete Buttigieg) oraz na przeszkle nieudane próby reformy SN drogą Kongresu. W 1937 r. prezydent Franklin D.

Roosevelt chciał powiększyć SN o sześciu sędziów, bo obowiązujący wówczas skład sędziowski uznał część wprowadzanych przez niego reform w ramach New Deal za niekonstytucyjne. Mimo że Roosevelt w 1936 r. wygrał wybory z ogromną przewagą, nie udało mu się zdobyć poparcia dla reformy, także we własnej partii. Decydującą rolę w jej zatrzymaniu odegrał zresztą demokrat, szef senackiej komisji sprawiedliwości Henry F. Ashurst, który przetrzymał ustawę w komisji przez 165 dni. Tak by dalsze procedowanie jej nie miało sensu. Senacka komisja sprawiedliwości określiła ustawę jako „najbardziej bezsensowną, zbędną oraz niebezpieczną

przykład porzucenia konstytucyjnych zasad, pozbawiony uzasadnienia i precedensu”. Według komisji konstytucja nie określa wprawdzie liczby sędziów SN, ale to nie znaczy, że „każdy może robić, co chce”. I ustawiać sobie ten sąd pod własną agendę polityczną. To, co rozpoczęło się jako konflikt między prezydentem a SN, przerodziło się w bitwę między Rooseveltem a krąbnymi członkami jego własnej partii w Kongresie. W konsekwencji Roosevelt stracił część poparcia opinii publicznej. W 1938 r. w wyborach uzupełniających do Kongresu demokraci stracili 8 miejsc w Senacie i 81 miejsc w Izbie Reprezentantów. Jest to przykład, który Biden powinien mieć na uwadze, gdy sam pochyla się nad możliwością reformy Sądu Najwyższego.

Jeśli trzyipółletnia dziewczynka zostanie beatyfikowana, stanie się najmłodszym dzieckiem wyniesionym przez Kościół na ołtarze. Dlaczego kościółek parafialny w Gubbio w Umbrii przyciąga pielgrzymów z całej Italii?

Wielka historia małej Sary



GRZEGORZ GÓRNY

Jeszcze niedawno nazwa San Martino in Colle nie mówiła nic włoskim katolikom. Dziś ten kościółek parafialny w Gubbio w Umbrii przyciąga pielgrzymów z najodleglejszych miejsc Italii. Ich celem jest wybudowana pięć lat temu kaplica Mamma Morena, w której znajduje się biały sarkofag Sary Mariucci.

Wcześniej pątnicy udawali się na miejscowy cmentarz, gdzie modlili się przed grobowcem rodziny Mariuccich. W 2016 r. ówczesny biskup Gubbio Mario Ceccobelli podjął jednak decyzję o ekshumacji ciała Sary i uroczystym przeniesieniu go do świątyni. Dziś kaplica z jej nagrobkiem przypomina sklep z kolorowymi zabawkami. Wierni jako wota dziękczynne za otrzymane łaski najczęściej zostawiają pluszowe zwierzątka, lalki i inne maskotki. Dziewczynka, którą proszą o wstawiennictwo modlitewne, zmarła w wieku trzech i pół roku.



W 2016 r. ówczesny biskup Gubbio Mario Ceccobelli podjął decyzję o ekshumacji ciała Sary i uroczystym przeniesieniu go do świątyni

DRAMAT W KALABRII

Nic nie wskazywało, że tego dnia w rodzinie Mariuccich wydarzy się tragedia. Był 5 sierpnia 2006 r. Spędzali wakacje nad morzem. Po południu poszli na plażę, gdzie najpierw zjedli obiad, a potem trójka dzieci pobiegła na plac zabaw. Była tam nieczynna karuzela. Sara wbiegła na podest. Nagle krzyknęła i upadła. „To mogłoby zabić nawet słonia”, powie później ekspert badający miejsce wypadku. Okazało się, że dziewczynka wdepnęła w kałużę wody,



w której tkwiły odsłonięte kable elektryczne. Zginęła na miejscu.

Dla rodziców był to cios w samo serce. Często ludzie w takich momentach znajdują pociechę w Bogu, jednak Anna i Michele dalecy byli od wiary. Do kościoła chodzili od czasu do czasu z okazji jakiegoś wielkiego święta, pamiętali może parę modlitw z dzieciństwa, ale Bóg był kimś nieobecnym w ich życiu.

Anna nie chciała nawet oglądać ciała swojego dziecka. „Nosłam w sobie niesamowitą ranę, ból wielki jak otchłań, byłam zrozpaczona, pogrążona w udręce”. Przyjaciel rodziny przekonał ją jednak, że powinna po raz ostatni spojrzeć na swoją córkę i się z nią pożegnać. Widok, który ujrzała, odmienił całkowicie jej życie:

„Zobaczyłam pogodę ducha, spokój i radość, które przemieniły jej twarz: była przepiękna, wydawała się znacznie doroslejsza. Wszystko się we mnie zmieniło: poczułam spokój i pogodę ducha, jakich nigdy w życiu nie doświadczyłam. Mój umysł i moje serce otworzyły się szeroko. Duch Boży zstąpił na mnie i na mojego męża Michele. W tamtej chwili zrozumiałam: Sara nie umarła, ale zmartwychwstała z Chrystusem. Maryja wzięła ją w ramiona i wprowadziła do raju”.

TAJEMNICZA ROZMOWA

Anna przypominała sobie rozmowę, jaką dzień wcześniej miała z Sarą, gdy wieczorem kładła ją spać. Matka z córką leżały wtulone w siebie. Dziecko zaczęło opowiadać: „Kiedy byłam mała, byłam w dalekim, dalekim, wspinałym miejscu”.

„W jakim?”, zapytała matka.

„W chmurze”, odpowiedziała dziewczynka.

„A z kim tam byłaś?”

„Z mamą Moreną”.

„Mamą Moreną? A kim jest ta mama?”

„To moja druga mama”.

„Twoja druga mama? Ale, Saro, ja jestem jedyną mamą. Jaka jest ta druga mama?”

„Jest bardzo dobra”.

„Lepsza niż mama Anna?”

„Tak”.

„Saro, czy naprawdę jesteś pewna?”

„Tak”.

Anna poczuła się trochę nieswojo, że jej córka z pełnym przekonaniem uznawała, że jakaś mama Morena jest lepsza od niej. Poprosiła: „Opisz mi ją trochę, jakiego koloru są jej włosy?”

„Niebieskie”.

„A oczy?”

„Brązowe jak moje”.

Anna spytała: „A czy zostawiłbyś mamę Annę, żeby pojechać do mamy Moreny?”. W odpowiedzi Sara bez chwili wahania i z jakąś radością w głosie odpowiedziała: „Tak”.

Matka przypomniała sobie tę rozmowę następnego dnia, gdy pochyliła się nad ciałem martwej córki. Tak wspominała to, co wówczas przeżyła: „Bóg wszedł do mojego serca, mówiąc: »Sara jest ze mną«. Bóg wziął mnie w swoje ramiona, podniósł i nie pozwolił mi dłużej odczuwać udręki i rozpacz. Sara, mój mały skarb, jest w Niebie, a skoro »gdzie skarb twój, tam serce twoje«, to Niebo jest w moim sercu, a ja jestem w Niebie z Sarą”.

Trzy dni później Michele Mariucci odkrył, że 5 sierpnia – a więc w dniu śmierci Sary – w Boliwii obchodzone jest święto Matki Bożej z Copacabany, nazywanej Madonną Moreną. Figura Maryi czczona w sanktuarium nad jeziorem Titicaca ma brązowe oczy, a jej głowę okrywa niebieski welon. Wieczorna rozmowa z córką ukazała się Annie w nowym świetle.

LISTA CUDÓW

Wiele razy w historii śmierć niewinnego dziecka stawała się przyczyną oskarżeń pod adresem Boga i porzucania wiary. W tym przypadku było odwrotnie. Po tragicznym wypadku rodzina Sary, która do tamtego czasu pozostawała obojętna

religijnie, zaczęła zwracać się w kierunku Boga. Dotyczyło to nie tylko jej rodziców, lecz także dziadków, wujów i kuzynów, którzy radykalnie odmienili swe życie.

Dziadek zmarłej dziewczynki Palmiro Mariucci uważa, że wydarzenie, do którego doszło na plaży w Kalabрії, było błogosławieństwem, a nie nieszczęściem. Byłoby nieszczęściem, gdyby zginęła trójka dzieci. Razem z Sarą na karuzelę pobiegli przecież jej brat i kuzyn, którzy cudem uniknęli po-

Dowodem ludzkiej wdzięczności za modlitewne wstawiennictwo Sary są niezliczone wota pozostawione przez wiernych w kaplicy, gdzie nad białym sarkofagiem stoi czarna figurka Madonny Moreny – Matki Bożej z Copacabany. Niedawno swoje pluszowe wotum zostawiła tam dziewczynka uleczona z guza mózgu

rażenia prądem. Według dziadka, jego wnuczka, która jest w niebie, wyprasza teraz łaski dla pozostałych na ziemi.

Tegosamego zdania są rzesze wiernych, którzy zwracają się do zmarłej dziewczynki z różnymi prośbami. Lista relacji i świadectw, spisanych przez proboszcza parafii San Martino in Colle ks. Francesca Ferrariego, wydłuża się z każdym tygodniem. Jest na niej np. Luana Cavazza z Latiny, u której w wieku 42 lat zdiagnozowano nowotwór złośliwy. Przed operacją modliła się przy grobie Sary, prosząc o cud uzdrowienia. Przeprowadzone dwa dni później badanie wykazało, że jest całkowicie wyleczona. Lekarze orzekli, że z naukowego punktu widzenia był to przypadek niewytłumaczalny.

O wstawiennictwie Sary przekonane są też dwie młode matki, które ciężko chorowały i podczas ciąży przyjmowały

całe serie leków. Obie namawiane były do aborcji przez lekarzy, którzy przekonali je, że urodzą dzieci martwe lub z poważnymi wadami rozwojowymi. Nie posłuchały tych rad. Zamiast tego pojechały modlić się do Gubbio. Urodziły zdrowe dzieci i są szczęśliwymi matkami.

Dowodem ludzkiej wdzięczności za modlitewne wstawiennictwo Sary są niezliczone wota pozostawione przez wiernych w kaplicy, gdzie nad białym sarkofagiem stoi czarna figurka Madonny Moreny – Matki Bożej z Copacabany. Niedawno swoje pluszowe wotum zostawiła tam dziewczynka uleczona z guza mózgu.

ZNAK CZASU?

W lutym we Włoszech ukazała się książka „Wielka historia małej Sary Mariucci i mamy Moreny”, w której zebrano wiele podobnych relacji. Autorem jest Enrico Graziano Giovanni Solinas, doktor prawa na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim i postulator w kilku procesach beatyfikacyjnych. Jak sam przyznaje, on również został obdarzony specjalnymi łaskami dzięki wstawiennictwu Sary.

O świętości dziecka przekonani są dwaj biskupi diecezji Gubbio – poprzedni, emerytowany już Mario Ceccobelli, oraz obecny Luciano Paolucci Bedini. Zdaniem tego ostatniego to nie przypadek, że Sara interweniuje w wielu historiach rodzinnych, wchodząc w różne sytuacje między mężami, żonami, matkami, ojcami, synami i córkami, gdy pojawiają się problemy zagrażające spójności rodzin, takie jak zraniona miłość, zatwardzałość, obojętność, lęk przed przyjęciem życia, bezpłodność, podziały, przemoc, cierpienie, choroba czy niewiara.

Dotychczas najmłodszym dzieckiem wyniesionym przez Kościół na ołtarze (jako wyznawca, a nie jako męczennik) jest pasterka z Fatimy św. Hiacynta Marto, która zmarła miesiąc przed ukończeniem 10. roku życia. Jeśli dojdzie do beatyfikacji Sary Mariucci, to znaczy, że już w życiu trzypółletniego dziecka można rozpoznać heroiczną cnót, czyli uznać, że nawet w tym wieku człowiek może się poddać świadomości działaniu Ducha Świętego.

Na krawędzi wojny

Po najdłuższym w historii zawieszeniu broni sytuacja w Donbasie z dnia na dzień zaczęła się zaostrzać. Eksperci nie mają wątpliwości, że wojna wisi na włosku, a Władimir Putin cynicznie próbuje zmusić Ukrainę do uległości i jednocześnie sprawdzić cierpliwość nowego amerykańskiego prezydenta

Jeśli spojrzeć na militarne decyzje Moskwy z ostatnich tygodni, to obraz ten, delikatnie rzecz ujmując, nie napawa optymizmem. Rosja koncentruje swoje wojsko zarówno tuż przy granicy ze wschodnią Ukrainą, jak i na okupowanym przez siebie Krymie. Zdaniem ukraińskich ekspertów to w każdym z tych przypadków po ok. 40 tys. żołnierzy. Do tej układanki nie sposób nie dołożyć decyzji o manewrach Floty Czarnomorskiej oraz przerzuceniu łodzi desantowych z basenu Morza Kaspijskiego na Morze Czarne. Stamtąd już bardzo krótka morska droga na Ukrainę. Wystarczy pokonać Cieśninę Kerczeńską (to ta sama, w której dwa i pół roku temu Rosjanie zaatakowali ukraińskie jednostki) i wówczas do przepłynięcia pozostaje tylko niewielkie i płytkie Morze Azowskie. Po jednej jego stronie jest Ukraina z portem w Mariupolu, a po drugiej m.in. rosyjski Jejsk, gdzie najprawdopodobniej również stacjonują żołnierze. Możliwości są więc oczywiste: Ukraina może zostać zaatakowana zarówno od strony lądu, jak i morza.

MARIUPOL W STRACHU

To prawie półmilionowe miasto na pozór niczym się nie wyróżnia. Raczej senne, żyjące własnym rytmem. Kojarzzone ze sporym portem, który poza hutami stali i zakładami chemicznymi jest tu głównym ośrodkiem przemysłowym. Sytuacja zmienia się diametralnie, gdy zaczyna się rozmawiać z ludźmi. Większość z nich z przerażeniem wspomina lata 2014–2015, gdy Mariupol był atakowany, toczyły się walki, a strategiczne w mieście budynki płonęły.

Z Natalią spotykamy się w centrum miasta. To szczupła blondynka, która sama wychowuje czwórkę dzieci. Rozmawiamy o przeszłości i przyszłości, bo Natalia z Mariupola chciałaby wyjechać. – Najlepiej za granicę. Może do Polski, bo tam mam rodzinę. Tutaj, na Ukrainie, przyszłość nie jest pewna. Nie wiadomo, kiedy znowu trzeba będzie stanąć oko w oko z wojną – opowiada Natalia.

Rozmawiamy w parku, tuż przy niemal doszczętnie zniszczonym gmachu urzędu miasta. Został z niego tylko szkielet, podobnie jak ze spalonego budynku komendy policji. Mieszkańcy Mariupola bardzo dobrze pamiętają rok 2014, gdy na miasto napadli bojówkarze, siły wspierane przez Rosję. – Strzelali, latały śmigłowce, na ulicach stały czołgi. Pamiętam, że dzieci bardzo się bały. Tak bardzo, że nie chciały nawet same chodzić spać i trzeba było kłaść się z nimi – opowiada Natalia.

Rok później kolejny atak. Rakiety z wyrzutni Grad spadły na osiedle mieszkaniowe. Zginęło 30 osób, a prawie 100 zostało rannych. Do dziś, choć minęło już kilka lat, ludzie są nieufni. Gdy kręcimy się z kamerą obok zniszczonego budynku policji, niemal natychmiast pojawia się mundurowy. – Mogę prosić o wasze dokumenty? Muszę się upewnić, że nie jesteście z Rosji i czy to nie jakaś prowokacja – tłumaczy. Sytuacja powtarza się dzień później i w kolejnym dniu również.

Czy Mariupol jest zagrożony? To chyba pytanie, które jego mieszkańcy zadają sobie ostatnio najczęściej. Choć o polityce rozmawiać nie chcą. Tak jakby pogodzili się już z tym, że żyją tuż obok linii frontu. Jednak, w co aż trudno uwierzyć, Mariupol

dla niektórych jest azylem. Dla tych, którzy postanowili uciekać z tzw. szarej strefy.

NA LINII FRONTU

Popularnie nazywana „zoną”. Żeby dotrzeć do szarej strefy, trzeba przejechać przez wojskowy punkt kontrolny. Przepuszczani są mieszkańcy i ci, którzy mają specjalną zgodę ukraińskich władz. Od kilku dni procedury są zaostrzone, a żołnierze krzywo patrzą na jakikolwiek ruch w jedną czy drugą stronę. – Przegrupowują wojska i szykują się na ewentualny atak. Stąd ta nerwowość – tłumaczy Wołodia, który w zonie prowadzi chrześcijańską organizację pomagającą mieszkańcom.

Szara strefa to obszar, przez który przebiega linia okupacji i tym samym linia frontu. Powstał w 2014 r., gdy wybuchła wojna, a Rosja de facto zagarnęła większość Donbasu, tworząc tam, nieuznawane przez środowisko międzynarodowe, dwie samowznawcze republiki: doniecką i ługańską.

Spotykamy Annę Wasiljewną, wiecznie uśmiechniętą starszą kobietę z kotem na ręku. – Jak tu się żyje? – pytamy. Kobieta zastanawia się przez chwilę, krzywiąc usta, po czym odpowiada jednym tchem, coraz mocniej gestykulując i podnosząc głos: – Żle się tu żyje, i to wszystkim. Nam, naszym dzieciom i wnukom. Osobom starszym, takim jak ja, żyje się okropnie. Nie ma pieniędzy na opłaty i lekarstwa, za to codziennie słyszymy strzały. Dopiero niedawno udało mi się odbudować dach, bo też został ostrzelany i zniszczony.

Co zapada w pamięć w zonie? Wojsko, tablice z ostrzeżeniami, że teren może być zaminowany, i ludzie, którzy sami przyznają, że nauczyli się już żyć z wojną za płotem. – A jakie mamy inne wyjście? Młodzi powyjeżdżali. Na studia, do pracy. My nie mamy dokąd ani po co wyjechać. Więc tu zostaniemy już do końca naszych dni – tłumaczy sąsiadka Anny Wasiljewnej.

PUTIN TESTUJE

Trzeba zadać sobie pytanie, dlaczego akurat teraz i jaki jest cel Władimira Putina. Bo nie ma żadnych wątpliwości, że Rosja pręży muskły w obronie swoich interesów. Eksperci wskazują przynajmniej kilka z nich.

Po pierwsze, straszenie wojną może być zagrywką obliczoną na politykę wewnętrzną. Nie bez powodu Putin tłumaczy, że Rosji chodzi przecież o obronę jej obywateli mieszkających poza granicami. Po drugie, Kreml nie kryje się z tym, że jego zdaniem Ukraina powinna nadać specjalny status, czyli autonomię, samowznawczym republikom na wschodzie kraju. Każdy choć trochę rozumiejący ten konflikt zdaje sobie sprawę, że oznaczałoby de facto rezygnację Ukrainy z części swoich ziem.

Kolejny argument, który często pada z ust ekspertów, to swego rodzaju testowanie przez Władimira Putina nowego amerykańskiego prezydenta i jego administracji. Kreml chce zobaczyć, jak daleko może się posunąć i jak duża jest cierpliwość Joeego Bidena.

Bez względu na to, jakie cyniczne powody kierują Putinem, wszystko, co robi, po raz kolejny wpisuje się w neoimperialną politykę, którą prowadzi od lat. Nie tylko wobec Ukrainy, lecz także Gruzji (20 proc. tego kraju również jest okupowane). Spo-

sób działania jest ten sam: Rosja wywołuje konflikt, angażuje się w niego, a później uznaje, podobnie jak w przypadku Ukrainy, dwie samowznawcze republiki: Osetię Południową i Abchazję. De facto to teren okupowany przez Rosję, tak jak samowznawcze republiki wokół Doniecka i Ługańska na Ukrainie.

Przed agresywną i bandycką polityką Rosji wielokrotnie przestrzegał Europę i świat prezydent Lech Kaczyński. Mówił o niej zarówno podczas rosyjskiej inwazji na Gruzję, gdy na głównym placu w Tbilisi wypowiedział prorocze słowa, że: „dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze Państwa Bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!”. Rok później przestrzegał na Westerplatte, w obecności Władimira Putina i Angeli Merkel, podczas uroczystości 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Gdy w podobnym tonie o polityce Rosji mówił Jarosław Kaczyński, pisząc w tej sprawie list do polityków europejskich, rządzący wówczas w Polsce politycy Platformy Obywatelskiej wyśmiewali go.

Po latach jak na dłoni widać, kto miał rację. Władimir Putin niewiele sobie robi z prób straszenia go przez administrację Joeego Bidena i kompletnie lekceważy Unię Europejską. – Trzeba natychmiast skończyć z budową Nord Stream II. To jest język, który Rosja rozumie – mówiła w rozmowie z „Wiadomościami” TVP Anna Fotyga, była szefowa polskiej dyplomacji. Polscy dyplomaci na unijnym forum podnieśli zresztą postulat, aby rozszerzyć sankcje UE wobec Rosji.

Marcin Tulicki

Autor jest dziennikarzem „Wiadomości” TVP1

REKLAMA



"Tu była Warszawa"
Piotr Otrębski
poniedziałek, godz. 10.30

"Niedaleko od domu"
Dominik Wendołowski
czwartek, godz. 10.30

RADIO
Warszawa
106,2 FM

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Reklama | 36/0321/F

Wybuchowa hipoteza

Komunistyczna Partia Chin stara się utrzymać kontrolę nad wyjaśnianiem genezy i przyczyn wybuchu zarazy w Wuhanie. Na razie się to jako tako udaje



JAN ROKITA

Witamy w Wuhanie, aby cieszyć się piękną scenérią przez cały rok, skosztować popularnego gorącego suchego makaronu, odwiedzić Pagodę Żółtego Żurawia, poznać plany rozwoju miasta i stworzyć lepszą przyszłość”. Taką inwokację wygłosił 12 kwietnia Wang Zhonglin na otwarcie wielkiej imprezy promocyjnej regionu, w którym nie tak dawno nastąpił pierwszy wybuch zarazy. Od ubiegłego roku Wang jest sekretarzem partii komunistycznej w Wuhanie, a swe stanowisko objął w gorącym momencie, gdy jego poprzednik z dnia na dzień utracił władzę i partyjną pozycję za karę, iż dopuścił, aby nazwa jego miasta stała się symbolem globalnej zarazy. Na propagandową fetę promującą Wuhan jako oazę piękna, bezpieczeństwa i technologicznej nowoczesności chińskie władze ściągnęły dyplomatów ze 155 ambasad i funkcjonariuszy z 21 organizacji międzynarodowych.

ODWRÓCENIE SYMBOLI

Komuniści chińscy, zwłaszcza od czasu panowania żarliwego imperialisty Xi Jinpinga, mają to do siebie, że jak już coś robią, to robią to z rozmachem. Do roli koronnego świadka, gwarantującego bezpieczeństwo sanitarne w Wuhanie i szczególne walory gospodarcze ośmiomilionowej metropolii, dał się zaprząć tamtejszy francuski konsul generalny. Chińczykom zależy bardzo na tym, aby Wuhan stał się – niczym Hongkong – kosmopolityczną metropolią międzynarodowego biznesu, z liczną obecnością Europejczyków i Amerykanów. Zaczyna się zatem potężna operacja propagandowa i biznesowa, której celem jest sprytnie odwrócenie symboli. Oto nazwa miasta, przez które przyszły do nas zamęt i śmierć, ma się stać teraz znakiem chińskiej nowoczesności, sukcesu i otwarcia na świat.

Kluczową częścią tej operacji jest utrzymanie kontroli Komunistycznej Partii Chin nad wyjaśnianiem genezy i przyczyn wybuchu zarazy w Wuhanie. Na razie się to jako tako udaje. W każdym razie Pekin poradził sobie z bardzo dla siebie niewygodną międzynarodową misją WHO, próbującą ustalić przyczyny wybuchu zarazy. 4 kwietnia ogłoszony został 123-stronicowy raport misji, który amerykański sekretarz stanu Antony Blinken skomentował kąśliwą uwagą, iż „rząd w Pekinie nieźle pomógł go napisać”. Ale chiński reżim stopniowo się przyzwyczaja do otwartej wrogości ze strony USA, niezależnie od tego, czy w Białym Domu zasiada Trump, czy Biden. Znacznie bardziej obawia się podważenia propagowanej przez siebie wersji zdarzeń przez

międzynarodowe komisje i naukowców. Dlatego kiedy jeszcze w maju 2020 r. WHO zdecydowała wysłać do Wuhanu misję badawczą, Pekin najpierw przez kilka miesięcy droczył się o zasady jej działania, potem przez dalsze miesiące opóźniał jej przyjazd, a w końcu zarządził dla jej członków dwutygodniową kwarantannę, by wreszcie dopuścić ich do pracy na czas dwu tygodni, na przełomie stycznia i lutego. Oczywiście we współpracy z wyznaczonymi naukowcami chińskimi i pod nadzorem policji politycznej. „Polityka zawsze była z nami w pokoju” – powie potem w wywiadzie dla magazynu „Science” szef misji – Duńczyk dr Peter Embarek. Skądinąd wieloletni doradca rządu chińskiego, a w roku 2017 laureat przyznanej mu przez Pekin Scientific Spirit Award.

Podjęte starania się opłaciły. To, czego Pekin boi się najbardziej, zostało uznane w raporcie za „skrajnie nieprawdopodobne”: podejrzenie, iż wirus SARS-CoV-2 wyciekł z chińskiego laboratorium. Nie mówiąc już o prawdziwie wybuchowej hipotezie, którą misja odrzuciła a vista, bez poddania jakeemukolwiek sprawdzeniu, iż wirus mógł zostać w laboratorium opracowany. I choć forsowana obecnie przez oficjalnych chińskich ekspertów wersja o zakażeniu ludzi poprzez mrożone mięso sprzedawane na targach nie znalazła uznania członków misji, to jednak w zasadniczej dla Pekinu kwestii o wielkiej doniosłości politycznej misja podzieliła chiński punkt widzenia. Jej zdaniem wirus przyniosły nietoperze, a jedyna rzecz nadal niejasna to – jakie inne zwierzę było „pośrednikiem” między nietoperzami a ludźmi. W raporcie pada stwierdzenie,

iz całkiem nieprawdopodobne jest, aby owym „pośrednikiem” nie było zwierzę, ale... Instytut Wirusologii w Wuhanie, podległy Radzie Państwa Chińskiej Republiki Ludowej. W każdym razie choć misja przeanalizowała ponoć badania dziesiątków tysięcy próbek pobranych ze zwierząt dzikich, domowych i hodowlanych z różnych regionów Chin, to jednak nie wykryła owego „żywiciela” wirusa, który miałby być bezpośrednim sprawcą wybuchu zarazy.

RAPORT WHO

Sam doktor Embarek nie kryje tego, że prace misji traktuje tylko jako „dotknięcie powierzchni” problemu. Przyznaje także, iż pomimo swych starań misja nie otrzymała dostępu do „surowych danych”, co znaczy w istocie, że naukowcy nie przeprowadzili własnych badań (bo nie mieli nad czym), ale bazowali na wynikach podsunętych im przez Chińczyków. Na zdrowy rozum widać, że taki tryb pracy stawia pod znakiem zapytania cały sens misji WHO. Internetowy serwis Medpage Today, jeden z najbardziej cenionych dostawców aktualnych rezultatów badań medycznych na świecie, otwarcie kwestionuje sens misji. Szef tego serwisu – Marty Makary, profesor John Hopkins University, formułuje trzy warunki sine qua non, bez których spełnienia trudno mówić o naukowej wartości raportu. Pierwszy to uczciwa współpraca władz chińskich, drugi – dostęp do laboratorium w Wuhanie i jego pełnej dokumentacji medycznej, w końcu trzeci – prawna ochrona chińskich świadków i ich rodzin przed grożącymi represjami.

Nic dziwnego, że aż 14 krajów członkowskich WHO zażądało dalszych badań i dostępu do „surowych danych” medycznych. Są wśród nich nie tylko USA, Wielka Brytania, Japonia, Izrael czy Australia, lecz także np. Czechy, Litwa, Łotwa, Estonia i Słowenia; niestety, nie ma Polski. Z politycznej perspektywy to dla Pekinu bardzo niewygodne żądanie. Co ciekawe, niկła wartość naukowa raportu misji musi być na tyle oczywista, że skłoniła nawet Tedrosa Adhanoma, dyrektora generalnego WHO, do obwieszczenia, że „wszystkie dotychczasowe hipotezy są nadal aktualne”, on osobiście zaś jest

gotów w każdej chwili wysłać do Chin kolejną misję badawczą. Więc choć pewnie za czas jakiś, po kolejnych miesiącach targów z Pekinem, pojawi się jakaś nowa misja, to trudno przypuścić, iżby trzy oczywiste warunki rzetelności jej pracy sformułowane przez Makary’ego były możliwe do spełnienia kiedykolwiek pod panowaniem chińskiej komunistycznej dyktatury.

Co do intencji Pekinu najbardziej przemawiające są nagie fakty, czyli hi-

storie tych chińskich lekarzy, którym świat zawdzięcza to, iż z opóźnieniem, ale w ogóle mógł zacząć walkę z zarazą. Sławny już doktor Li Wenliang ze szpitala w Wuhanie został aresztowany po tym, jak na komunikatorze WeChat podał wiadomość o zakaźności wykrytego wirusa. W więzieniu podpisał deklarację, iż „podawał fałszywe komentarze zakłócające porządek publiczny” i jest świadom odpowiedzialności karnej za takie działanie. Po czym wkrótce



Fot. AP Photo/Ng Han Guan/East News

zmarł na COVID-19, choć miał 34 lata i w żadnym razie nie należał do grupy wysokiego ryzyka. Nie wiadomo, co się stało z kilkoma osobami aresztowanymi razem z nim, ale Medpage Today odnotowuje uporczywe pogłoski o wyrokach, a nawet egzekucjach.

Koleżanka doktora Li – dr Ai Fen, pełniąc rok temu funkcję ordynatora oddziału ratunkowego szpitala w Wuhanie, udzieliła w marcu wywiadu na temat okoliczności wybuchu zarazy, po czym (jeśli wierzyć informacjom mediów) oślepla i popadła w depresję. Z kolei prof. Zhang Yongzhen, ze sławnego szanghajskiego uniwersytetu Fudan, zaryzykował rok temu złamanie decyzji władz, które nakazały mu zniszczenie wypreparowanego po raz pierwszy genomu wirusa i udostępnił go swojemu australijskiemu koledze po fachu. Dzięki niemu świat mógł w lutym 2020 r. w ciągu zaledwie kilku dni skonstruować stosowane odtąd na masową skalę testy, a także pierwszy model szczepionki, powstały w firmie Moderna.

Wszystko to działo się wbrew władzom chińskim, przy ustawicznym ryzyku represji wobec naukowców i lekarzy. Tamte doświadczenia nie tylko zmuszają dziś do maksymalnej nieufności wobec komunistycznych władz, lecz przede wszystkim dowodzą, iż miały one wówczas (i zapewne mają nadal) w Wuhanie wiele do ukrycia. Nie przypadkiem sekretarz Wang jest sprawdzonym funkcjonariuszem, który już wcześniej wyznaczany był na najbardziej ryzykowne placówki partii komunistycznej.

GENEZA WIRUSA

To, co Pekin chce ukryć, może być ciągle jedynie przedmiotem domysłów i spekulacji układających się w dwie generalne hipotezy.

Pierwsza jest względnie korzystna dla władz chińskich, zakładając, że na fakt wybuchu zarazy zareagowały one po prostu tak, jak zawsze w historii zwykły reagować reżimy komunistyczne na wszelkie plagi i katastrofy, przynoszące śmierć bądź zniszczenia: blokadą informacji i represjami. To by znaczyło, że misja WHO, choć nie ma po temu wystarczających podstaw, przedstawia jednak konkluzję co do istoty rzeczy prawdziwą:

że wirus upowszechnił się w Chinach za sprawą takiego czy innego rodzaju kontaktu ludzi ze zwierzętami. Taka hipoteza ma jednak co najmniej dwie wyraźnie słabości logiczne. Po pierwsze, wymaga uznania, iż fakt wybuchu zarazy tuż obok głównego chińskiego laboratorium wirusologicznego, nadzorowanego przez najwyższe władze, jest po prostu

Skoro SARS-CoV-2 „wymknął się” z Instytutu Wirusologii w Wuhanie, to nieuchronnie powstaje pytanie – jakie badania nad nim tam prowadzono i w jakim celu?

wynikiem zadziwiającego zbiegu okoliczności, jaki czasem zdarza się na tym świecie. Słabość druga – to fakt, iż po przeszło roku od wybuchu zarazy i po tym, jak chińskiemu reżimowi drakońskimi metodami udało się nad nią zapanować, Pekin nadal strzeże „surowych danych” medycznych przed zagranicznymi ekspertami jako swej tajemnicy państwowej. Dlaczego nie miałby ich przekazać życzliwej w sumie wobec Chin misji WHO, skoro dane te mogłyby tylko ugruntować wiarygodność „zwierzęcej” wersji upowszechnianej przez reżim?

Hipoteza druga pojawia się często w formie stawianych pytań i podejrzeń, mało kto jednak ma odwagę stawiać ją otwarcie. Strach przed długim ramieniem chińskiego reżimu musi tu robić swoje. Jednym z odważnych jest Robert Redfield, profesor Uniwersytetu Medycznego Maryland, a w czasach Trumpa szef amerykańskiej Agencji Zdrowia Publicznego (CDC) oraz Agencji Substancji Toksycznych (ATSDR). „Jest mało prawdopodobne – mówi Redfield – aby jeden z najbardziej zakaźnych wirusów dla człowieka przeszedł po prostu z nietoperzy; bardziej prawdopodobne, że wirus ten został opracowany w chińskim laboratorium”. Nie sposób rozstrzygnąć,

na ile frontalny atak na Redfielda, jaki po tym oświadczeniu przypuścili politycy Partii Demokratycznej, wynika z panującej akurat na amerykańskiej lewicy obsesji antyrasistowskiej, na ile zaś jest skutkiem inspiracji reżimu w Pekinie. Dość, że od republikańskiego gubernatora stanu Maryland demokraci zażądali wyrzucenia Redfielda z funkcji doradcy, gdyż jego pogląd „tworzy toksyczny i niebezpieczny klimat rasowy” (senator Ferguson) oraz „prowadzi do wzrostu przestępstw nienawiści wobec Azjatów” (senator Lam). Tak więc podejrzenia wobec reżimu chińskiego zostały zakwalifikowane przez lewicowych polityków jako przejaw... rasizmu.

Cała ta druga hipoteza jest politycznie skrajnie wybuchowa. Skoro SARS-CoV-2 „wymknął się” bowiem z Instytutu Wirusologii w Wuhanie, to nieuchronnie powstaje pytanie – jakie badania nad nim tam prowadzono i w jakim celu? Czy też może w ogóle (jak twierdzi Redfield) ta odmiana koronawirusa – jak widzimy – zdolna do szybkich mutacji, została w tamtejszym laboratorium „opracowana”? No i zatem – czy aby z pewnością laboratorium w Wuhanie nie narusza globalnej konwencji zakazującej badań nad bronią bakteriologiczną, do której Chiny przystąpiły jeszcze w 1984 r.? Jeśli wziąć pod uwagę, że jak dotąd chiński wirus zabił na świecie trzy miliony ludzi, to jasna się staje skala możliwych roszczeń odszkodowawczych oraz międzynarodowych postępowań kontrolnych i sądowych przeciwko reżimowi w Pekinie. I to wszystko w czasie, gdy Chiny pod władzą Xi Jinpinga stały się pierwszy raz w swej historii państwem politycznie i militarnie ekspansywnym, wywołując – jak wielu dziś uważa – nową „zimną wojnę” z Ameryką i całym wolnym światem. Nie trzeba wielkiej politycznej wyobraźni, by dostrzec, iż jakiegokolwiek dalsze uprawdopodobnienie hipotezy udziału wuhanńskiego laboratorium w wywołaniu zarazy to krok w stronę dużego konfliktu politycznego. A w historii świata najprawdopodobniej wojny wybuchały z o wiele bardziej błahych powodów. 



poza horyzontem

Polacy

SIECI



Antoni
Stanisław
Waga

Stefan Szole-
-Rogoziński

odc. 3

Kawałek ziemi w Afryce

PARTNER DODATKU



ORLEN

Nieudany romans z Afryką

Jego plan był tyle prosty, ile szalony. Ponieważ Polska przestała istnieć w środku Europy, Stefan Szolc-Rogosiński postanowił przenieść ją na Czarny Ląd. I niemal mu się to udało

Obsesja podróży towarzyszyła mu od dzieciństwa. Jak sam wspominał czasy szkolne: „Nieraz byłem karany za rysowanie mapek podczas lekcji lub za kreślenie marszrut na mapach szkolnych”. Nic też dziwnego, że kiedy tylko stało się to możliwe, Szolc-Rogosiński rozpoczął naukę w szkole marynarki wojennej w Kronsztadzie, a po jej ukończeniu pływał na okrętach floty rosyjskiej. Na ich pokładach opłynął Afrykę i właśnie w trakcie tych rejsów zainteresował się niemal zupełnie dzikimi wówczas terenami Afryki Równikowej. „W szczególności Kamerunem, którego zbadanie od tego momentu postawił sobie za cel życia” – zauważał Jakub Jagiełło, wydawca pierwszej od 125 lat edycji jego wspomnień.

Po powrocie do Europy niezwłocznie rozpoczął przygotowania do wyprawy badawczej. W celu zebrania

funduszy jeździł po kraju z odczytami, informacje o przedsięwzięciu publikował w prasie, zwłaszcza w poczytnym „Wędrowcu”. Ponieważ nie ukrywał, że targa nim nie tylko żądza przygody na niezbadanym lądzie czy cele stricte naukowe, lecz także idea przypomnienia światu o Polsce, cała akcja wywołała rychło ogólnonarodową dyskusję, wspieraną tak mocnymi głosami, jak Bolesława Prusa czy Henryka Sienkiewicza, którzy zapalili się do tej idei, a bodaj nawet wsparli ją finansowo. Choć nie brakło też przeciwników, z których największy problem stanowiło Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne. Ta dysponująca nieograniczonymi funduszami instytucja początkowo była bardzo zainteresowana projektem, wycofała jednak swoje poparcie właśnie z uwagi na jego manifestacyjną polskość.

W końcu w 1882 r. – korzystając z pomocy finansowej hrabiów Klemensa Branickiego i Benedykta Tyszkiewicza – udało się Szolc-Rogosińskiemu nabyć okręt i „wyekwipowawszy we francuskim porcie Havre żaglowiec nasz: »Łucję Małgorzatę«

zakupioną dla naszej podróży, podniosłem kotwicę dnia trzynastego grudnia 1882 r., płynąc przez Madagę do zatoki Gwinejskiej, w której środku leżą góry kameruńskie, cel drogi morskiej naszej” – wspominał.

Potwory i świeże czaszki

Po przybyciu na miejsce – jak zanotował – „ciemność była zupełna, ale mogliśmy zauważyć, że otoczyła nas chmara czarnych, przyglądających się z ciekawością nieznanym przybyszom”. Wkrótce się okazało, że tubylcy są całkiem przyjaźni – tym bardziej, im więcej wręczy im się drobnych подарunków. Będąc bazą wypadową do dalszych wypraw wyspę Mondoleh podróżnik kupił od lokalnego kacyka za trzy skrzynki dżinu, cylinder i tużurek.

Mając teraz swój skrawek Afryki, Rogosiński z energią zabrał się do eksploracji stałego lądu. Badał dorzecze rzeki Mungo i notował: „Nikt w Europie nie oceni należycie tego kraju, bo nikt w nim nie był in extenso i nie poznał jego bogactw i uroczej piękności. Długą wstęgą



ciągnie się przez jego niezgłębione lasy bystry Rio-Mungo [...] Z północy ogranicza go odkryte przez nas jezioro Barombi-o-Mbu, czyli jezioro Benedykta, nazwane tak przez nas na cześć hr. Benedykta Tyszkiewicza [...] Roślinność wszędzie jest zdumiewająca. Palmy wszelkich rodzajów, drzewa bawełniane, bombasy, hebany, drzewa gumowe, splatają liany kauczukowe, niby lina bez końca, rzucona w gąszcz, podczas gdy niżej falują paprocie i najróżniejsze kryptogamy [...] To może zieleni ożywia bardzo liczny świat zwierzęcy, począwszy od stad słoni, których tu jeszcze nie straszyl huk strzału człowieka, które w nocy zalewają gąszcz swoimi masami, aż do małp, lampartów i najróżniejszych odcieni antylop; w co jednak obfituje ta przestrzeń są to płazy i owady najróżniejszych form, częstokroć ohydne, lecz ciekawe potwory”.

Wędrując wśród tych „ciekawych potworów”, odkrył Szolc-Rogoziński m.in. Jezioro Słoniowe, wszedł na najwyższy szczyt Kamerunu Fako (wulkan, dziś nazywany Kamerun), a dzięki kontaktom z lokalnymi plemionami zdobywał wiele przedmiotów, które regularnie wysyłał nad Wisłę. Ludzie zresztą interesowali go nie mniej niż przyroda i geografia, co było tym łatwiejsze, że miał duże zdolności językowe – swobodnie mówił po angielsku, hiszpańsku, włosku i niemiecku – nauka lokalnych narzeczów przychodziła mu więc stosunkowo łatwo. Nie obeszło się jednak i tu bez przeszkód. Jak wspominał: „Przybyliśmy około piątej wieczorem do nieznanego murzyńskiego, dość wielkiego miasta Balombi-ba-Kange. Tu cała ludność rzuciła się na nasz widok w największym przestachu do przeciwnych wrót; nigdy bowiem wcześniej nie widzieli białego człowieka, a według ich mniemań diabeł ma ciało białe. Przybywając więc, nieznanie im istoty przeraziły ich śmiertelnie swym widokiem”.

Szolc-Rogoziński miał wówczas zaledwie 21 lat i marne pojęcie o etnografii – kameruńskie plemiona nie były schryścianizowane i w ogóle nie znały pojęcia diabła, białych podróż-

ników mogli więc uznać co najwyżej za jakieś demony ze swojego panteonu. W kwestii kolorów nie mylił się jednak, o czym przekonał się wkrótce potem w chacie naczelnika miasta Mambanda. Podobnie jak o kilku innych, dość upiornych lokalnych praktykach. „Przy słupie znajdującym się pośrodku stał czarny bożek wyciosany z drzewa, a przedstawiony w postaci skaczącej, co jednak najbardziej ponure sprawiało wrażenie – było to kilkadziesiąt czaszek ludzkich, które wisiały u sufitu,

Mondoleh wraz z góralami, prosząc, abyśmy załatwili ich wzajemne spory. W końcu zaś zaufanie posunęło się tak daleko, że główny kacyk, a mianowicie król Jerzy z Boty, oddał rządy nad swym krajem w moje ręce, wkrótce zaś za nim poszli inni kacykowie. Nabyłem równocześnie własność ziemską owych klanów, posiadając takim sposobem i ziemię, i rządy nad krajowcami takowej”.

Panowanie Stefana Szolc-Rogozińskiego na 30 km kw. Kamerunu – bo w istocie tyle posiadał – nie

Stefan Szolc-Rogoziński: „W końcu zaś zaufanie posunęło się tak daleko, że główny kacyk, a mianowicie król Jerzy z Boty, oddał rządy nad swym krajem w moje ręce, wkrótce zaś za nim poszli inni kacykowie. Nabyłem równocześnie własność ziemską owych klanów, posiadając takim sposobem i ziemię, i rządy nad krajowcami takowej”

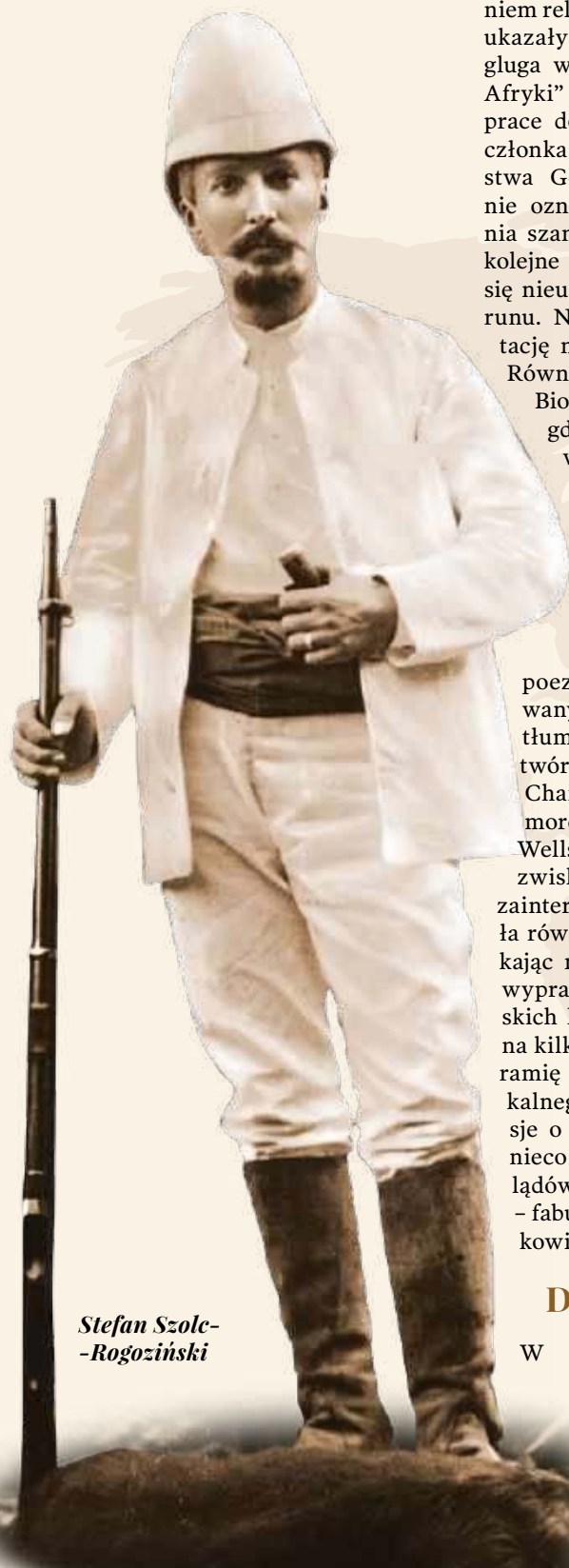
po części stare i zakopcone, po części świeższe i pomalowane gliną [...] a w jednym z rogów tej monstrualnej izby, pod łóżkiem bambusowym, które miało nam służyć w nocy, leżała zupełnie prawie świeża i jeszcze cuchnąca czaszka” – notował z niesmakiem.

Król 30 kilometrów

W dżungli i w wioskach lokalnych plemion Szolc-Rogoziński przebywał bez przerwy przez pół roku – to bardzo długo, zważywszy na liczne zagrożenia, zarówno ze strony ludzi, zwierząt, jak i egzotycznych chorób, a w dodatku w dzikim, nieznanym sobie terenie. Materiałów i notatek zebrał całe kilogramy, ale nie zapominał o kolonialno-narodowym celu swojej misji. Jak zapisał: „Krajowcy południowego skłonu gór kameruńskich już od pewnego czasu żyli się z nami, a kacykowie nadbrzeżni niejednokrotnie przychodzili na stację

trwało długo. Garstka młodych podróżników nie miała szans w starciu z Niemcami, których okręty wkrótce pojawiły się w Zatoce Gwinejskiej. Nie chcąc oddać ziemi w ich ręce, Szolc-Rogoziński zdecydował się przekazać władzę Brytyjczykom. Czy miał szansę stworzyć polską kolonię? Mało prawdopodobne. Czy jednak rzeczywiście miał taki plan? Uczestnik jego wyprawy Leopold Janikowski nie pozostawia wątpliwości: „Kiedy w roku 1881 poznałem Szolc-Rogozińskiego i kiedy roztoczył przede mną swoje plany badań naukowych oraz jeden z głównych celów, z konieczności ukryty, a mianowicie wyszukania odpowiedniego terenu dla kolonizacji polskiej, jako przyszłej ostoji dla tych, którym nie tylko materialnie, ale i duchowo było za ciasno pod rządami trzech naszych zaborców – plan ten porwał mnie i oddałem mu się całą duszą”.

Nie było rady. Młody badacz Afryki wrócił do Europy, gdzie zajął się



**Stefan Szolc-
-Rogoziński**

katalogowaniem zbiorów, spisywaniem relacji z podróży, które wkrótce ukazały się w dwóch tomach: „Żegluga wzdłuż wybrzeży zachodniej Afryki” i „Pod Równikiem”. Jego prace doceniono, przyjmując go na członka Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, nie oznaczało to jednak zwiększenia szans na zdobycie pieniędzy na kolejne wyprawy, do których rwał się nieustannie. Powracał do Kamerunu. Nieopodal kupił nawet plantację na należącej dziś do Gwinei Równikowej wulkanicznej wyspie Bioko (wówczas Fernando Po), gdzie zamieszkał z poślubioną w międzyczasie polską pisarką i tłumaczką Heleną Janiną Boguską, tworzącą pod pseudonimem Hajota.

To, nawiasem mówiąc, postać równie ciekawa jak jej małżonek. Feministka i emancypantka, autorka poezji i lekkich, ale zaangażowanych społecznie nowel, jako tłumaczka przybliżyła Polakom twórczość takich pisarzy jak Charles Dickens, James Fenimore Cooper czy Herbert George Wells – i już po tym doborze nazwisk widać, jak szerokie miała zainteresowania. Zresztą podzielała również pasję małżonka. Mieszkając na Bioko, odbywali wspólne wyprawy w głąb innych afrykańskich krain, wspólnie wspinali się na kilkutysięczne wulkany, a także ramię w ramię badali zwyczajnie lokalnego plemienia Bubi. Jej refleksje o tym wszystkim ukazały się nieco później w tomie „Z dalekich lądów. Nowele i opowiadania” – fabularyzowane, ale pełne smakowitych i autentycznych detali.

Depresja odkrywcy

W egzotycznej scenerii para przeżyła wspólnie kilka lat, wędrując, badając i uprawiając kakao. Patrząc z zewnątrz, ich życie wydawało się sielanką,

ale chyba tak nie było, skoro już 1891 r. para przekazała plantację w ręce brata Szolc-Rogozińskiego, sama zaś powróciła do Europy – choć bardzo powoli, bo od Kadyksu prowadziła odczyty w każdym większym napotkanym mieście. Fakt, że plantacja nie przynosiła oczekiwanych dochodów, ale prawdziwą przyczyną jej opuszczenia był rozpad małżeństwa. Tuż po przybyciu do Warszawy Rogoziński co prawda natychmiast wyjechał na pół roku do Egiptu, by tam szukać sponsorów na kolejną ekspedycję – znów bezskutecznie – ale po powrocie czekał już na niego wniosek rozwodowy.

Niepowodzenie planów badawczych i rozwód załamały wciąż młodego podróżnika. Bardzo dosłownie, bo jakiś czas spędził nawet w krakowskim szpitalu psychiatrycznym, a leczenie kontynuował później w Niemczech. Wciąż wygłaszał odczyty i szukał sponsorów. Osiągnął wiele: nieustannie publikował artykuły poświęcone mieszkańcom i geografii Kamerunu, w dodatku robił to w pięciu znanych sobie językach, był więc postacią rozpoznawalną w całej Europie. Opracował wiele map z naniesionymi odkryciami, a nawet rozprawę etnograficzną o plemieniu Bubisów z Fernando Po. Ale nie chciał być akademickim etnografem czy geografem siedzącym za biurkiem. Chciał podróżować i odkrywać, być w terenie, ryzykować. Tym bardziej że znacznie lepiej powodziło się w tych sprawach jego koledze z kameruńskiej ekspedycji Leopoldowi Janikowskiemu, który za pieniądze Francuzów wyjechał do Gabonu, gdzie przez dwa lata, gdzieś w cieniu Gór Krystalicznych, badał zwyczajnie plemienia Fang i wszystko inne, co było do przebadania. Szolc-Rogoziński musiał mu zazdrościć.

Nigdzie już jednak nie pojechał. 1 grudnia 1894 r. w Paryżu, zapewne idąc zamyślony nad planami przyszłych ekspedycji, nie zauważył nadjeżdżającego konnego omnibusu i już po chwili zginął pod jego kołami. Miał wówczas zaledwie 35 lat.

Wojciech Lada

Nowe wydanie w kioskach!



3 maja 1791

Pierwsza nowoczesna
konstytucja w Europie

Uszy konspiracji

Kontrwywiad AK
– wielka sieć informacyjna

Dusza kontusza

Zofia z Opalińskich
– staropolska femme
fatale?

Zamów e-wydanie **wSIECI HISTORII** i **SIECI**
na www.SiecPrzyjaciol.pl

- do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie



Na kawę do Mozambiku



W dwudziestoleciu międzywojennym nazwisko Stebleckiego wymieniano niekiedy jednym tchem z Beniowskim i Szolc-Rogosińskim, bo tak jak oni miał się podobno starać odtworzyć Polskę – tyleż niepodległą, ileż egzotyczną. Tym razem w Rodezji

Nie do końca wiadomo, skąd się wzięła ta barwna legenda – prawdopodobnie bardzo odpowiadała rzecznikom zdobycia dla Polski kolonii w latach 20. i 30. XX w., a była to idea zaskakująco wówczas popularna. Związany z tym ruchem Kazimierz Głuchowski opublikował w 1927 r. na łamach „Kwartalnika Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” artykuł zachwalający kolonialne przymioty Angoli. Pisał w nim: „[...] Czyż na koniec nie jest dla nas symbolem murzyńskie państewko Lwowianina Stebleckiego w dzisiejszej Rodezji po-

łudniowo-zachodniej w końcu ubiegłego stulecia istniejące”.

Gorliwy popularyzator kolonializmu trochę się jednak tym razem zapędził. Dzieje Zambii i Zimbabwe – te kraje powstały na gruzach ówczesnej Rodezji – nie dostarczają żadnej wzmianki o jakimkolwiek państewku Stebleckiego. Sam Steblecki co prawda istniał. Było ich nawet dwóch braci – Stanisław i Kazimierz – i istotnie byli w Afryce mniej więcej w tym samym czasie co Szolc-Rogosiński. Ale po pierwsze, przebywali głównie w Mozambiku, po drugie zaś – nie mieli najmniejszych ambicji tworzenia żadnego państwa. Byli po prostu

młodymi chłopakami spod Lwowa, którzy postanowili się wyrwać z tkwiącego wówczas w kompletnym marazmie kraju i ruszyć w egzotyczną awanturę. Bardzo niewielu Polaków przed nimi odważyło się na eksplorację Czarnego Lądu.

Bez grosza w Egipcie

Stanisław podobno już od dawna fascynował się słynnymi podróżami Davida Livingstone’a, kiedy zaś dotarły do niego wieści o planowanej wyprawie Szolc-Rogosińskiego, niewiele myśląc, namówił swojego starszego brata Kazimierza na podjęcie szalonej



eskapady, mającej przeciąć Afrykę od Mozambiku do ujścia Konga. Główny kłopot polegał na tym, że pieniądze starczyło im jedynie na dotarcie do Egiptu. Chcąc nie chcąc, imali się wszelkich dostępnych prac – byli robotnikami portowymi, kopaczami, agentami handlowymi... Czymkolwiek się dało, byle tylko przeżyć i odłożyć coś na wyprawę. Szybko jednak zauważyli, że tym sposobem pieniędzy na prawdziwą ekspedycję nie zdobędą. Postanowili więc sprowadzić do Kairu swoich przyjaciół: biologa Antoniego Pisulińskiego oraz lwowskiego farmaceuty Władysława Jautza. Szczególnie ważny był ten drugi, on dostarczył bowiem kwoty potrzebne do rozpoczęcia podróży w głąb Afryki. W 1884 r. cała czwórka ruszyła drogą morską w stronę Mozambiku.

Jaki mieli plan? W Egipcie usłyszeli o wyprawie badawczej słynnego portugalskiego eksploratora Afryki Alexandre'a de la Rochy de Serpy Pinto. Miała ona prowadzić na zachód, wzdłuż rzeki Zambezi, do Niasa, czyli dzisiejszego Malawi. Wyprawa była tylko częściowo badawcza. Niasa należała wówczas do Brytyjczyków, a Serpa Pinto był portugalskim oficerem – jej podtekst polityczno-szpiegowski był więc jasny. Stebleckiego i kompanów polityka kolonialna zupełnie nie interesowała – udział w wyprawie pozwoliłby im praktycznie bez kosztów dostać się w upragnione regiony. Mieli jednak pecha. Serpa Pinto rozchorował się i rejs wzdłuż Zambezi został przesunięty na czas nieokreślony. Młodzi Polacy znaleźli się w sytuacji naprawdę trudnej. Byli tysiące kilometrów od domu, kasy nie mieli dużo, w dodatku było bardzo gorąco.

Factoria Dos Polacos

Szczęśliwie, oprócz temperamentu i awanturniczej żyłki, mieli też niezłe wykształcenie i prawdopodobnie władali jakimś językami poza polskim. W każdym razie po dotarciu do Kilimani udało im się podpisać kontrakt z filią domu handlowego Sharrer Tiede et co. na prowadzenie faktorii

handlowej w miejscowości Szam przy ujściu rzeki Shire do Zambezi. Nie był to łatwy kawałek chleba, bo istniejąca tu wcześniej faktoria została splądrowana przez wyjątkowo niepokorne plemię Massangirich, ale Stebleckich i kompanów chyba to nie zrażało. Szybko odnowili budynki, wywiesili szyld: Factoria Dos Polacos, i natychmiast zaczęli handel z lokalnymi plemionami. Szło im najwyraźniej doskonale, bo zapuszczali się coraz

***Szybko odnowili
budynki, wywiesili szyld:
Factoria Dos Polacos,
i natychmiast zaczęli
handel z lokalnymi
plemionami. Szło im
najwyraźniej doskonale,
bo zapuszczali się coraz
dalej na plemienne
terytoria głównie wzdłuż
rzeki Shire, nawiązując
kontakty z tubylcami,
a przy okazji badając
tereny pod względem
przyrodniczym***

dalej na plemienne terytoria głównie wzdłuż Shire, nawiązując kontakty z tubylcami, ale przy okazji badając tereny pod względem przyrodniczym – głównie entomologicznym.

Pod koniec lat 80. XIX w. wrośli w Afrykę na dobre. Było z tym zresztą trochę politycznego zamieszania, bo wódz zaprzyjaźnionego plemienia Makololów prosił ich o dostarczenie broni palnej, co w myśl portugalskiego prawa kolonialnego było nielegalne. Interweniował w tej kwestii sam Serpa Pinto, zresztą w bardzo kolonialnym stylu – którejś nocy Factoria Dos Polacos spłonęła w tajemniczych okolicznościach, podpalona przez

nieznanych sprawców. Stebleckiemu i innym nic się nie stało. Spłonęły jednak zarówno towary, jak i zbiory przyrodnicze, a przy okazji spora część założonej przez nich plantacji bananów.

Państwo Stebleckiego

Po tym wydarzeniu drogi Polaków zapewne się rozeszły. Nie znamy szczegółów, ale starszy z braci Stebleckich Kazimierz ruszył z Pisulińskim gdzieś w okolice jeziora Niasa. Stanisław zaś, wykorzystując znajomości wśród plemion, a także całkiem pokazy już majątek, zaczął wykupywać bezludną przeważnie ziemię w okolicach Blantyre. W szczytowym momencie posiadał na własność ok. 500 km kw. Afryki, na której z dużym podobno powodzeniem uprawiał kawę. Być może ten właśnie fakt posłużył za pozwykę legendy o planach założenia tu drugiej Polski? W późniejszych wspomnieniach Pisuliński istotnie coś takiego sugeruje, choć nawet on mówi po prostu o jakimś niepodległym bycie politycznym, a nie o Rzeczypospolitej. Prawda wygląda zapewne tak, że Steblecki, stając się zamożnym plantatorem, umiejętnie rozgrywał napięte stosunki między Wielką Brytanią i Portugalią, nie uznając formalnie protektoratu żadnej ze stron. I zapewne czerpiąc z tego faktu niemałe profity.

W każdym razie nie miał problemu z tym, aby jego „państwo” zamieszkiwali Afrykanie, a nie tylko Polacy, skoro związał się z jedną z ciemnoskórych piękności i doczekał się z nią potomstwa. Nie pocieszył się nim jednak długo. W 1896 r. zmarł na malarię. Co ciekawe, dokładnie w tym samym roku na malarię zmarł jego brat i dokładnie wówczas pod kołami omnibusu poniósł śmierć Szolc-Rogosiński. Jako jedyny do Polski wrócił Pisuliński, przywożąc do Krakowa około tysiąca spreparowanych owadów, a także wiedzę o tej niesamowitej awanturze, która w dwudziestolecie międzywojennym kilka tysięcy kilometrów na północ stała się, jak widać, legendą. Dziś zupełnie zapomniana.

Wojciech Lada

Emerytura w pustyni i w puszczy

Waga był jednym z tych ukrytych nieco w cieniu erudytów, bez których nauka polska w XIX w. nie ruszyłaby z miejsca. Obchodził carskie zakazy, nielegalnie zdobywał starodruki.

Robił tak wiele w Polsce, że nie wiadomo, kiedy znalazł czas na kilka wypraw badawczych do Afryki



Miał wiele imion: Antoni, Stanisław, Florian, co czasem wywołuje zamęt. Z pewnością w każdym razie urodził się w 1799 r. pod Łomżą, a za największe dokonanie jego życia uważa się odkrycie mechowatki z rodziny skoczogów na warszawskich Bielanach oraz dżdżownicy w Ojcowie.

Był przyrodnikiem, zoologiem, ale też bibliofilem, muzealnikiem, a przy okazji cenionym nauczycielem w kilku warszawskich szkołach (uczył m.in. Cypriana Kamila Norwida), przede wszystkim zaś naukowcem, który robił wszystko, by choćby nielegalnie zintegrować polskie środowiska badawcze. Organizował spotkania, wyprawy terenowe, skupiał w kręgu redakcji „Biblioteki Warszawskiej” najtęższe umysły spośród ówczesnych naturalistów. Ale było mu tego najwyraźniej za mało. Pewnego dnia, mniej więcej w roku swoich 60. urodzin, wpadł na pomysł wzięcia udziału w wyprawie do Afryki. Z jednej podróży zrobiło się kilka i wypełniły one blisko 25 kolejnych lat jego życia.

Tułaczką zaczyna się w Egipcie

Być może nie doszłoby do nich, gdyby nie Aleksander Branicki, który właśnie wtedy postanowił porzucić działalność polityczną, by zająć się podróżowaniem i kolekcjonerstwem. Był człowiekiem światłym, należał do kręgu „Biblioteki Warszawskiej” – z Wagą znali się więc z pewnością. Od słowa do słowa, kiedy

Warszawa powoli nabrzmiewała przedpowstańczą atmosferą, a cały kraj ogarniała już wówczas podziemna administracja, w 1862 r. Waga i Branicki ruszyli w pierwszą ze swoich wypraw. Dokładnie wtedy gdy trwały powstańcze walki, badacze eksplorowali zakamarki Egiptu, Nubii oraz Sudanu.

Interesowali się właściwie wszystkim: towarzyszący im ornitolog Władysław Taczanowski badał lokalną awifaunę, Wagę interesowały głównie owady, ale niekoniecznie żywe – z równą pasją badał skamieliny, wszyscy zaś podzielali zainteresowanie Branickiego starożytnością, również ludami nomadycznymi.

Wyprawa teoretycznie zakończyła się po dwóch latach tułaczką po piaskach wschodniej Afryki, ale dla Wagi tak naprawdę trwała niemal do końca życia. W Polsce raczej bywał, niż był, bo związany z Branickimi, opiekował się m.in. ich kolekcjami przyrodniczymi zgromadzonymi w Paryżu i Montresor nad Loarą, co dało mu doskonałą okazję do nieustannych wojaży po południowo-zachodniej Europie. Afryka jednak nęciła. Po raz kolejny Waga trafił tam już w 1866 r. – tym razem jego celem był Sudan, w którym zabawił przez rok, znów przywożąc Branickim wiele niezwykle cennych okazów do kolekcji.

W starożytnej Numidii

Z biegiem lat ten niepozornie wyglądający mężczyzna zdawał się tylko nabierać energii. Kiedy wrócił z Sudanu, liczył sobie 68 lat, ale nie zamierzał przecho-

dzić na emeryturę. Wykorzystując przerwę w podróżach, wtedy właśnie zajął się publikowaniem swoich badań i – być może czując jakieś wyrzuty sumienia z powodu absencji w powstańczych szeregach – prowadził prywatne powstanie: wbrew zakazom zaborcy, na wpół nielegalnie, organizując polskie życie naukowe. Kiedy jednak nadarzyła się okazja, bez namysłu znów ruszył na Czarny Ląd, choć wówczas miał już 84 lata.

Tym razem trasa wiodła przez Półwysep Iberyjski do Algierii i daleko w głąb tego kraju. Początkowo dotarli do jeziora Fetzara, następnie przez Guelmę znaleźli się w Konstantynie – stolicy starożytnej Numidii, której uliczkami jakieś 1,5 tys. lat wcześniej przechadzał się m.in. św. Augustyn. Ich interesowała jednak bardziej przyroda niż historia Ojców Kościoła, szybko więc porzucili malownicze miasto i przecinając Wyżynę Szottów, dotarli do oazy Biskira, która była ich celem.

Wędrowka zajęła im około roku, co zważywszy na wiek Wagi, było osiągnięciem wybitnym. Po powrocie osiadł już w Warszawie, gdzie zajął się opisywaniem zebranych zbiorów, kolekcją starodruków, ale zdążył też wspólnie z bratem Jakubem opracować wykaz polskich nazw roślin, umieszczony w dziele Jakuba „Flora polska” i używany do dziś. Waga dożył prawdziwie sędziwego wieku. Zmarł, mając 91 lat, w 1890 r.

Wojciech Lada



ULTURY

Naturalna, w każdej roli wiarygodna, bardzo kobieca. Tak o Kate Winslet mówią nie tylko jej fani. Do historii kina i popkultury przeszła rolę w „Titanicu”. Od 19 kwietnia jako policjantka Mare z Easttown będzie tropić zbrodnie i ślady przeszłości

Po prostu Kate

Fot. HBO



Fot. HBO

JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W małym miasteczku w Pensylwanii dochodzi do brutalnego morderstwa. Policjantka Sheehan rozpoczyna śledztwo, które na nowo określi relacje w żytej z sobą społeczności.

W nowym serialu HBO Winslet występuje w podwójnej roli – tytułowej Mare z Easttown oraz producentki. Jej postaci nie dopełnia ani wyszukana scenografia, ani historyczny kostium, ale też aktorka nieraz udawała, że nie strój definiuje tworzone przez nią postaci. Chociaż... gdy może sięgnąć po ten dodatkowy atut, potrafi świetnie go „ograć”.

Jak w najbardziej rozpoznawalnej scenie z jej udziałem, gdy w roku 1997 na ekrany kin triumfalnie wpłynął „Titanic”. 22-letnia Kate stanęła wtedy na dziobie wielkiego statku, by przy wtórze piosenki Céline Dion „My Heart Will Go On” zapisać się w historii kina i popkultury.

SIÓDEMKĄ DO OSCARA

Dwa lata wcześniej, jako niepoprawnie romantyczna panna Dashwood z adaptacji powieści Jane Austen, wywalczyła swoje pierwsze nominacje do Oscara i Złotego Globu. W sumie o statuetkę złotego rycerza rywalizowała siedmiokrotnie. Także przy okazji filmów: „Titanic”, „Iris” (2002), „Zakochany bez pamięci” (2005), „Małe dzieci” (2007), „Lektor” (2009) i „Steve Jobs” (2016).

Gdy miała już na koncie m.in. poruszającą biografię irlandzkiej pisarki Iris Murdoch i pięknie opowiedzianą (z Jimem Carreym) historię dwójki outsiderów, została pierwszą osobą poniżej 30. roku

życia, która otrzymała cztery nominacje do Oscara. W 2009 r. – kiedy brawurowo zagrana bohaterka, uwikłana w skandalizujący romans i nazistowską historię, przyniosła jej Oscara – pobiła kolejny „rekord”. Jako pierwsza w historii Złotego Globu podczas jednej gali odebrała dwie statuetki – za drugi plan w „Lektorze” i główną rolę w „Drodze do szczęścia”.

Dla filmu wyreżyserowanego przez jej ówczesnego męża Sama Mendesa zrezygnowała początkowo z udziału w „Lektorze”. Na planie, po 11 latach, spotkała się z Leonardem DiCaprio. Zagrali współczesne małżeństwo w kryzysie. Od – wciąż – najlepszego przyjaciela otrzymała wtedy obrączkę z grawerunkiem, który nadal pozostaje tajemnicą.

ŻYCIOWY BALANS

Winslet podkreśla, że miała szczęście do kolegów na planie, a widzowie potwierdzają, że pięknie umiała z nimi współpracować i rozkwitała obok nich. Niezależnie od czasów i roli, w jakie wpisywały ją filmy.

Za każdym razem wierzyło się jej bohaterkom. Także tej zagranej u boku Johnny’ego Deppa w kostiumowym „Marzycielu” i dziewczynie ze świątecznego filmu „Holiday” (2006), tytułowej „Projektantce” (2015) czy samotnej matce z miniserialu „Mildred Pierce”, za który w 2012 r. odebrała Złoty Glob oraz nagrodę Emmy.

– Dzięki Bogu, miałam wtedy dużo pracy. To mnie uratowało – komentowała stan, w jakim znalazła się w 2011 r. po rozwodzie z Mendesem.

Również w tamtym nielatwym czasie Kate Winslet pokazała, że umie zachować życiowy balans, nie poddaje się przeciwnościom i wyciąga wnioski z kryzysów.

„Szlifowała” te umiejętności od dzieciństwa. Gdy słyszała od rówieśników, że jest za gruba i gdy musiała odejść ze szkoły dla uzdolnionych aktorów, bo rodziców (aktorów, którzy – by utrzymać czwórkę dzieci – zrezygnowali ze swojej pasji) nie było stać na chesne. Z domu wyniosła szacunek do pracy i umiejętność radzenia sobie w codziennym życiu.

Przed kamerami zadebiutowała w reklamie płatków śniadaniowych. Gdy miała 11 lat, zaczęła grać w brytyjskich produkcjach telewizyjnych.

MIŁOŚĆ I ROSOŁ

Kiedy – w kolejnych trzech małżeństwach – pojawiały się dzieci (dziś 20-letnia Mia oraz 17-letni Joe i 7-letni Bear), „nie podrzucała ich niańkom”. Wciąż dba o bliski kontakt z nimi. Od kilku lat mieszka z rodziną w XVII-wiecznej angielskiej posiadłości. Zrezygnowała z zatrudnienia kucharza czy kierowcy. – Chcę, aby dzieci pamiętały mój rosół, drugie śniadanie przygotowane przeze mnie do szkoły i wspólnie spędzony czas – mówi. Trzeciego męża poznała, gdy podczas wakacji na prywatnej karaibskiej wyspie... z płonącej rezydencji wyprowadziła jego 90-letnią babcię (matkę brytyjskiego miliardera Richarda Bransona). Pobrali się w 2012 r. (do ołtarza poprowadził ją DiCaprio).

– Im jestem starsza, tym skuteczniej pozbywam się wszystkich bzdurnych wyobrażeń i trywialnych problemów, którymi większość z nas zaprząta sobie głowę, kiedy jesteśmy młodszy – mówiła przy okazji ubiegłorocznych 45. urodzin. – Po czterdziestce jesteś tak wdzięczna za zdrowie i wszystko to, co masz – świetnego męża i cudowne dzieci – że nic już nie może tego przysłonić. Żadne głupoty.

U starych znajomych z „Leśniczówki”

Lubię „Leśniczówkę”, pokazywaną po „Wiadomościach” telenowelę TVP, która doczekała się już 376. odcinka. Ma wszystkie wady tego gatunku – wlecze się chwilami niemiłosiernie, a pojedyncza mina każdego z bohaterów może się doczekać ostatecznej pointy dopiero za kilka dni. Jest uroczo wielowątkowa, ale właśnie z tego powodu żadna z historii nie może być nadmiernie oryginalna, bo nie da się wymyślić tylu odkrywczych opowieści jednocześnie. Zresztą widzowie nie mogą być przytłoczeni zdarzeniami. Powinni za to móc włączyć się po 10 odcinkach absencji i wszystko mniej więcej nadal rozumieć.

Tak było z „Klanem” czy z „M jak miłość”, tak jest i tu. Tyle że oglądamy już nawet nie zwykłą prowincję, ale leśne ostępy (choć czasem i miasto). Nawet sekwencje kryminalne – rodzina Karczów zarabia na narkotykowych transakcjach, toczą się policyjne dochodzenia, ba, jakieś 100 odcinków temu doszło do krwawej strzelaniny – tylko chwilowo wyrwywają nas z błęgiego spokoju. Przeważa przekonanie, że jak wrócimy do starych znajomych, nie zafunduje się nam nadmiernych wstrząsów.

A dlaczego lubię? Z powodu aktorów przede wszystkim. Rozliczne seriale zaludniają masy postaci, które zapomina się momentalnie. A tu? Arkadiusz Janiczek, Anna Seniuk, Henryk Talar, Przemysław Bluszczyński, Maria Pakulnis, Milena Suszyńska, Zbigniew Lesień, Arkadiusz Gołębiewski, Przemysław Stippa, Marek Bukowski, Rafał Szalajko, Robert Czebotar... Wystarczy? Niby to zwykłe, solidne rzemiosło, a jednak kiedy wprowadzono do akcji Małgorzatę Niemirską, to banal wątku matki odnajdującej po latach córkę, nabrał wymiaru prawdziwego dramatu. Wystarczy sama obecność aktorki, jej kilka słów. A scenariuszowo niewymyślne przygody Janiczka i Szalajki, jako dwóch specyficznych facetów, odrobinę nieudacznym, szukających wytchnienia poza domem?

Co by było, gdyby to zagrał ktoś inny? Ktoś, u kogo vis comica jest mniejsza.

Tabun scenarzystów i reżyserów, i czuwający nad wszystkim Piotr Mikołajczak, producent, zdołali wykreować własny świat – z wiecznie odwiedzanymi przez bohaterów i widzów miejscami, z restauracją Borowik, gdzie podaje się pulpety z jelenia, z małym posterunkiem policji i willą Karczów, gdzie senior rodu – Talar – przeżywa dziwaczne, starcze niepokoje. Nie mamy tu ideologicznych kontrowersji, mamy ludzkie historie, trochę zawieszane poza czasem. Dużo to czy mało? Nie wiem, niby raz po raz szeleści papier, czuję, że gdzieś to już widzieliśmy. I... jednak wracam. Zaglądam, by sprawdzić, co u nich słychać.

„Leśniczówka” ma jednak od roku inny wymiar. Zawieszenie „poza czasem” znaczy też coś innego. W „Klanie”, który ma ambicję dziania się tego dnia, kiedy oglądamy dany odcinek, rodzina Lubiczów zaczęła nosić maseczki i wspominać o pandemii. To jeden z nielicznych takich tasiemców reagujących na rzeczywistość. „Leśniczówka” jest za to jak na razie



na covidą odporna. On tam jeszcze nie trafił. W efekcie zaczęliśmy nagle oglądać przygody bohaterów jako kolorową bajkę z dawnych czasów.

Zerkam czasem pod tym kątem i na inne seriale. I zadaję sobie pytanie, czy ktoś to badał? Czy widzowie wolą bajkę „sprzed”? Bo daje wytchnienie w świecie doświadczonym i zmienionym przez pandemię. Czy prze-

ciwnie chcieliby zobaczyć własne, nieraz ponure przeżycia, lęki, nadzieje? Chętnie bym się dowiedział.

W każdym razie wyniki „Leśniczówki” są wciąż dobre. 

Piotr Zaremba

Dziennik czasu zarazy

Uwijamy się jak w ukropie. Dosłownie. Gdy wczoraj pod koniec zmiany schyliłem głowę, woda zalala mi oczy. Poprosiłem ratownika, żeby przeczytał godzinę wyświetloną na ekranie monitora.

Chodzi się szybko. Lepiej nie biegać, bo mokre stopy ślizgają się w crocsach otoczonych trzema workami. Gdy dwie mrówki się spotkają, stają naprzeciwko, żeby móc się rozpoznać i znaleźć szukanego towarzysza. „Żołnierz?”, „Ratownik?”, „Czy któryś z was to lekarz?” – często nie zna się ich ani z nazwiska, ani z twarzy, a jedynie z koloru pasków kombinezonu.

Lekarze – w tym sporo tych, którzy weszliśmy roku skończyli studia – pracują po 15 godzin. Pielęgniarki szukają żył, patrząc na doły łokciowe starszych pacjentów przez zaporowane gogle i przyłbice.

W strefie brudnej można przebywać trzy godziny. Po tym czasie człowiek staje się zmęczony, spada koncentracja, ostrożność, wzrasta się prawdopodobieństwo popełnienia błędu. Potem trzeba się jeszcze ostrożnie rozebrać, w odpowiedniej kolejności rozrywając srebrne taśmy, ściągając dwie maseczki i cztery pary rękawiczek.

Starsi pacjenci mają telefony, ale często w stresie nie są w stanie wybrać numeru do rodziny lub podłączyć komórki do ładowarki. Płaczą z samotności. Rodzina płacze, bo bliski nie dzwoni ze szpitala, a rano media podały gigantyczne statystyki zgonów.

Pacjent, 40-latek, opowiada, że gdy kładł się spać, pani obok spokojnie oddychała. Gdy obudził się o piątej rano, była zabierana w worku.

Leżysz na dużej sali z ponad 200 osobami chorymi na to samo, co ty. Każdy w innym stanie, oddzieleni od siebie zasłonkami i ścianami z dykty. Patrzysz, jak dwa metry od ciebie ktoś umiera na chorobę, którą także ty masz. Kontakt

z osobą zakażoną miałem 15 marca, chwila dekoncentracji, niedopilnowania jakiegoś środka bezpieczeństwa i doszło do transmisji. Po trzech dobach dostałem gorączki 40 stopni. Po tygodniu, wieczorem, zaczęło się! Powietrza! Powietrza! Powietrza! To była jedyna myśl, jaka przychodziła mi do głowy, gdy zaczęły się pierwsze duszności. Saturacja 85 proc. – utrzymanie jej na tym poziomie powyżej 30 minut może spowodować nieodwracalne uszkodzenie płuc. Pogotowie, morfina, tlen, kroplówka, test PCR, EKG, tomografia klatki piersiowej.

Spałem dziewięć dni. Pompowano we mnie 15 litrów tlenu na godzinę (normalny człowiek potrzebuje poniżej litra, a rekordziści dostają nawet 60). Całą dobę obsługa pilnowała, żebym miał na sobie maseczkę i aparaturę pomiarową. Po 10 dniach zaczęto wyłączać mi na krótko tlen. Pierwsze, 20-metrowe spacerki bez butli – wysiłek większy niż przebiegnięcie maratonu. Wreszcie wyłączono mi tlen i zostałem wypisany!

Czuję się po tych trzech tygodniach, jakby mnie walec rozjechał. Schudłem sześć kilogramów. Jestem zmęczony, mam problemy z oddychaniem i wydolność 80–90-latka. Na szczęście choroba zajęła tylko 17 proc. płuc, więc nie jest najgorzej, ale będzie to wszystko trwało jeszcze kilka miesięcy.

Co widziałem: siódma rano, pracownik na wejściu dostaje zielony strój medyczny od żołnierza na warcie. Idzie do szatni, pod prysznic i do komory – dekontaminacja trwa 40 minut. Zakłada folię, maseczkę, gogle. Wchodząc na oddział, widzi kartkę z napisem „Następna ubikacja za 3,5 godziny”. Tyle trwa szyciła nr 1, podczas której nie może iść do ubikacji, napić się wody ani zjeść, bo nawet na sekundę nie wolno zdjąć kombinezonu. Przez ten czas ma kontrolować pacjentów, podnieść ich, niekiedy



ROBERT TEKIELI

umyć dupsko, wymienić pościel, wsadzić na wózek i zawieźć do ubikacji – fizyczna robota w worku foliowym. Po trzech godzinach trzy godziny przerwy na zaplecze. Mogą zdjąć kombinezon, zjeść, pospać. Potem na kolejne trzy godziny na oddział – i tak pełną dobę! Później 12 godzin przerwy poza stadionem. I znów do kieratu. Przy takim trybie i wysiłku ci ludzie są mili, uprzejmi i fachowi. Znoszą wszystkie fochy pacjentów, a wiadomo, że ludzie bywają różni.

Któregoś dnia pojawił się pan Zygmunt. Chodził, zaczął pielęgnować. Godzinę później złożył się jak domek z kart. Zaczął się dusić, padł i było słabo. Pojawił się respirator, ratowano go dwie godziny. Wszyscy siedzieliśmy z rozdzielonymi ustami i jedną myślą: „Jak to? Przecież on przed chwilą chodził, gadał i dokazywał!?! Kur...! A jak ja będę następny?”. Rano trafił na oddział intensywnej terapii, jego los jest mi nieznany.

Pan Ryszard leżał obok mojego sąsiada, podłączony do kilku urządzeń, owinięty zwojami przewodów. Wybudził się co jakiś czas i próbował zdjąć jakąś skomplikowaną wersję maski do oddychania. Oczywiście personel go powstrzymywał. Dbano o niego i wszystko wskazywało na to, że mu się polepsza – niestety po kilku dniach zmarł.

Złożyłem powyższe z dwóch internetowych świadectw. Dla niektórych to tylko propagandowe bajeczki. Zdecydujcie sami.



Niewarte 5 kwietnia odbyła się premiera filmu dokumentalnego „*Kto zrobił Britney Spears*”. Rzecz opowiada o byłej gwiazdce muzyki pop, która kilkanaście lat temu przeżyła poważne załamanie nerwowe. W jego efekcie rozwinęły się u niej kolejne zaburzenia psychiczne, co zaowocowało ubezwłasnowolnieniem wokalistki i przejściem nad nią opieki przez ojca i prawnika. Dziś Britney działa, nagrywa, koncertuje, okazjonalnie udziela wywiadów, jednak film, poczynając od tytułu, powiela insynuacje anonimowego prawnika podjęte swego czasu przez fanów, którzy stworzyli nawet ruch #freeBritney. Otóż artystka ma być ofiarą spisku, za którym stoi jej lasy na pieniądze ojciec. Jakże są fakty? Film trudno nazwać dokumentalnym, ponieważ składa się w większości z wypowiedzi redaktorów „New York Timesa”, którego wydawca ten „dokument” wyprodukował. Nie wypowiada się w nim nikt z najbliższego otoczenia Spears – ani członkowie rodziny, ani były mąż, ani obecny partner czy jej współpracownicy. Dziś wiemy na pewno tylko tyle, że wokalistkę zniszczył show-biznes, który wcześniej wniósł ją na szczyty popularności. Depresja, samotność, nalogi narkotykowe – taki jest los setek celebrytów. A często i samobójstwo.

Osobiście nie mam pojęcia, czy 14-letnie ubezwłasnowolnienie czterdziestolatki jest słuszne, wiem, że żerujący na nie-szczęściu właściciele i redaktorzy kiedyś szacownego czasopisma, są żenujący.



Warte Netflix wrzucił właśnie starego dobrego „*Shreka*”, i to wszystkie części. Pierwsza jest dziś ósmą najchętniej oglądaną produkcją na Netflixie w Polsce. Platforma streamingowa opublikowała również świetną familijną bajkę „*Sekretne życie zwierzątek domowych 2*”. Pierwsza część zarobiła dla Studia Illumination 875 mln dol., więc pojawienie się dwójki było oczywiste. Jest to bardzo prosta rozrywka. Film opowiada o codziennym życiu zwierząt domowych, o tym, co robią, gdy ich właściciele zostawiają je w domu. Ta świetna komedia dla całej rodziny, uczy i bawi. Dziś w ranking oglądalności platformy w Polsce zajmuje 6. miejsce.

Niewarte Być może największe rozczarowanie filmowe tego roku: „*Wonder Woman 1984*”, „*Porażka*”, „*lepiej, żeby się ten film nie ukazał*”, „*katastrofa*” – ton większości recenzji jest niestety zasłużony. Tym bardziej że pierwsza część dyptyku – „*Wonder Woman*” z 2017 r. – była świetna, zaskakująca i świeża fabularnie, o ile jest to w ogóle możliwe w fabule opowiadającej o superbohaterce komiksów. Film był bardzo dobrze zrobiony i niósł pozytywne przesłanie: ważne jest poświęcenie, miłość, dobro. Druga część nudzi już po 20 min i nic dziwnego, że jest również porażką finansową. Kosztowała 200 mln dol., zarobiła 166. Fabuła jest rozwlekła i niespójna, efekty specjalne i sceny walki nieciekawe, bajkowe rozwiązania obce komiksowi. W efekcie: kiczowaty film dla dzieciaków, filmowy potworek, najgorsza adaptacja komiksu w historii. „*Wonder Woman 1984*” miała premierę na HBO GO na początku kwietnia.

Takie sobie Na Netflixie można zobaczyć nową polską komedię romantyczną pt. „*Miłość do kwadratu*”. Nie jest ani fenomenalna, ani zła. Ci, co ją obejrzą, wiele nie zyskają, a ci, którzy jej nie obejrzą, nic nie tracą. Jest urocza, słodka, typowa. Jedynym powodem, dla którego o niej piszę, jest fakt, że film pokochali Amerykanie. Netflix opublikował ostatnio listę najpopularniejszych w USA filmów nieanglojęzycznych i „*Miłość do kwadratu*” na niej się znalazła.



Zobaczymy Powstaje film o księciu Harrym i pani de domo Markle pt. „*Harry & Meghan: Escaping the Palace*”. Jest on pokłosiem głośnego i odrobinę obrzydliwego wywiadu, którego para udzieliła Oprah Winfrey. Sprytna Meghan i jej ciapowaty mąż zarobili na nim kilkanaście milionów dolarów. Nasza urocza bohaterka rodem z magla opowiadała w nim niestworzone farmazony, np. o tym, że nie wiedziała, na czym polegają obowiązki członków najbardziej medialnej rodziny globu. Premiera filmu ma się odbyć w tym roku.

Robert Tekieli
Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Kisiel na ostro

Stefan Kisielewski okazuje się po raz kolejny mistrzem ciężkiego, gorzkiego, czasem ocierającego się o cynizm realizmu politycznego, dla którego punktem wyjścia jest doświadczenie klęski i osamotnienia

D oczekaliśmy czasów, w których młodzi lewicowcy nie demaskują już oponentów, jak drzewiej bywało, jako tradycjonalistów czy faszystów. Epitetem o wadze kamienia nagrobnego stał się dziś dziaders, a posiadanie wąsów jest niemal równie niebezpieczne, jak brak odcisków na dłoniach w Piotrogradzie w roku 1919. Jasne, przerysowuję sytuację, by przywołać pisarza, który deklarował się jako reakcjonista, a pod nosem od matury po starość nosił już wówczas staroświecki, zatabaczony wąsik. Kim okrzyknęliby dzisiejsi 20-latkowie Stefana Kisielewskiego: naddziadersem? Pradziadersem? I czy w ogóle byłoby w stanie podjąć z nim rozmowę?

Skoro pisarze trafiają po śmierci do „czyścica pamięci”, co powiedzieć o losach publicystów politycznych? Kisiel, uwielbiany przez co najmniej trzy dekady, zaskakujący stanowczością przemyśleń oraz odejściem z redakcji i łamów „Tygodnika Powszechnego” pod koniec lat 80., w III RP stał się raczej wspominanym rytualnie nazwiskiem niż zaczynem żywej refleksji. Absurdy gospodarki realnego socjalizmu, które wypunktowywał, w większości trafiły do lamusa i rozmaitych muzeów PRL. Entuzjaści wolnego rynku doczekali się bardziej radykalnych autorytetów. Rozpad ZSRS wzdłuż szwów narodowościowych, w który przez lata powątpiewał, stał się faktem. Oczywiście ukazywały się wznowienia powieści i felietonów Stefana Kisielewskiego, w szufladach odnaleziono kilka niedokończonych rękopisów, jednak jego spuścizna była po raz ostatni przedmiotem ożywionej dyskusji w połowie lat 90., gdy ukazały się drukiem jego „Dzienniki”, obfitujące w plotki i niedyskrecje, ale też zdaniem wielu zbyt weredyczne, ukazujące jeszcze wyraźniej chmurną twarz Kisiela mizantropa, Kisiela sceptyka, dystansującego się od idealistów z redakcji „Tygodnika” wiele lat przed zerwaniem w roku 1989.

Tę rozmowę będzie można dziś podjąć dzięki dwóm kisielianom. Pierwsze to kolejny tom z renomowanej serii „Archiwum Kultury”, tym razem przynoszącej korespondencję współpracownika, autora i korespondenta „Kultury” z jej naczelnym. Oczywiście, komu bliski jest tamten gwiazdozbiór i esprit, z radością śledzić będzie zwischenruffy



Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski, „Listy 1946–1991”, opracowanie Łukasz Garbał, Więź, 2020 (seria „Archiwum Kultury”)

Stefan Kisielewski, „Reakcjonista. Autobiografia intelektualna”, wybór i opracowanie Małgorzata Sopyło, Ośrodek Karta, 2021 (seria „Świadełwa XX Wiek”)

Giedroycia i impertynencje Kisiela, losy przemycanych rękopisów i honorariów, wysyłanych na Zachód płyt, a na Wschód, szczególnie w głodnych latach 50., po zamknięciu redakcji „Tygodnika” – kuponów wełny i butów dla dzieci Kisielewskiego.

Jest to jednak korespondencja wyjątkowa na tle kolejnych tomów listów Giedroycia, nie tylko ze względu na ewolucję relacji (nawiązywanie stosunków w tużpowojennych latach, bezwarunkowa pomoc dla Kisiela w apogeum stalinizmu, wzajemne polajanki w połowie lat 50., w miarę harmonijna współpraca w czasach Gomułki, serdeczne więzi za Gierka i rozchodzenie się dróg w latach 80.), ale i dystans, od początku obecny między Kisiellem a Redaktorem. To aż zdumiewające: obaj szczyli się swoim realizmem politycznym (i rzeczywiście mieli go pod dostatkiem!), zarazem postrzegając rzeczywistość zupełnie inaczej. Z listów wyłania się Kisiel czupurny, czasem zacietrzewiony, upierający się przy

(prze)wadze oglądu spraw „znad Wisły”, powątpiewający w dobrą wolę Zachodu.

Miał kilku swoich ulubionych myślicieli, ale nie był typem konserwatywnego intelektualisty, z upodobaniem cytującego anglosaskich autorów. Nie formułował doktryny, nie odwoływał się zbyt często do Aleksandra Wielopolskiego, stańczyków czy wczesnego Romana Dmowskiego – ale te listy czytane z perspektywy kilkudziesięciu lat bardzo wyraźnie wpisują się w nurt ciężkiego, gorzkiego, czasem ocierającego się o cynizm realizmu politycznego, myślenia, dla którego punktem wyjścia jest doświadczenie klęski, osamotnienia, potrzeba ratowania „substancji” raczej niż „literary”.

Listy, zwłaszcza kiedy koresponduje się z Giedroyciem, są jednak zawsze rodzajem efektownego pojedynku inkrustowanego smaczkami sytuacyjnymi: co u Micewskiego, co u Herberta, czy honorarium za „Cienie w pieczarze” przewiezie Pianista czy Krysia? Znacznie bardziej szczegółowy i systematyczny obraz Kisielowego rozumienia świata przynosi kolejna świetna pozycja „Karty”.

Autorzy tego środowiska przyzwyczaili nas już do świetnych polifonicznych kolaży, tworzonych z kilkudziesięciu przywoływanych źródeł historycznych: tak komponowane obrazy lat I wojny światowej, wojny 1920 r. czy stulecia 1918–2018, wydawane w ostatnich latach przez „Kartę” nie mają sobie równych, jeśli chodzi o uchwycenie wielości perspektyw, różnorodności kątów widzenia. Małgorzata Sopyło zastosowała jednak tę metodę do rekonstrukcji zmieniającego się spojrzenia na świat jednej osoby – i efekt okazał się fenomenalny. Stefan Kisielewski mówi poprzez swoje młodzieńcze listy i pamiętniki, rękopisy, powieści i artykuły, a także wystąpienia poselskie, wywiady, polemiki na zebraniach ZLP, ba! – wypowiedzi towarzyskie spisywane przez esbeków w ortalionach. Spis wykorzystanych źródeł liczy bez mała 300 pozycji, a obraz „człowieka myślącego”, jaki się z nich wyłania, jest gęstszy niż wszystkie efektowne portreciki Kisielewskiego szkicowane przez Tyrmanda, Hertza, Terleckiego, Urbanka, niż autokarykatury, które on sam kreślił w swoich felietonach: to rembrandtowski portret, z twarzą w światłocieniu i zmarszczkach. 

Beata Cracovia

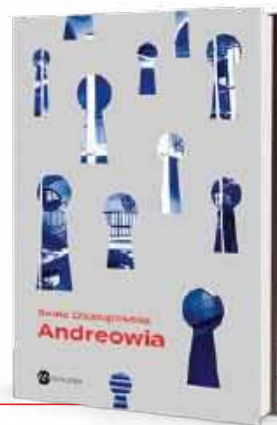
Czasami wydaje mi się, że najczęściej niedźwiedzią przysługę wyrządzają autorom działu promocji, pisząc blurby na okładkę. „Rozpisana na głosy HERstoria”? Ratunku. Pomijając już prawackie alergie na nowomodne wymyślanse i angielskie kalambury, które po polsku brzmią głucho, po pierwszym tuzinie książek o Polskich Bohaterkach i fabuł o spełnionych samotnych matkach przechodzi ochota na kolejne.

Tyle że „Andreowia” niewiele ma wspólnego z podobnymi owocami wzmoczenia ideowego, będąc po prostu świetną, choć cierpką i mocno mizantropiczną w tonie powieścią (wydaje się zresztą, jakby ta mizantropia z pierwszych rozdziałów słabła niczym wielkanocny chrzan, dopuszczając żal i czułość). Przebóg, o stadłach, w których rządzą kobiety, holujące za sobą przez życie nieporadnego samczyka niczym dorodna żabnica, pisywano przez stulecia...

I nie przypadkiem to mieszczańska Galicja oferuje najbardziej obiecujące podglebie – istny humus parantel, parcel, komeraży i spadków! – dla wszelkiego rodzaju satyr i grotesek skupiających się na dziejach rodzin, za-

ležnościach towarzyskich, kontrastach między państwem a służbą. A już najbardziej – szczęśliwy Kraków. Mniejsza już o lwowską Zapolską, ma przecież beata Cracovia swojego Bałuckiego, Kisielewskiego (Jana Augusta), Boya czy Zygmunta Nowakowskiego, którego autorka lojalnie przywołuje w nocy końcowej. Chomątowska sięga jednak dalej i czerpie od innych pisarzy żyjących w cieniu cesarstwa. Widać w tej powieści błyski desperackiego humoru Fritza von Herzmanowsky’ego, hebefrenii Lema. Ale nie ma w niej środkowoeuropejskich rozczuleń – bywa gniewna, wręcz okrutna w przyszpilaniu drobnych ludzkich małości, niczym Nabokow mniej znany, Nabokow bez uśmiechu, zmieniający prozę w wiwelsekcyjną deskę.

„Andreowia” jest jednak o ton lżejsza. Smakuje jak dżin z tonikiem, pisana z musującą i ciętą radością konstruowania fabuły i wbijania na głowy historycznych bohaterów ostantacyjnie niepasujących peruk. Owszem, jest to kronika rodu, dzieje czterech pokoleń nie tyle jednak płyną z biegiem lat, z biegiem dni, ile migają, rzekłbyś, w rytmie tenisowych piłek, jakby Młodzikówna czy też protagonista tej prozy Wanda



Beata Chomątowska, „Andreowia”,
Wielka Litera, 2021

ćwiczyła serwis, waląc w zmurzałe mury. Ten dystans wobec wielkiej historii zaważył może na rozdziale poświęconym okupacji, jedynym szeleszczącym papierem – później jednak autorka oszczędza nam naftalinowych ploteczek z Domu Literatów na Krupniczej, na których upichcono już tuzin fabuł, i znów puszcza wodze fantazji. Świetny jest język tej książki, cieszą kalambury, niezaskakujące tych, którzy pamiętają tytuł debiutanckiej powieści Chomątowskiej, i nawet uszczypliwości, choć mocno nierówno rozdzielane, mają w sobie urodę ozdobnej szpili do opiekania kurcząt: bardzo jestem ciekaw recenzji „Andreowii” w „Arcanach”. 

*Alpaka Vicugna pacos,
południowoamerykański
parzystokopytny ssak
z rodziny wielbłądowatych,
jest zwierzęciem idealnie
odpowiadającym na brak,
który świadomie lub
podświadomie odczuwamy
– zapisanych w naszym
DNA pasterskich inklinacji*



Alpakoterapia



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przyjmijmy, że udomowiliśmy zwierzęta 10 tys. lat temu. Następnie dokonajmy małego doświadczenia z historią naszego własnego gatunku *Homo sapiens*. Zamieńmy te 10 tys. lat na 10 godzin. Jeżeli patrząc w tej skali, przyjmijmy, że do udomowienia doszło o godz. 8 (koniec paleolitu), to obecnie mamy godz. 18 (chwila obecna). Pod koniec tego okresu nastą-

pił moment, kiedy *Homo sapiens* porzucił pasterstwo rozumiane w tradycyjnym znaczeniu. Kiedy to nastąpiło? Dwa pokolenia wstecz, czyli w naszej umownej skali zaledwie sześć minut temu, o godz. 17.54.

Czy można więc się dziwić, że rozstanie ze zwierzętami spowodowało wyrwę, którą dotkliwie odczuwamy? Długa wspólna historia, w zasadzie cała

historia rodzaju ludzkiego była dziejami, w których obecność zwierząt była sprawą fundamentalną – zauważmy bowiem, że poza 10 tys. lat hodowli i pasterstwa mamy poprzedzające je dziesiątki tysięcy lat, kiedy nasi przodkowie byli łowcami, dla których najbardziej fascynujące były właśnie zwierzęta.

I nagle pustka. Łowców już nie ma, a pasterstwo zostało zastąpione przez masowe nowoczesne gospodarstwa. Proces hodowli odbywa się bez naszego zaangażowania. Stłoczone krowy obsługiwane są przez maszyny. Tymczasem w nas wciąż istnieje pasterskie DNA, nieznaające pola do realizacji.

WSZYSTKIE ZALETY ALPAKI

Alpaka to jeden z czterech południowoamerykańskich parzystonogich ssaków z rodziny wielobłądowatych, żyjących w Andach i okolicach podgórskich. Pozostałe trzy gatunki to lama, wikunia i gwanako. Wikunia i gwanako to zwierzęta dzikie, lama i alpaka to zwierzęta udomowione, pochodzące od tamtych dzikich.

Zwierzęta te od dawien dawna dostarczały wełny i służyły jako zwierzęta juczne – nie jako pociągowe, cywilizacje andyjskie nie znały bowiem koła, i nie jako dostarczyciele mleka, były to bowiem cywilizacje niewykorzystujące mleka zwierząt – co w naszej, opartej na mleku, serach, jogurtach czy kefirach, kulturze wydaje się zadziwiające.

Dlaczego alpaka? Lamy, drugie spośród udomowionych, są większe od alpaki, bywają także złośliwe: mogą opluć lub kopnąć. Alpaki są bardzo spokojne i nastawione przyjaźnie do ludzi, nie trzeba spodziewać się po nich agresji – nie bodną niespodzianie jak koza. Sympatyczność przebiega już z ich fizjonomii. Ich futro jest gęste, miękkie i sprężyste. Ponieważ jest ono pozbawione właściwej owcom lanoliny, nie wydziela silnej charakterystycznej woni, lecz delikatny miły zapach.

Alpaki są zwierzętami czystymi. Rosłinożerne, załatwiają się w wybranym do tego celu jednym miejscu swojego wybiegu. Dzięki wyjątkowej schludności niemal mogłyby być zwierzętami domowymi – zdarza się, że w ramach zajęć

spotykają się z ludźmi nie tylko na łąkach i pastwiskach, lecz odwiedzają pomieszczenia, chociażby biura zestresowanych pracowników korporacji i szpitale. Coto za zajęcia? Alpakoterapia.

Choć wszystkie alpaki mają charakter przyjazny, a przebywanie z nimi relaksuje, niektóre mają te cechy szczególnie rozwinięte, tak że można nazywać je terapeutami. Stąd rosnąca popularność miejsc, gdzie żyją szczęśliwe alpaki, z którymi można spędzić kilka godzin na niespiesznej przechadzce wśród pięknych krajobrazów. Standardowe zajęcia są proste i na prostocie zasadza się ich istota: najpierw karmi się alpaki na wybiegu, ciesząc się obecnością miękkowelych zwierząt. Później wraz z alpaką, niczym pasterz, rusza się przed siebie.

Ich futro jest gęste, miękkie i sprężyste. Ponieważ jest pozbawione właściwej owcom lanoliny, nie wydziela silnej charakterystycznej woni, lecz delikatny miły zapach

ZNOWU STAĆ SIĘ PASTERZEM

Wróćmy na chwilę do momentu, kiedy ludzie oddzielili się od zwierząt murem nowoczesności. Tysiące lat wspólnego nierozłącznego życia kontra dziesiątki zaledwie lat rozdzielania. Jest to pustka, którą staramy się zapelnąć posiadaniem zwierząt, chociaż nie są nam potrzebne do przetrwania, wyżywienia się i ubrania: mamy psy, koty, jeździmy na koniach, dokarmiamy ptaki. Brakuje nam obecności zwierząt. Kontakt z nimi, oprócz innych korzyści, które czerpaliliśmy, był zawsze wartością dodaną, której zostaliśmy pozbawieni.

Wyjątkową więź ze zwierzętami wytwarzało pasterstwo. Pasterz, poprzez poczucie odpowiedzialności, mocno wiązał się ze zwierzętami. Pozycja pasterza zawsze postrzegana była jako

szczególna – zwróćmy uwagę na teksty biblijne, a zwłaszcza zawartą w nich alegorię Jezusa – Dobrego Pasterza.

Kontakt z alpakami, zwierzętami stadnymi, pozwala przywołać w sobie wpisane głęboko w naszą psychikę poczucie bycia pasterzem.

KORZYŚCI Z TRZYMANIA ALPAK

Z natury rzeczy alpaki w ośrodkach czy też stadninach alpakoterapeutycznych są zwierzętami szczęśliwymi. Mają wygodne, przestronne zagrody, naturalne pożywienie, rozległe przestrzenie, dużo ruchu na świeżym powietrzu. Żyją tak, jak powinny żyć zwierzęta hodowane przez człowieka. Już samo patrzenie na stworzenia w takich warunkach budzi poczucie szczęścia i spokoju.

Naturalne gospodarstwo znakomicie wpisuje się w ekosystem, jednocześnie go wzbogacając. W budynkach gospodarczych zawsze znajdzie się miejsce dla jaskółek czy wróbli, pastwiska są żerowiskami trzodki, a na wypasanych łąkach mogą się rozwijać zanikające gdzie indziej zbiorowiska roślinne. Sprawdza się też tu jedna z podstawowych zasad gwarantujących skuteczność praktycznej ochrony przyrody. Zajęcia z alpakami są płatne, a chętnych jest wielu. I znakomicie – ponieważ sytuacją idealną jest, kiedy ludzie potrafią pogodzić swój sposób utrzymania z ochroną przyrody. Po prostu – warto chronić piękne przestrzenie, zachowywać ich różnorodność, kępy drzew i krzewów, podmokłości, oczka wodne i kwietne łąki, bo to przynosi dochody. Jest to sytuacja optymalna, do której powinno się dążyć – pokazać, że ochrona przyrody się opłaca, że potrafimy tak ułożyć swoje życie i zaplanować swoją działalność, by być w systemie przyrodniczym twórczym, pozytywnym elementem.

Odejśćmy zresztą od alpakoterapeutycznych neologizmów i snucia na papierze ekologicznych rozważań. Wizja spaceru z miłym, spokojnym kopytnym zwierzęciem przemawia do wyobraźni bardziej niż dopisywanie teorii do spraw oczywistych, które najłatwiej zrozumieć pośród sielskich pól i pachnących łąk.

MONIKA WITKOWSKA*

Wyprawy małej i dużej

Jako Moniczka Podróżniczka mam swój kanał w sieci. WTVP Kobieta prowadzi program „Podróże Małej i Dużej”, w którym z córeczką Laurą pokazujemy, jak w praktyce wyglądają podróże z dzieckiem.

Kiedy byłam małą, pasją podróżowania zarazili nas rodzice. Pakowali mnie i trójkę mojego rodzeństwa do samochodu i jeździliśmy po Europie. Dalej też. Dotarliśmy do azjatyckiej części Turcji.

Z czasem zaczęłam wyruszać w trasy na własną rękę, starając się łączyć pasję z pracą. Na szczęście to się udawało. Potem pojawiła się Laurka. I już z nią po 15 latach wróciłam do Turcji, w której byłam z rodzicami. Laura miała wtedy półtora roku.

Wcześniej z mężem i pięciomiesięcznym niemowlakiem wylecieliśmy do Ameryki Południowej. Słyszałam, że odważna ze mnie mama, ale podróżowanie z takim dzieckiem – zwłaszcza gdy samodzielnie zapewnia mu się catering (uśmiech) – jest o wiele łatwiejsze niż z trochę większym.

Do bagażu, oprócz nosidela, wzięliśmy wózek. Mieliśmy ogromny, dwuczęściowy (wszyscy robili wielkie oczy, ale nikt nie utrudniał nam przewozu). W Urugwaju i Argentynie robił furorę.

Najbardziej niesamowitym doświadczeniem – w ciągu miesiąca spędzonego w Ameryce Południowej – była... lekcja tanga. Przeznaczona dla Urugwajczyków. Wysłałam w jej trakcie poza swoje granice komfortu, ale też odkryliśmy z mężem zupełnie nowe obszary naszego związku (śmiech).

W Argentynie, na którą przeznaczaliśmy tylko tydzień, odwiedziliśmy tzw.

festiwal tradycji. Interesowała nas kultura gauchos, tamtejszych kowbojów. Niesamowite przeżycie. Autentyczne. Tego szukamy w naszych podróżach.

Czekając, aż świat znów się otworzy przed podróżnikami, gdy pytają mnie, dokąd można się wybrać z dzieckiem, powtarzam: niczego nie róbmy na siłę. Podróżując od małego, ja wszędzie czuję się swobodnie. Jeśli jednak ktoś – przy drugiej czy trzeciej swojej wyprawie – za punkt honoru przyjmie objechanie z takim małym bąblem świata, to naraża się na stres. Trzeba sobie wybrać miejsce, które chce się zobaczyć, nie zakładając jednak, że to jakiś kamień milowy w podróżniczym życiu.

Trzeba dziś być elastycznym (rozważnym też). Jeśli marzymy o nieco

dalszej wyprawie, musimy na bieżąco sprawdzać strony MSZ. Ale warto też wziąć pod uwagę, że i w Polsce są piękne, może nawet nie tak oblegane, turystycznie miejsca. Laura miała trzy tygodnie, kiedy wybraliśmy się na Kaszuby. Odkryliśmy niezwykle krajo-brazy, ciekawą kulturę i język.

O urokach Kaszub (które można spróbować odwiedzić w nadchodzącą majówkę), ale też o wyprawie do Włoch, Portugalii czy Turcji, opowiadamy w „Podróżach Małej i Dużej”. Pokazujemy, że da się zwiedzać nowe miejsca z małym dzieckiem, ze skromnym bagażem i za niewielkie pieniądze.

Jolanta Gajda-Zadworna
*podróżniczka, blogerka,
współtworzy TVP Kobieta

Fot. Materiały prasowe



SŁODKO-SŁONY

ANNA MONICKA

A może by tak czosnek?

Zawsze kiedy zaczynał się sezon ogórkowy, kupowałam przy okazji mnóstwo czosnku. Bo bez niego nie byłoby ani sałatek, ani małosolnych, ani kwaszonych, ani konserwowych. O zupach ogórkowych nie wspomnę. Do każdego litrowego słoika ładuję zawsze kilka ząbków, a do większych baniaków – całe przekrojone na pół główki. Czosnek chroni przetwory przed rozwojem bakterii czy pleśni, a jednocześnie nadaje doskonały, głęboki smak. Moja siostra zawsze rezerwuje sobie kilka słoików, a gdy je dostaje, wybiera wszystkie czosnki i zjada natychmiast. A potem jęczy, że powinnam zająć się kiszeniem czosnku, bo te ogórki to tak naprawdę tylko produkt uboczny.

No więc doczekała się. Skusiło mnie wiaderko obranego czosnku, które stało w sklepie, czekając na jakiegoś fanatyka ostrych smaków. Tak dawno nie robiłam kiszonek, że postanowiłam wziąć ten czosnek, zwłaszcza że to był nasz polski harnaś.

Ząbki jeszcze raz przebrałam, większe przekroiłam na połowki. Wystarczyło na trzy słoiki – duży i dwa mniejsze. Zalewa jak na ogórki, czyli łyżka soli na litr wody. Listek, ziele angielskie i pieprz do każdego słoika. Koper wyjęłam ze słoja z ogórkami, akurat się kończyły, a sok posłużył jako starter dla mojego czosnku.

Czosnek jest twardy, więc kisi się dłużej niż większość warzyw. Potrzebuje dwóch–trzech tygodni, a nie kilku dni. W czasie fermentacji może zmieniać kolor na zielony – to normalne, nie ma co się zrażać. Już następnego dnia cały dom pachnie, a potem soki zaczynają pracować w słoikach, więc potrafią wydostać się spod przykrywek i zalać blat. Warto więc to przewidzieć i ustawić słoje na jakiejś tacce.

Ukiszone ząbki są pyszne, mają lekko słodkawy posmak. Ostrość jest wciąż wyczuwalna, ale nie pałą w język i nie atakują wątroby. Są chrupkie, doskonale na zakąskę, do kanapek, sałatek. Bardzo zdrowe, bo zachowują całą moc świeżego czosnku, który jest silnym naturalnym antybiotykiem, ale wzbogacają je bakterie probiotyczne. Polecam, bo na tę kiszonkę sezon trwa cały rok.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

WILCZYM OKIEM



Stromatolity

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Stromatolity to warstwowe struktury na pierwszy rzut oka wyglądające jak skały czy rafy. Tworzone są przez sinice, intrygujące organizmy bezjądrowe, zaliczane obecnie do bakterii, choć kwestie systematyczne bywają tu sporne i płynne. Ważną cechą sinic jest samozżywność poprzez fotosyntezę, podczas której, podobnie jak podczas fotosyntezy przeprowadzanej przez rośliny, wytwarzany jest tlen (paradoksalnie niektóre gatunki sinic odpowiedzialne są za zakwity pozbawiające wodę tlenu; nie jest to wcale jedyny paradoks sinic).

Jak dziwnie w historii stworzenia toczyły się losy sinic, niech świadczy to, że chloroplasty, czyli zielone organelle komórek dzisiejszych roślin, żywiących Ziemię i produkujących tlen, to najprawdopodobniej właśnie sinice, które w pradawnej przeszłości postanowiły zamieszkać w komórkach roślin, a później stały się ich częścią. Tak mówi jedna z hipotez.

Prześledzenie wciąż fragmentarycznych tropów wiodących w głąb czasów naprowadza nas na niezmiernie ważne fakty warunkujące dzisiejszą różnorodność życia. Za wydarzeniami tymi stoją właśnie sinice. Miliardy lat temu, kiedy ziemia nie wydała jeszcze roślin zielonych, tlen był produkowany przez te właśnie fotosyntetyzujące organizmy. Wytrącając i koagulując różne substancje, w tym węglan wapnia, tworzyły wspomniane struktury stromatolitów, narastające warstwami i łączące się w rafy długości setek kilometrów i wysokości do stu metrów.

Stromatolity są dziś rzadkością. Wciąż jednak istnieją – można odnaleźć je np. u wybrzeży Australii, w Zatoce Perskiej czy w gorących źródłach Yellowstone. Zadziwiające, że funkcjonują tak samo, jak funkcjonowały u początków życia.

Najstarsze stromatolity kopalne wycenia się na ponad 3,5 mld lat. Tym samym są jednymi z najdawniejszych śladów życia. Z początku wydzielany przez nie tlen wchodził w reakcje z innymi pierwiastkami. Z upływem czasu zaczął wzbogacać również atmosferę. Proces ten doprowadził do wymierania, które dotknęło ówczesnych organizmów beztlenowych. Równocześnie jednak obecność tlenu w atmosferze umożliwiła powstanie niezmiernie liczby organizmów tlenowych, a w konsekwencji stworzenie zadziwiających, wspaniałych ekosystemów, wśród których żyjemy obecnie.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Dramat smoleński i co z niego zostało

Od pierwszych chwil dramatu 10 kwietnia 2010 r. komunikaty medialne nie informowały o tym, co zdarzyło się faktycznie podczas feralnego lotu. Opinia publiczna, kropla po kropli, otrzymywała jedynie skrawki informacji wzajemnie sprzecznych, wykluczających się, niespójnych wewnętrznie, fałszywych. W istocie była to bardziej blokada informacyjna niż informowanie. Podobna blokada nie była możliwa w Stanach Zjednoczonych 10 września 2001 r. podczas inwazji na nowojorskie WTC. Tam oko kamer w jednej sekundzie obejmowało uderzenie samolotu w jeden wieżowiec, a potem drugi. Widz w czasie rzeczywistym obserwował tragedię i choć nie wiedział, kto był sprawcą zdarzenia, jednak od razu rozumiał, co się stało.

BLOKADA INFORMACJI O KATASTROFIE

Nad lotniskiem smoleńskim nie było kamer, tak jak w centrum nowojorskiego city, wokół którego swoje wozy transmisyjne ustawiły wszystkie telewizje świata. Płonące wieżowce można było obserwować aż do ich zawalenia się. Katastrofa

samolotu z polską delegacją rozegrała się w ułamkach sekund. W sytuacji polskiego dramatu chodziło o zablokowanie informacji o skutkach katastrofy. O sposób poinformowania opinii publicznej związany z wymiarami tragedii. Natychmiastowa prawda o tym, co się zdarzyło, spowodowałaby szok opinii publicznej i groźbę lawiny jej nieprzewidywalnych reakcji. Wyglądało na to, jakby zadaniem mediów było jak najdłuższe zatrzymywanie informacji o tym, co naprawdę się stało. Gdyby Polacy od razu usłyszeli o tym, że samolot rozleciał się na strzępy razem z ciałami jego pasażerów, ich reakcja w kraju mogłaby być nieobliczalna. Łącznie z zamieszkami skutkującymi obaleniem dotychczasowego rządu.

Natomiast kontrola strumienia informacyjnego i całe ciągi fałszywych i dementowanych potem na różne sposoby informacji potęgowały jedynie niepokój i do pewnego momentu niosły nadzieję, że może jednak nie stało się najgorsze. Kiedy jednak prawda wyszła na jaw, upłynęło dostatecznie dużo czasu do opanowania sytuacji i zbudowania kolejnej informacyjnej narracji, pozwalającej kontrolować nastroje i zachowanie całego społeczeństwa.

Narracja medialna mająca na celu przede wszystkim kontrolę dalszych zachowań i sterowanie emocjami Polaków była podtrzymywana przez długie miesiące i lata. Poczynając od sporów o krzyż z Krakowskiego Przedmieścia, rodzaj i czas narodowej żałoby, miejsce pochówku prezydenckiej pary, po dalsze historie wokół ekshumacji zwłok, raport MAK Tatiany Anodiny, zwrot wraku samolotu, i tym, na co Rosjanie przerobili i jak potraktowali miejsce samej katastrofy, by nie służyło ekspertom – zabetonowane, z zatartymi śladami tego, co tam się wydarzyło.

CENZURA SMOLEŃSKA

Utrwalona przez dekadę zakłamaną narracją o katastrofie, jej skutkach i genezie, przyniosła nieodwracalne skutki. Opinia publiczna nie zauważała już, że każda kolejną rocznicę smoleńską poprzedzały niepokojące, agresywne kampanie medialne wobec upamiętniających tamto tragiczne wydarzenie. Kolejnym efektem deficytów informacyjnych wokół katastrofy było także akceptowanie przez opinię publiczną stosowania w wielu redakcjach „cenzury smoleńskiej”. Katastrofa

znalazła się w specjalnej strefie chronionej po stronie Platformy Obywatelskiej i Donalda Tuska. Był to obszar otoczony rodzajem tabu. Przywołujący zaniedbania strony rządowej uznawani byli za rodzaj hien żerujących na narodowym nieszczęściu.

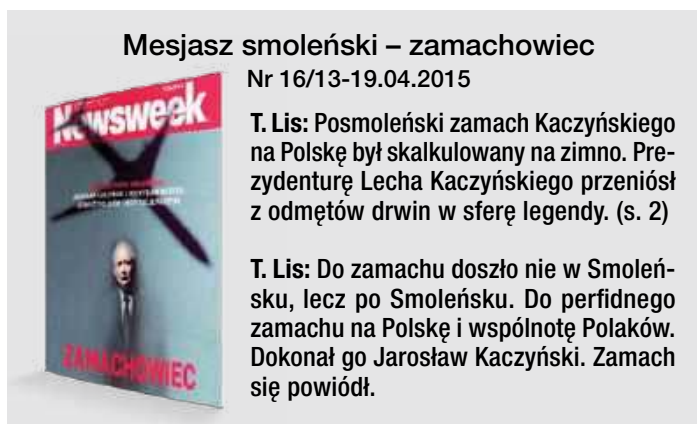
Innym skutkiem cenzury smoleńskiej było to, że o katastrofie można było mówić i pisać w tonie wrogim wobec politycznego obozu Prawa i Sprawiedliwości albo wcale. Media głównego nurtu nieprzychylnie PiS przekształciły się w rodzaj medialnej poduszki bezpieczeństwa, amortyzującej zderzenie ówczesnego rządu z katastrofą. Sprzyjało to budowaniu różnorodnych technik w dezinformowaniu całego społeczeństwa. Rzeczywista działalność mediów ograniczała się do zarządzania uwagą odbiorcy i jego emocjami, kreowania różnorodnych osłon dla przedstawicieli rządu Donalda Tuska. W efekcie kumulowano narastający chaos informacyjny, który zniechęcał jeszcze niedawno poruszonych tragedią do całego tematu. Z czasem sprzyjał odsuwaniu się coraz bardziej od sprawy.

SZYDERCZE TEORIE

Nastroje podchwytowała prasa, zwłaszcza koncernów niemieckich. Do absurdałnej narracji doprowadzono w ekstremalnej retoryce tabloidu, opisując w ten sposób tych, których uważano za wrogów obozu Donalda Tuska. Już w 2012 r. rozpoczęła się kolejna kampania napaści na przywódcę Prawa i Sprawiedliwości, opisująca go jako guru smoleńskiej sekty. Jarosława Kaczyńskiego przedstawiano jako podpalacza kraju o groźnym spojrzeniu.

Seria szczególnie napastliwych publikacji nastąpiła po artykule Cezarego Gmyza „Trotyl na wraku tupolewa” w „Rzeczpospolitej” z 30 października 2012 r. Sytuacja w kraju według opisu tygodnika „Newsweek” przypominała piekło. Inne artykuły z tej serii publikowane w 2015 r. przedstawiały Jarosława Kaczyń-

skiego jako kapłana „religii smoleńskiej”, człowieka bezsilnego, godnego politowania, niemal złożonego w grobie. Jego zwolenników przedstawiano jako „kościół smoleński”. Napaści nań zwykle przygotowywano na kolejne rocznice katastrofy. Tak było i w roku 2015. Poinformowano, że „po katastrofie smoleńskiej Jarosław Kaczyński z rozmysłem niszczył jedność Polaków i instytucje państwa”. Redakcja na okładce informowała: „Zamachowiec” („Newsweek Polska”, nr 16, wydanie na 13–19 kwietnia 2015).



Tak więc katastrofę w Smoleńsku spowodował według redakcji... Jarosław Kaczyński. Była to już kolejna propozycja szokującego odwrócenia dotychczasowego dyskursu na temat ofiar i sprawców katastrofy. Tygodnik swoje przekazy prowadził w stronę absurdałnych tez dziesiątki razy. Dowiadujemy się, że przywódca „kościół smoleńskiego” oprócz zamachu na swoich rodaków dokonał jeszcze zamachu na polszczyznę. Zamach miał polegać na pozbawianiu słów sensu i na całkowitym odwróceniu znaczeń. Profesor Michał Głowiński wspierał te koncepcje, stawiając jako językoznawca absurdałną diagnozę: „Mamy tu do czynienia z propagandą niemal totalitarną i w tej sytuacji musimy bronić języka polskiego”.

Słowem, ofiary przekształcono w agresorów i katów. Zwieńczeniem tych groteskowych i zarazem szyderczych publikacji był artykuł o Jarosławie Kaczyńskim jako królu smoleńskim. W opisie towarzyszącym mu ludzie, nazywani przez redakcję „bezwstydnikami” i „ślugusami”. Chodzi wówczas przede wszystkim o prezydenta Andrzeja Dudę.

Innych opisywano jeszcze jako wariatów, marionetki zaprzągnięte do „rydwanu smoleńskiego” generujące oskarżenia, „jazgot i brednie PiS”. Ich celem było pomagać wydobywać „paroksyzmy smoleńskiego amoku”, ekscesy parciańskiej propagandy, erupcje buraczanego narodowo-patriotycznego patosu, tak by zrealizować „to, co prezes lubi najbardziej – zemstę i wychowanie narodu w duchu patriotycznym”, pisano w kolejnej publikacji z 2015 r.

Pisano jeszcze o „mesjanizmie smoleńskim”, zbudowanym na fundamencie katastrofy lotniczej, i Kaczyńskim, który rozumie potrzeby emocjonalne „pisowskiego ludu”. Dyskurs kreowano przez określenia i dehumanizację przywódcy Prawa i Sprawiedliwości, także w warstwie ikonicznej. Kościół smoleński, czyli sekta smoleńska, miał niszczyć cały kraj, demokrację, Trybunał Konstytucyjny, praworządność, język. Kraj i jego mieszkańców – czyli wyznawców sekty – opisywano jako skazanych na zapaść, totalitaryzm, orbanizm, autorytaryzm. Z licznych artykułów, wywiadów i edytoriałów redaktora naczelnego dowiadywaliśmy się, że znajdujemy się w „paroksyzmach smoleńskiego amoku”, jadących na „smoleńskim paliwie”.

PORA POWIEDZIEĆ – DOŚĆ!

Dlatego dziś najwyższy czas powiedzieć – dość! Dość szyderstw, dość redakcyjnych bredni o buraczanym patriotyzmie, pisowskich rydwanach, kręgach marionetek, ślugach pisowskich i ludzie pisowskim. Dość obrażania i kłamstw, dość plucia, szarpania i rechotu nad narodową bolesną raną. Gazety i media, które serwują czytelnikom i odbiorcom podobną retorykę w obliczu tak niewyobrażalnej tragedii, w innych krajach Europy czy w Stanach Zjednoczonych zabiłby w jednej chwili krzyk opinii publicznej.

U nas Zbigniew Herbert w „Przesłaniu Pana Cogito” wołał w obliczu zdrady: „Niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda, dla szpiclów, katów, tchórzów” i tego się trzymajmy...

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Przejdźmy na TY



Nigdy nie jeżdżę po alkoholu
www.abcalkoholu.pl

Jaka będzie Polska

Jan Olszewski, odwoływany z funkcji premiera przez ubeckie gremium wspierające ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsę, w swoim ostatnim poruszającym przemówieniu w Sejmie 4 czerwca 1992 r. pytał: „Jaka będzie Polska, a w zasadzie, czyja będzie Polska, to rozstrzygnie się tu, na tej sali”. Już po tragedii smoleńskiej, w 2012 r., za rządów Tuska i Komorowskiego, premier Jan Olszewski w wywiadzie do mojego filmu powiedział, że prawdy o ludziach dowiemy się dopiero wtedy, gdy zostaną otwarte archiwa sowieckie. Tak więc pytanie, czyja będzie Polska, dramatycznie powraca, bo siły umocowane w PRL na początku III RP przejęły majątek Polski, najważniejsze instytucje, wszystko znalazło się w rękach ludzi wywodzących się z KC, UB, agencje na służbie obcych mocarstw. Przy okrągłym stole Wałęsa „Bolek” przypieczętował tę transakcję kieliszkami wychylanymi z Kiszczakiem i innymi towarzyszami. Teraz odbudować zniszczenie materialne i moralne jest bardzo trudno. Stoją za tym już kolejne pokolenia, którym nie na rękę jest jakiegokolwiek ujawnianie prawdy. Musieliby zrezygnować z zagrabionego majątku narodowego, firm, kont zagranicznych itd. Bronią więc własnych interesów, swoich haniebnych życiorysów, zachowań, nie przebijając w środkach, kłamia, ponieważ i niszczą ludzi oraz sprawy, które służą Polsce, skarżą do Unii, wypowiadają i wypisują w internecie tak beznadziejne bzdury, wulgaryzmy, że każdy człowiek kierujący się logiką i zwykłą przyzwoitością widzi jasno, o co tu chodzi.

We wszystkich opracowaniach w literaturze przedwojennej, dotyczącej współistnienia na arenie międzynarodowej, przewija się sprawa wspólnego stawiania w imię interesów narodowych, a każdy, kto się z tego wylamywał, zasługiwał na odpowiednie osądzenie, wykluczenie z funkcji społecznych, a prywatnie co najmniej na karę infamii. Dzisiaj ludzie zasiadający jako przedstawiciele Polski w UE, tzw. tuskowi, robią wszystko, żeby niszczyć polską tożsamość, prawdę o naszej przeszłości i teraźniejszości, z takim trudem odbudowywaną naszą siłą ekonomiczną, energetyczną, medialną, ogólnonarodową.

Czytałam dużo różnych opracowań na tematy związane z niszczeniem patriotyzmu, prawdy historycznej, niezależności gospodarczej w Polsce po 1945 r. Zawsze byli ludzie, dla których zabijanie patriotów, takich jak generał Fieldorf, rotmistrz Pilecki czy książdz Jerzy, było czymś normalnym, zadaniem do wykonania. Działali bez skrupułów. Przecież nie rozplynęli się w powietrzu. Oni są, wychowali kolejne pokolenia sobie podobne. Kłamstwa, zdrady, intrygi, niszczenie prawych, oddanych narodowi ludzi, działanie na zle-



**Alina
Czerniakowska**

cenie wroga – z tym wszystkim musieli radzić sobie nasi wielcy poprzednicy, dla których najważniejszym celem było zbudowanie niepodległej Polski.

Warto wczytać się w słowa Józefa Piłsudskiego zawarte w 14 tomach jego dzieł. Tam jest prawda i wiedza, dzisiaj tak bardzo aktualne i nam potrzebne: „Nigdy nie zapomnę wrażeń moich, jako Naczelnika Państwa, gdy nasz hymn narodowy, nasz sztandar narodowy był nico śmieciuchem, rzuconym w kąt dla sztandarów obcych i dla hymnów obcych, tak jakby Polacy pokazać chcieli, że to są mniejsze wartości aniżeli wszystko, co nie jest polskie. Widziałem starania ustawiczne i stale

idące w jednym i tym samym kierunku, aby agencje obcego płatne były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie jako Naczelnika Państwa, szukając wytworzenia kilku rządów w Polsce, rządów agencji, stojących poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów obcych państw, gdy śmiało w oczy mi patrząc, mogli powiedzieć, że moje zamiary mogą być zniszczone zupełnie nie przez kogo innego, jak przez polskich agentów. Widziałem to prosię państwa i nieraz uciekałem ze swoimi zamiarami do odległego pokoju, aby sekretów państwa nie wydać na rozszarpanie obcym. Uciekałem nieraz od moich najbliższych pomocników, dlatego aby moje prawdy, moje zamiary nie były wydane na łup kogokolwiek bądź, byle był cudzoziemcem. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz, nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw niż przez moich podwładnych, nigdy nie byłem pewny, czy taki lub inny mój zamiar nie będzie natychmiast kontrolowany przez agencje państw obcych z taką siłą i pewnością, że musiałbym się go wyrzec. (...) Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agencji. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym” (Józef Piłsudski, „Pisma zbiorowe”, tom 9, Warszawa, 1937).

Walka ze współczesną agenturą jest jeszcze trudniejsza, bo ukryta pod hasłami nowoczesności, wolności, postępu, mody, złe pojętej tolerancji i wolności odrzucającej Boga i Dekalog. A wszystko to za pomocą rozwiniętej elektroniki, wyrafinowanej propagandy medialnej i odpowiednio opracowanych metod sterujących ludzką psychiką i pracą mózgu. Odpowiedzią na to niech będą słowa Jana Pawła II: „Sumienie – najtajniejsze sanktuarium człowieka, odbija się w naszych oczach, w naszej twarzy, nie daje się zabić, nie daje się ukryć. (...) Czas próby ludzkich sumień trwa! Czas próby polskich sumień trwa!”

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Judo, odszczepieńcy i wajcha

Przy nawale bieżących wydarzeń półstronicy felieton raz na dwa tygodnie zmusza mnie do lapidarnych wypowiedzi. Najlepiej w punktach...

1. W związku z fizyczną agresją posła PO Sławomira Nitrasa doradzam posłom Zjednoczonej Prawicy przyspieszone kursy samoobrony. Fachowość, z jaką ponoć Nitras kopnął w busie posłankę Iwonę Arent (mae-geri?), zablokował po konferencji ciałem i przedramieniem wiceministra zdrowia Janusza Cieszyńskiego (klasyczne wejście w koshi-waza – przygotowanie do rzutu przez biodro) i – w trakcie próby wizytacji Czajki – założył skuteczny suples posłowi Sebastianowi Kalecie, świadczy o opanowaniu przez wyżej wymienionego podstaw karate, judo i zapasów. Gdyby w Sejmie, podczas ostatniej szarży pana Sławka poseł Wiesław Krajewski wykorzystał impet jego ataku i wykonał rzut poświęcenia (tomoe nage) – zaliczyłby murowany ippon (zwycięstwo przed czasem)! A agresywny harcownik otrzymałby należną mu lekcję pokory.



**Lech
Makowiecki**

2. Pandemia wnosi ogromny wkład w rozwój języka ojczystego. Po tym, jak furorę zrobiło słowo „ozdrowieńcy”, Jan Pietrzak zaproponował oryginalne określenie „zachorowańcy”. Urzędnicy i medycy dorzucili terminy „wyszczepienie”, „wyszczeplenie”. Proponuję, by szczepionkowych sceptyków określać mianem „odszczepieńców”.

3. Czy warto rozmawiać? Przekonamy się o tym już wkrótce. 12 kwietnia br. w swoim autorskim programie telewizyjnym Jan Pospieszalski odważył się pójść pod prąd zarówno koalicji rządzącej, jak i totalnej opozycji i zaprosił do studia gości kontestujących lockdown oraz pandemię. W sieci zawrzało. Jedni w czambuł potępili Pospieszalskiego – jako potencjalnego sprawcę zagłady narodu. Inni gratulowali mu odwagi i dziękowali za podejmowanie trudnych tematów. Pisząc ten felieton (środa), mam nadzieję zobaczyć Janka w najbliższy poniedziałek w programie „Warto rozmawiać”. Przecież na tym właśnie polega wolność słowa! Pytanie: czy jesteśmy gotowi na przestawienie pandemicznej wajchy?

Sofa pani Uli

Unia w szoku”, „Awantura w Brukseli”, „Napięcia w Unii”, „Kłótnia między pierwszymi”... – to tylko niektóre tytuły z europejskich gazet. Kto się kłóci, co napina, o co ta awantura? O „Poniżenie von der Leyen”, to kolejny nagłówek, która niedawno była w Turcji, gdzie potraktowano ją bez należytej estymy. Jeśli komuś to umknęło, po powitaniu prezydent Erdoğan i szef Rady Europejskiej Michel zrobili na fotelach „dupen kłapen”, a przewodnicząca Komisji Europejskiej pokręciła się w miejscu, aż kątem oka dostrzegła stojącą na uboczu sofę, podreptała ku niej i przysiadła, mówiąc obrazowo, na półdupeczku.

Że Turczynowi brak oglądy – wiadomo, taka ich „kultura”, najpierw facet, potem osioł, potem kobieta; jedzie taki na osła, a za nim posłusznie podąża truchtem objuczona tobołami jego kobieta. I tak dobrze, że nie biegnie za samochodem, bo auta Turcy też mają. Ale że „dupen kłapen” zrobił Charles Michel, Belg z pochodzenia, i to z francuskojęzycznej Walonii, były premier na dodatek, czyli europejszy en face – to już faux pas, obciach i poruta, dla nas, Polaków, obcałowujących niewiastom dłonie i stopy, nie do wyobrażenia. To łysol jeden, mizogin pas-kudny! Chyba że chciał coś w ten sposób okazać, bo na stówę etykietę zna. A jeśli chciał, to co takiego?



**Piotr
Cywiński**

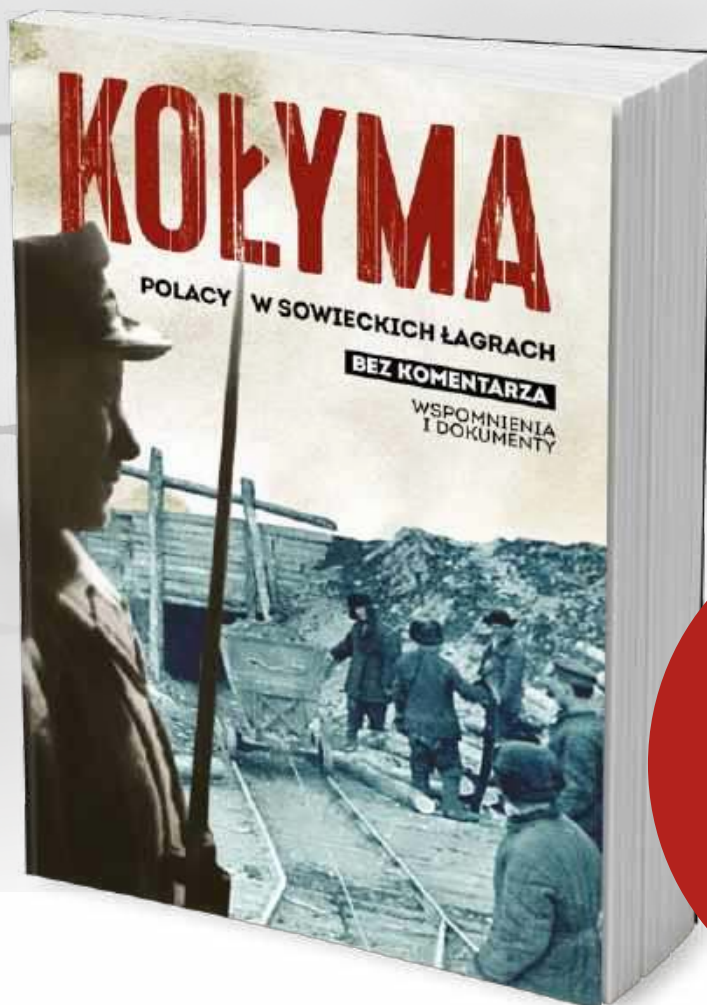
Po powrocie do Brukseli pani Ula odbyła z panem Charles'em tête-à-tête, nic jednak z tego do mediów nie wyciekło. Nie musiało, zorientowani w unijskich układach wiedzą swoje: że ci na górze żrą się tam jak cholera. Sztab Michela twierdzi, że w Ankarze wszystko było au courant, zgodnie z protokołem, bo on ważniejszy, ludzie zaś von der Leyen, że ich szefowa powinna być traktowana „na równi”. Byłoby miło, choć Komisja pani Uli jest organem wykonawczym UE, a Rada z panem Charles'em na czele, reprezentująca prezydentów, premierów i kanclerzy państw członkowskich, instancją nadrzędną. Ale oboje wypinają piersi do przodu, by pokazać, kto bardziej wpływowy.

U Turczyna wyszło na to, że miejsce von der Leyen jest na sofie. Na tym tle nasz „Bul” Komorowski wyrasta na tureckiego męża stanu, że wspomnę, gdy będąc prezydentem, to on zrobił „dupen kłapen” przed przybyłą do pałacu w gości kanclerz Merkel i prezydentem Sarkozy, przetrzymawszy ich uprzednio na deszczu... – taki polityk! Sprawa „sofagate” nie została jeszcze zamknięta, będzie omawiana w tym tygodniu na posiedzeniu plenarnym w Brukseli. Turczyn ma przechłapanie, a Michel? – to się dopiero okaże, kto kogo. Swoją drogą, wolę, jak ci tam na górze się żrą, niż zajmują się głupotami o praworządności i strefach LGBT plus...

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Książka zawiera relacje tych, którzy przeżyli piekło sowieckich łagrów na Dalekiej Północy. Ocaleni opowiadają o dramatach więźniów, którzy ginęli na skutek surowego klimatu i katorżniczej pracy na mrozie sięgającym -50 stopni. Śmiertelność w łagrach wynosiła nawet 80 proc.

**150
książek
w prezencie**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **HISTORII** za **280 zł**,
a książkę „Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach”
otrzymasz **GRATIS!**



Fot. Shutterstock

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.



JAN POSPESZALSKI

Rok po ogłoszeniu pandemii statystyki pokazują, że szczepienia nie spowodowały oczekiwanego zatrzymania choroby, polityka podporządkowania systemu ochrony zdrowia walce z wirusem przynosi zaś fatalne rezultaty. Nie udało się zapobiec wzrostowi śmiertelności covidowych pacjentów i wyraźnie widać zapaść w leczeniu innych, groźnych i przewlekłych chorób. Coraz więcej lekarzy głośno wyraża swój sprzeciw wobec bezalternatywnej – jak widać – mało skutecznej polityki zdrowotnej rządu. Ale zamiast debaty z tymi medykami Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej Naczelnej Izby Lekarskiej wszczyna wobec nich postępowania dyscyplinarne. Próba zduszenia w ten sposób dyskusji nad strategią postępowania wobec wirusa jest nie tylko ograniczeniem wolności wypowiedzi medyków. To szkoda, jaką Naczelna Izba Lekarska wyrządza przede wszystkim ministrowi zdrowia. Zagłuszenie krytyki ogranicza pole widzenia rady medycznej przy premierze, utwierdza rząd w bezalternatywnej polityce. Cenę za to płacimy wszyscy.

Od września ubiegłego roku, gdy wróciliśmy z programem „Warto rozmawiać” do TVP, w szerokim gronie ekspertów i medyków z dziennikarskim sceptycyzmem obserwujemy i komentujemy działania ministra Niedzielskiego. Nie sposób wyliczyć wszystkich

Polacy, nic się nie stało!

„W tej całej historii boli mnie to, że dziadek został potraktowany jak śmieć. Nie oczekiwaliśmy, że będzie żył wiecznie, ale kiedy potrzebowaliśmy pomocy, wszyscy się odwrócili”

podnoszonych w studiu problemów, więc zamiast mojej oceny przywołam fragment jednego z listów, jakie licznie napływają do naszej redakcji.

„Ja i moja rodzina mogliśmy przekonać się, jak lekarze traktują pacjenta chorego na COVID-19 – pisze mieszkanka wschodniej Polski. – W listopadzie mój dziadek zachorował. Miał gorączkę i mokry, męczący kaszel. Mimo domowego leczenia ogólnodostępnymi lekami na gripę i przeziębienie gorączka nie ustępowała. Zadzwoniliśmy do przychodni, prosząc o wizytę domową. Panie w rejestracji, jak tylko usłyszały, że jest gorączka, stwierdziły, że wizyta domowa odpada i zapiszą dziadka na teleporadę. Lekarz skontaktował się z babcią, przepisał antybiotyki i kazał czekać. Poprawy nie było, a gorączka nadal wysoka. Zadzwoniliśmy na pogotowie ratunkowe. Był wieczór – dyspozytor polecił skontaktować się z nocną i świąteczną opieką medyczną. Babcia zadzwoniła. Lekarz stwierdził, że trzeba wykonać test na COVID-19 i kazał skontaktować się z przychodnią, żeby lekarz skierował dziadka na test. Test potwierdził obecność koronawirusa, a lekarz polecił dalsze przyjmowanie przepisanych lekarstw, jednak ze względu na wiek (80 lat) lepiej, jeśli dziadek trafi do szpitala. Zadzwońiłam na pogotowie, rozmawiałam nawet z ordynatorem oddziału covidowego. Ordynator poinformował, że chorzy szybko wracają do formy w domu, więc on nie radzi oddawać dziadka do szpitala.

Ponieważ stan chorego był coraz poważniejszy, dwa razy pojawiał się zwy-

wany zespół ratownictwa medycznego. Dziadek nie mógł się podnieść z łóżka, nie mógł jeść samodzielnie ani skorzystać z toalety. We wszystkich czynnościach pomagała mu babcia. Z powodu kwarantanny nikt z rodziny nie mógł przyjść z pomocą. Zespół ratownictwa stwierdzał, że wszystko jest w porządku, ponieważ dziadek może oddychać. Ponieważ nikt go nie zbadał, nie osłuchał, nie wiemy, czy dziadek nie miał zapalenia płuc. Leki otrzymał praktycznie na ślepo. Próbowałam uzyskać pomoc, dzwoniąc chyba dziesiąty raz na pogotowie. Dyspozytor znów skierował mnie do nocnej i świątecznej opieki medycznej, mówiąc, że lekarz stamtąd może pójść do pacjenta i podłączyć mu kroplówkę, bo jest wyposażony w środki ochrony osobistej. Zadzwońiłam i usłyszałam od lekarki, że »ona nie pójdzie do domu, gdzie jest chory na koronawirusa, bo jak się zarazi, to co zrobi?« [...] 6 grudnia dziadek zmarł. Lekarze nawet nie przyszli stwierdzić zgonu, tłumacząc, że do covidu nie mogą. W tym celu przyjechał lekarz z odległego miasta. Ciekawostką jest to, że babcia nie zachorowała. Przez całą paranoję medialną była pewna, że ona również umrze, jednak, dzięki Bogu, tak się nie stało.

W tej całej historii boli mnie to, że dziadek został potraktowany jak śmieć. Nie oczekiwaliśmy, że będzie żył wiecznie, ale kiedy potrzebowaliśmy pomocy, wszyscy się odwrócili, potraktowali gorzej niż trędowatego. To nie COVID-19 jest straszny, tylko to, jak go malują. I to, co robią wokół tej choroby.”

Michał Korsun prezentuje: *Ukraina w szachu*



Wycinki z przeszłości

Tę piękną ilustrację dziewczynki bawiącej się lalkami zamieścił „Płomyk” w marcu roku 1931. Wewnątrz numeru naszą uwagę zwróciła mała notatka, odpowiedź na list czytelniczek.

„Do Wandy Mioskowskiej w Neumark (Prusy Wschodnie). Więc tak bardzo cieszyliście się w szkole »Płomykiem« i »Płomyczkiem«! A jak się Wam podobały świąteczne numery? A »Płomyczaki«? Napiszcie do nas kiedy, bośmy ciekawi, czy dużo dzieci jest w polskiej szkole w Neumarku i co u Was słychać?»

Ów Neumark w Prusach Wschodnich to dziś Nowe Miasto Lubawskie w województwie warmińsko-mazurskim, a notatka z „Płomyka” jest wspaniałym świadectwem polskości tych ziem, także w czasie gdy znajdowały się one pod panowaniem niemieckim. Wielu nauczycieli z przedwojennych polskich szkół na Warmii i Mazurach zostało po 1 września 1939 r. zesłanych do niemieckich obozów koncentracyjnych i pomordowanych. Winniśmy ich pracy i ofierze wieczną pamięć.

(mk)



Przypomnienia kwietniowe

Lasy nieopodal Kijowa. W miejscu, gdzie latami tak uporczywie zadeptywano prawdę, oto się wydostaje spod łopaty grzebyk wykopany z grobu. Szpilką lub jakimś innym narzędziem, ktoś wydłubał na nim dwa rzędy polskich nazwisk. Odnaleziono je na listach rozstrzelanych. Nazwiska ofiar wrzuconych do jednej z tych zbiorowych mogił. Oto bezsporny dowód tożsamości! Ta „historia wołająca” sprzed lat wciąż robi na mnie wielkie wrażenie. Spod pokładów śmierci i kłamstwa, z dna wiecznej już – zdawało się – niepamięci, wydostaje się głos wołający? Rzucony już tylko w piach i w ciemność... Jak zmartwychwstały z grobu powraca i woła?



Leszek Długosz

Na grzebyk z grobu pod Bykownią

Niepojęte niezbadane losy
I niepojęta nieuciszona siła
Tęgo krzyku
– Strzałem łopatą butem
Uczonego
W niepamięć wrzuconego
Ułamku rzeczy, drobinoplastiku
Mojego narodu relikwio święta
– Grzebyku z grobu pod Bykownią
Z mogiły, z chwili tamtej
Wydobyty...
Do kogo, o co – wołają dziś imiona
Na tobie wyryte
– W piach wtedy wołające?
Z dna poniżenia
Dłonią człowieczą dziś podniesione
Wypowiedziane żywą wargą
Pomiędzy nas przywołane...
Szczątku znikomy i bolesny
– Grzebyku z grobu pod Bykownią
Na cud twój zmartwychwstania
Zdumienia, grozy niemej ile
Zbiegło się
– Otoczyło cię bezradnie...
Dalekie w czasie i w przestrzeni
I moje niech przed tobą zegnę się kolano
Gdy słowa moje też przed tobą
Do mowy dojść nie umięją

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Cywilizacja wymaga danych

Pamiętacie słowa: „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby dać się zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna...” (Łk 2,1-5).

W wielu polskich domach ten fragment Ewangelii św. Łukasza czyta się na rozpoczęcie wieczerzy wigilijnej.

Odległy od Nazaretu Rzym był stolicą imperium, które panowało nie tylko nad całym regionem Morza Śródziemnego. Imperium, z którym kojarzymy okres Pax Romana, gdy obok handlu bujnie rozwijała się także kultura, z której owoców – np. zasad prawa rzymskiego – korzystamy do dziś.

Cywilizacja potrzebuje danych. Im bardziej złożony jest organizm społeczny, tym więcej danych potrzeba.

SPIS POWSZECHNY

Gdy czytamy w internecie niektóre reakcje na uruchomiony w tym miesiącu kolejny polski spis powszechny, nie możemy się oprzeć wrażeniu, że wiele osób, które ten fragment Nowego Testamentu wiele razy przecież słyszało, nigdy nie zastanowiło się, po co starożytnym w ogóle potrzebny był spis ludności. Mówiąc najkrócej, do tego samego co nam. Aby całość społeczna działała, byśmy mieli stabilność społeczną, potrzebna jest wiedza. Dużo wiedzy. Nie musi być stu procentowo niezawodna, bardzo ścisła, ale musi dawać ogólny, wyrażony także liczbami, obraz kondycji, w jakiej znajduje się dana zbiorowość.

Nieotrzymamy od państwa tego, czego się od niego domagamy – bezpieczeństwa,



*Aby całość społeczna
działała, byśmy mieli
stabilność społeczną,
potrzebna jest wiedza.*

Dużo wiedzy

przewidywalności reguł społecznej gry – gdy nie damy mu dostępu do ważnych informacji na nasz temat. Głupie jest domaganie się troski państwa o naszą przyszłość i zarazem „wolnościowe” wydziewanie za każdym razem, gdy instytucje chcą od nas pewnej wzajemności.

EKSHIBICJONIZM

Ludzie, którzy na Facebooku, Instagramie czy innych cyfrowych cudenkach każdego dnia zachowują się niczym niepoprawni ekshibicjoniści, którzy nie oszczędzą obcym osobom najintymniejszych szczegółów swego superatrakcyjnego życia, na czas spisu powszechnego budzą się i przypominają, jak wielką wartością jest *prywatność*. Ale przecież właśnie dzięki cyfrowym technologiom żyjemy już w epoce postprywatności.

Epoka postprywatności to nie przyszłość. To już jest. Czy wiecie, jak wiele – mając dostęp do śladów, które pozostawiacie w cyfrowej infosferze – można na wasz temat wyglówkować? Wyglówkować? Tego nie robią żadne prawdziwe ludzkie głowy. To robią algorytmy. Tworzą wiedzę, za pomocą której wami manipulują nie tylko jako gorliwymi konsumentami.

KAPITALIZM INWIGILACJI

Uznana słusznie za przełomową książka prof. Shoshany Zuboff jest gruba (ponad 850 stron) i miejscami nudna. Na tym polega pułapka nie tylko współczesności – by zrozumieć to, co naprawdę istotne, często trzeba przeźierać się przez gęsty las swojej niewiedzy. Nosi tytuł: „Wiek kapitalizmu inwigilacji: Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy”.

Tymczasem wielki kapitał, zwłaszcza ten naprawdę wielki, nie tylko nie podlega żadnej kontroli społecznej, ale dysponuje superbogatym arsenałem sztuczek manipulacyjnych, by złożyć społeczną skiero- wać w stronę właśnie... państw.

Państwa i nimi rządzący są widoczni. Są ciągle krytykowani. Jak ktoś zauważył, żyjemy w epoce, gdzie media każdego dnia delegitimizują system. Nawet ułomne demokracje pozwalają jednak na pewną kontrolę nad politykami. Inaczej jest z oligarchami biznesu, którzy nie podlegają regułom wyborczych kadencji.

Dziś bardziej niż państwa należy się obawiać cyberpanów – z Doliny Krzemowej lub z rejonu Shenzhen, gdzie mają siedziby chińskie giganty technologiczne. Trzeba cyberpanów jak najczęściej wyprowadzać z cienia. Gdyż dziś to oni, a nie politycy ani nawet szefowie tajnych służb najwięcej wiedzą o każdym z nas.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

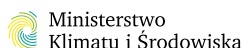


Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych
z udziałem ekspertów i liderów administracji oraz biznesu

III edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

– JAK STWORZYĆ ODPOWIEDNIE WARUNKI DO BUDOWY NOWEGO ŁADU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO I OSIĄGNĄĆ ROZWOJOWY SUKCES

PATRONAT HONOROWY:



Ministerstwo Rozwoju,
Pracy i Technologii



Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia



PARTNERZY
GŁÓWNI:



Dr. Schumacher
Sp. z o.o.



PHILIP MORRIS
POLSKA

PARTNERZY
WSPIERAJĄCY:



Więcej informacji na www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce





Już **26 kwietnia**
w tygodniku **SIECI** dodatek specjalny
na **230. rocznicę** uchwalenia
Konstytucji 3 maja

- Jak doszło do uchwalenia konstytucji?
- Jakie przepisy znalazły się w konstytucji i jakie było ich znaczenie?

PARTNERZY DODATKU:



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

NBP Narodowy Bank Polski



 **PGNiG**

